

JOHN MADDOX ROBERTS

CONAN I SKARB PYTHONU

(Przełożył: Cazary Frąć)

Tytuł oryginału:

CONAN AND THE TREASURE OF PYTHON

*Mojemu pasierbowi
Johnowi Cameronowi Alanowi Mygattowi
- poszukiwaczowi przygód, filozofowi, twórczemu
geniuszowi,
zwycięzcy wielu bitew
i mojemu drogiemu przyjacielowi*

I

ŻEGLARZ

Asgalun leży nad małą zatoką, która wgryza się w wybrzeże Shemu. Jest jedynym dużym miastem portowym w tym pasterskim kraju, pozostałe osady to ledwie rybackie wioski. To miejsce barwne i pełne życia, jak wszystkie porty świata. Na niskich wzgórzach rozsiadły się wspaniałe siedziby bogatych kupców, otoczone pięknymi ogrodami i zadbanymi winnicami. Niżej, w samym mieście, stoją zwaliste kamienne magazyny i gospody, świątynie i kramy, które służą mieszkańcom i rozwojowi handlu.

Dalej mieszczą się nabrzeża. Tutaj można znaleźć ludzi, którzy wypracowują bogactwo kupców-książąt z posiadłości na wzgórzach i właścicieli miejskich kramów. Tutaj przebywają żeglarze władający wieloma językami i doświadczeni szyprowie, wywodzący się z różnych krain, których jedyną ojczyzną jest morze. Nikt nie buduje dla nich pięknych domów. Poza tym na samym wybrzeżu nie warto wznosić eleganckich budynków, przerażające sztormy bowiem, które nadciągają niespodzianie z nad rozległych przestrzeni Morza Zachodniego, w ciągu paru lat i tak obróciłyby je w gruzy. Z tego powodu w nadmorskiej dzielnicy Asgalunu zobaczyć można jedynie drewniane chałupy, niewielkie magazyny, podrzędne gospody, nędzne kramiki, targowiska i żeglarskie spelunki. Ponieważ w Shemie mało jest lasów, niskie budowle wznosi się z drewna pochodzącego ze starych statków zniszczonych przez sztormy. Ten mocny, ale nasączony żywicą i smołą budulec jest tak łatwopalny, że co jakiś czas nabrzeża Asgalunu stają w płomieniach i obracają się w popiół.

Jedynie twardzi, otrzaskani w świecie ludzie zamieszkują takie miejsce. Tutaj więc kierują kroki ci, którzy poszukują osobników tego rodzaju.

Conan z Cymmerii był znudzony. Na Zachodnich Ziemiach panował

pokój. Pomniejszym wodzom chwilowo brakowało pieniędzy i energii, a co za tym idzie - ochoty do wojowania. Kraje tradycyjnie wrogo do siebie nastawione, czyli prawie wszystkie, zmęczyły się wojnami i zajęły rozwiązywaniem własnych problemów. Trzeba było postawić na nogi podupadły handel, obsiać pola stratowane przez walczące armie, odbudować splądrowane miasta. Ludzie z zawodu i zamiłowania parający się wojennym rzemiosłem nie mieli czego szukać w państwach, które chciały zapomnieć o walce. Nawet odwieczna wojna domowa w Ophirze zmierzała ku końcowi z powodu krańcowego wyczerpania obu stron.

Takie okresy posuchy nigdy nie trwały długo. Conan nie sądził, by ten panował dłużej niż rok, ale i tak można było umrzeć z głodu. Od miesięcy włóczył się po Ophirze, Koryntii i Kothie, szukając zajęcia. Podróże odbywał najmując się jako strażnik do ochrony karawan. Wojownicy, tymczasowo pozbawieni normalnego zajęcia, masowo imali się rozboju. Conan sam niegdyś był bandytą, ale teraz uważał, że grasowanie na gościńcach jest poniżej jego godności. Z drugiej strony wiedział, że prędzej wróci do złodziejskiego fachu, niż pozwoli, by zabił go głód. Ostatnia karawana, z którą podróżował, wyładowała towary w Asgalunie. Conan zatrzymał się w portowej tawernie „Pod Albatrosem”, by żyć ze swojej wypłaty i czekać, aż coś się zmieni. Jednak pieniądze prawie się skończyły, a perspektyw jak nie było, tak nie było. Cymmerianin wiedział, że jeśli przybędzie jakiś piracki okręt, będzie go kusiło, aby się zaciągnąć.

Gdy tak siedział przy rozchybotanym stole i wyglądał przez okno podobne do iluminatora, dostrzegł obcy żaglowiec wpływający do małej zatoki. Kiedy statek wyłonił się zza północnego przylądka, Conan oszacował maszty i ożaglowanie. Kadłub ledwo wystawał nad wodę, ale nie z powodu dużego zanurzenia, tylko po to, by zapewnić statkowi jak największą prędkość i zwrotność. Wkrótce załoga opuściła żagle i wysunęła długie wiosła, potrzebne do portowych manewrów. Był to okręt wojownika i Conan zdecydował, że po zacumowaniu zamieni parę słów z kapitanem. Jednak

zanim miał okazję to uczynić, spotkała go niespodzianka.

- Wszystkie tawerny są podobne - powiedziała młoda kobieta.

Miała na sobie prostą suknię z niebieskiego jedwabiu. Złoty sznur otaczał jej smukłą talię pięć czy sześć razy, a jego końce, połączone wyszukany węzłem i ozdobione frędzlami, sięgały prawie do kolan. Drobne stopy kobiety były obute w ciżemki wyszywane złotą nicią. Jednak to nie kosztowny przyodziewek przyciągał próżniaków i awanturników, tłoczących się w wąskich uliczkach portowej dzielnicy, tylko niezwykła uroda dziewczyny. Skórę miała białą jak śnieg, a ogromne oczy tak jasne, że prawie pozbawione barwy. Srebrzystobiałe włosy, sięgające do pasa, podtrzymywała jedynie złota opaska z opalem w złotej oprawie.

Zwykle kobieta tak atrakcyjna i tak bogato ubrana nie przeszłaby w tej dzielnicy nawet dziesięciu kroków bez narażania się na zaczepki, ale mężczyźni o łotrowskich spojrzeniach trzymali się z dala i nie próbowali jej niepokoić. Takie zachowanie nie wynikało bynajmniej z ich wrodzonej dobroci - po prostu kobieta nie była sama. Mężczyzna, który kroczył po jej lewej stronie, nie odstraszyłby nikogo. Ruchliwy, nerwowy człowieczek, który mówił dużo i szybko, żywo gestykulując. Nosił aquiloński strój podróżny z aksamitu i skóry oraz miecz, krótki, z wymyślnie wykutą gardą.

To drugi mężczyzna, który podążał za nimi, zapewniał kobiecie bezpieczeństwo. Był bardzo wysoki, nieco wychudzony, ale proporcjonalnie zbudowany, z długimi, potężnie umięśnionymi kończynami. Miał dużą głowę osadzoną na masywnym karku, a jego twarz pokrywał złocisty zarost. Pomimo gorącego dnia nosił aksamitną koszulę z długimi rękawami i kremowe rękawice z pięknie wyprawionej skóry. Jeśli miał jakąś zbroję, to ukrytą pod skórzaną tuniką, za to miecz był doskonale widoczny. Potężny, wykonany przez aquilońskiego płatnerza miał ostrze długie i szerokie, masywny jelec, głowicę wykutą na podobieństwo głowy gryfa. Rękojeść, wystarczająco długa, by złapać ją oburącz, wyłożona była skórą rekina.

Niegdyś szorstka i perłowszara po latach intensywnego używania wytarła się i nasiąknęła potem. Sam wygląd wygładzonej i prawie czarnej rękojeści mówił doświadczonym zabijakom, że lepiej omijać właściciela tego miecza.

- Tutaj! - powiedział mały mężczyzna. - Albatros! Widzicie? Tam nad drzwiami jest rysunek ptaka w locie. To stworzenie pochodzi z krain południowych. Pełne wdzięku w powietrzu i niezdarne na ziemi. Wróży powodzenie każdemu okrętowi, któremu raczy towarzyszyć, a kroniki starożytnego Acheronu podają, że nagłe pojawienie się tego ptaka w głębi lądu jest znakiem...

Kobieta się uśmiechnęła.

- Tak, wiem o tym, Springaldzie, lecz przybyliśmy tutaj w poszukiwaniu człowieka, nie wiedzy. A poszukiwany powinien być tutaj, po drugiej stronie tych drzwi.

- Wejść pierwszy, dziecko - oświadczył wysoki mężczyzna.

Jego palce zacisnęły się na rękojeści miecza. Schylił się w niskim wejściu jak człowiek doświadczony w walce. Nie zgiął się w pasie, co odsłoniłoby bezbronny kark komuś, kto w złych zamiarach mógłby się czaić za drzwiami. Zamiast tego ugiął kolana i wyprostował się natychmiast po wejściu do środka. Omiótł czujnym wzrokiem pomieszczenie, po czym ruchem ręki wezwał towarzyszy.

Wielka izba miała dwa poziomy. Tuż za drzwiami po prawej stronie całą długość ściany zajmował szynkwas, po lewej znajdowały się schody wiodące na pięterko. Podest przy wejściu miał może sześć kroków długości, a z niego po czterech szerokich stopniach wchodziło się na dolny poziom, zastawiony licznymi stołami i ławami. Za okrągłymi oknami, przez które wlewało się słońce, rozciągał się widok na roziskrzane wody zatoki.

Z powodu wczesnej pory, w gospodzie znajdowało się nie więcej niż tuzin mężczyzn i kobiet. Karczmarz przyjrzał się bacznie przybyszom. Na widok ich bogatego odzienia żywo wyskoczył zza szynkwasu, wytarł ręce o fartuch i skłonił się nisko.

- Szlachetni panowie, szlachetna pani, czym mogę wam służyć?

- Szukamy pewnego człowieka. Jest Cymmerianinem. Słyszeliśmy, że można go tutaj znaleźć. - Wysoki Aquilończyk mówił krótkimi zdaniami, jakby znał wartość swoich słów i nie cierpiał ich marnować.

- Aha - mruknął z rozczarowaniem w głosie karczmarz. - Chodzi wam o Conana. Siedzi tam, przy stole obok okna.

- Doskonale - odezwała się kobieta, - Bądź tak dobry i przynieś do tego stołu dzban najlepszego wina i cztery szklanice.

- Już się robi, pani. - Mężczyzna zniknął za szynkwasem.

Conan przyglądał się przybyszom. Stanowili niezwykły widok w takim miejscu, jak tawerna „Pod Albatrosem”. Ich ubrania wskazywały, że pochodzą z Aquilonii. Mały człowieczek sprawiał wrażenie roztrzepanego i nerwowego, ale Conan przeczuwał, że swoim krótkim mieczem włada lepiej, niż można by się spodziewać. Wysoki mężczyzna wyglądał imponująco. Jego świetne odzienie nie było krzykliwe, tylko bogate jak szaty wielmoży. Oczywiście, że człowiek ten należy do wojskowej arystokracji, a zachowanie i miecz wskazywały, iż jest nie byle jakim wojownikiem. Kobieta stanowiła zagadkę. Jej ubranie pochodziło z Aquilonii, obaj towarzysze byli Aquilończykami, lecz tak niezwykłą karnacją Conan widywał jedynie wśród Hyperborejczyków. Zobaczył, że karczmarz skinął w jego kierunku i trójka skierowała się do stołu, przy którym siedział. Być może los się do niego uśmiechnie.

Zatrzymali się przy nim.

- Ty jesteś Conanem z Cymmerii? - zapytał wysoki.

- Tak - odpowiedział. Nie wstał ani nie zaproponował, by usiedli. Było za wcześnie na takie uprzejmości.

- Jestem Ulfilo, margrabia Petvy w Aquilonii. Ta dama to Malia, żona mojego brata.

- A ja jestem Springald - przedstawił się mniejszy mężczyzna - uczonec i nauczyciel z Tanasulu.

- Chcemy zapytać, czy nie zgodziłbyś się najać do służby w czasie

podróży, którą musimy przedsięwziąć - oznajmił Ulfilo.

Pojawił się karczmarz z dzbanem i kubkami. Rozstawił naczynia na stole, napełnił je winem, skłonił się i odszedł. Dopiero wtedy Conan wstał i wskazał wolne miejsca.

- Skoro płacisz za wino, z rozkoszą wysłucham twojej propozycji.

Wszyscy usiedli i skosztowali napitku.

- To wino jest lepsze od tego, które przyszło mi pić ostatnimi czasy - Conan delikatnie poinformował o swojej kiepskiej sytuacji. - Wysłucham was z uwagą.

- Po przybyciu do tego portu - zaczął Ulfilo - szukaliśmy doświadczonych ludzi, którzy znają Czarne Wybrzeże. Powiedziano nam, że jesteś odpowiednim człowiekiem.

- Oczywiście - zapewnił Conan. - Ale jest wielu innych w tym miejscu. Co roku, gdy wieją pomyślne wiatry, mnóstwo statków wyrusza stąd na handel w Czarnych Królestwach.

- Tak - rzekł Springald - płyną do Kushu, może trochę dalej. Ale nas interesują tereny leżące dużo dalej, wiele mil na południe od rzeki Zarkheby.

- Słyszeliśmy pogłoski - wtrąciła Malia - że żeglowałeś po tamtejszych wodach.

Conan się zamyślił.

- Tak, ale to było wiele lat temu.

- Niepodobna, by woda czy linia brzegowa zmieniły się przez ten czas - powiedział Springald. - Ale ludzie mówią, że niewielu kupców zapuszcza się tak daleko na południe.

- Ci, którzy szukają dużych zysków, muszą udawać się tam, gdzie konkurencja jest mniejsza - stwierdził niezobowiązująco Conan. Prawda była taka, że poza piratami niewielu śmiałków żeglowało po tamtych wodach.

- Gdzie byłeś najdalej? - zapytała Malia.

- Wystarczająco daleko, by rzeki i krainy nie miały znanych nam nazw. Wystarczająco daleko, by biała skóra uchodziła za cud. - Nagle wybuchnął

gromkim śmiechem.

- Z czego się śmiejesz, Conanie? - zapytał uprzejmie Ulfilo.

- Coś mi się przypomniało. Tubyłcy z południa uważali, że jestem biały.

- Klepnął się w masywną klatkę piersiową, widoczną w trójkątnym wycięciu tuniki. Była równie opalona i ogorzała, jak pokryta bliznami twarz. - A słońce spaliło mnie tak, że wyglądałem jak Pikt. Co w takim razie pomyśleliby o waszej towarzyszcze?

- Oby tylko mieli okazję - szepnęła.

Conan spoważniał.

- Co proponujecie? To paskudne wody i jeszcze gorsze wybrzeża dla osób, które nigdy wcześniej nie podróżowały przez gorące kraje.

Malia przypatrywała się siedzącemu przed nią mężczyźnie. Mógł mieć dwadzieścia pięć, jak i trzydzieści pięć lat. Był wysoki, potężnie zbudowany i emanowała z niego energia drapieznika. Nosił prostą tunikę z miękkiej czarnej skóry. Potężnie umięśnione ramiona i nogi pokrywały blizny. Jediną jego ozdobę stanowiły dwie ciężkie, kute w brązie bransolety. Miecz u pasa był długi i prosty, bez zdobień na stalowym jelcu czy głowicy. Równie prosty sztylet wisiał u drugiego boku. Trzos, widoczny obok broni, wydawał się prawie pusty. Cymmerianin wyglądał na człowieka znajdującego się na rzeczy i niebezpiecznego, być może mógł się nawet równać z jej ogromnym i nieco nadopiekuńczym szwagrem.

- Musimy odnaleźć pewnego człowieka - wyjaśnił Ulfilo. - Mojego młodszego brata, męża Malii. Opuścił Potawę, nasz dom rodzinny, dwa lata temu. Ostatnią wiadomość przysłał nam z Khemi w Stygii. Stamtąd wyruszył na południe.

Conan pociągnął łyk wina.

- Na południe od Khemi znajduje się Czarne Wybrzeże. Szukanie kogoś na tak wielkim terytorium to czysta głupota. Proponuję, żebyście poczekali w domu. Jeśli wróci, dobrze. Jeżeli nie, będziecie musieli uznać go za martwego.

- Nie rozumiesz - powiedziała Malia. - Mój mąż wysłał list z Khemi po odbyciu długiej podróży na południe. Wrócił na północ i zatrzymał się w Khemi, jedynie by zorganizować następną wyprawę. Potem znowu popłynął na południe.

- Jeśli tak, to jest człowiekiem, który sam daje sobie radę w tych dzikich krainach. Dlaczego nie pozostawicie go własnemu losowi?

Conan przypuszczał, że poszukiwany stał się piratem. Jeśli tak, ostatnią rzeczą, której by pragnął, byłoby tropienie go przez rodzinę. Wielu synów opuszczało domy, by żeglować po rekinich szlakach. Po paru udanych wyprawach wracali w rodzinne strony, opowiadali o niewiarygodnie zyskownych handlowych podróżach do egzotycznych krajów i po zakończeniu ekscytującej kariery grabieżców i morderców wiodli szacowny żywot wioskowych dziedziców.

- Nie, musimy go odnaleźć - oświadczyła Malia. - Jego list jest niezmiernie wymowny. Każe nam wynająć żaglowiec, wyszukać odważnych ludzi i popłynąć za nim.

- Jesteś zainteresowany udzieleniem nam pomocy? - przerwał jej Ulfilo.

- To zależy od paru rzeczy - odparł Conan. - Po pierwsze, wynagrodzenie.

- Tysiąc złotych marek aquilońskich - rzucił Ulfilo bez wahania. - Płatne po naszym szczęśliwym powrocie.

Conan pokręcił głową.

- Jeśli chcesz, bym pomógł odszukać twojego brata, musisz zapłacić mi od razu po jego odnalezieniu. Wtedy będę mógł bezzwłocznie zawrócić, niezależnie od waszych planów.

- To uczciwe. Dobrze, dostaniesz tysiąc marek, gdy znajdziemy mojego brata żywego.

Conan znowu potrząsnął głową.

- Nie. Trudy i niebezpieczeństwa, na jakie się narażę, będą takie same bez względu na to, czy twój brat żyje, czy nie. Jeśli jest martwy, chcę dostać

pieniądze po znalezieniu miejsca, w którym umarł.

Ulfilo spiorunował go wzrokiem, lecz Malia rzekła krótko:

- Zgoda.

- Zatem kwestia zapłaty załatwiona - powiedział Conan. - Musisz wyjawić, dokąd pożeglował twój brat. I czego szukał tak daleko na południu?

Teraz z kolei Ulfilo potrząsnął głową.

- Wystarczy, że miał swoje powody.

- Mogę zaakceptować takie wyjaśnienie, ale muszę wiedzieć, gdzie mamy go szukać.

- Cieszysz się opinią śmiałego człowieka - stwierdziła kobieta.

- Tak, ale nikt nie nazywa mnie głupcem. I skoro ja z niechęcią odnoszę się do podróżowania na ślepo, to możecie być pewni, że nigdy nie znajdziecie kapitana gotowego narazić okręt czy załogę. Nawet wysoka zapłata nie skusi ludzi do wypłynięcia na nieznane morza.

Zamilkli i pograżyli się w zadumie. Springald popatrzył na Ulfila, który po chwili skinął głową. Malia zrobiła to samo. Uczony zwrócił się do Conana.

- Cymmmerianinie, co wiesz o miejscu zwanym Wybrzeżem Kości?

Conan ściągnął brwi.

- To złe miejsce, omijane nawet przez najdzikszych piratów. Leży trzy dni żeglugi na południe od Zarkheby.

- Byłeś tam? - zapytał Springald.

- Tak, chociaż nie z własnej woli. Sztorm rzucił na brzeg mój statek i musieliśmy spędzić na lądzie dwa tygodnie, żeby go naprawić. Nie była to przygoda, którą człowiek miałby ochotę powtórzyć.

- I widziałeś poszarpane białe skały wzdłuż brzegu? - wypytywał Springald.

- Jak mógłbym nie zauważyć? To z ich powodu żegluga jest tak bardzo ryzykowna. Z morza wyglądają jak kości zwierzęcia wyrzuconego na brzeg, i stąd pochodzi nazwa.

- A rzeka o wodach zabarwionych na zielono, która powoli toczy się ku

morzu? Widziałeś ją?

- Tak, trudno przeoczyć. To jedyne źródło słodkiej wody w tamtym rejonie, chociaż nazwać ją słodką można tylko porównując z morską. Po sześć razy musieliśmy odcedzać z niej przez najlepsze płótno to zielone plugastwo, nim nadawała się do picia, a nawet i wtedy mogła się stać przyczyną śmierci. - Conan obrzucił uczonego podejrzliwym spojrzeniem. - Skąd zaczerpnąłeś wiedzę o tym wybrzeżu? Aha, ten tajemniczy brat musiał napisać ci o nim w liście.

- Nie. Ten pas wybrzeża jest mało znany dzisiejszym ludziom, ale opisano go w kronikach starożytnego królestwa Acheronu. W samych relacjach z dziesięciu wypraw Ahmesa Odkrywcy jest wiele szczegółów dotyczących żeglowania w rejonie tego wybrzeża i sąsiednich pobliskich, a *Kroniki Bractwa Pilotów z Pythonu* wymieniają dwadzieścia siedem...

- Spokojnie, Springaldzie - zbeształa go Malia. Uśmiechnęła się do Conana. - On może tak rozprawiać godzinami. Wystarczy powiedzieć, że wiemy co nieco o tych krainach, chociaż nigdy tam nie byliśmy.

- Ale znamy tylko relacje sprzed wielu stuleci - zastrzegł Ulfilo. - Kto zamieszkuje to wybrzeże w dzisiejszych czasach?

- To najgorsza sprawa - powiedział Conan. - Wieść niesie, że ludożercy. Sam nie widziałem, by kogoś zjedli, jednakże porywali zarówno żywych, jak martwych. Nigdy nie zobaczyliśmy już żadnego z uprowadzonych, ale słyszeliśmy, jak noc po nocy żywi wyli tak przeraźliwie, jakby torturowały ich same demony. Nawet jeśli krajowcy nie są kanibalami, to mogę wam powiedzieć, że nie przepadają za obcymi.

- Wybacz mi, Conanie - odezwał się Springald - ale być może nie lubią obcych twojego pokroju. Może mieli złe doświadczenia z ludźmi takimi jak ty i twoi kamraci.

Conan spojrział nań ostro, po czym uśmiechnął się kwaśno.

- Chodzi ci o to, że byłem piratem? Tak, to prawda. Miało to miejsce tak dawno, że już nikt nie pragnie zaciągnąć mnie na szubienicę. Byłem

wówczas młodszy i miałem mniej szacunku dla prawa. I muszę przyznać, że moi kamraci często zbyt gorliwie, przetrząsali tubylcze wioski.

- Wobec tego, czy krajowcy nie będą przyjaźniej usposobieni do kupców, którzy przybywają w pokojowych zamiarach?

- Możliwe - przyznał Conan - ale jedynie wtedy, gdy udacie się w licznym i dobrze uzbrojonym towarzystwie. Wszystkie szczepy z wybrzeża są wojownicze, napadają na siebie wzajemnie i na marynarzy z rozbitych statków. Muszą handlować, bo potrzebują rzeczy, których nie mogą zdobyć grabiąc, ale nigdy nie można im do końca zaufać.

- Co przez to rozumiesz? - zapytała Malia.

- Chodzi mi o to, że chociaż wiedzą, iż coś takiego zaszkodzi kontaktom handlowym, potrafią zaatakować kupców i siłą zabrać to, czego chcą. Po prostu nie myślą o przyszłości.

- Znam wielu ludzi, którzy postępują w ten sposób - skomentował Ulfilo z sardonycznym uśmiechem. - W cywilizowanych krajach nazywamy ich królami i szlachtą.

- Prawda - rzekł Conan. - W głębi serca większość z nas jest dzikusami, ale my zdajemy sobie z tego sprawę i nauczyliśmy się trochę nad sobą panować - w przeciwieństwie do władców i plemion z Czarnego Wybrzeża.

- Jak nazywa się ten lud? - zapytał Springald.

- Mówią o sobie Borana.

- Aha! W południowym Kushu mieszkają ludzie zwani Palana, a w północnym - górski lud znany jako Fathada. Te dwie grupy posługują się bardzo podobnym językiem, który jest odmianą klasycznego kushyckiego. Może ci Borana są południowym odłamem tej samej rasy?

Conan spoglądał na małego mężczyznę z rosnącym respektem.

- To możliwe. Ja słyszałem co prawda jedynie ich krzyki i śpiewne wyzwania, ale słowa brzmiały tak, że moi kushyccy kamraci mówili, iż zrozumieliby je, gdyby tamci mówili powoli i mniej gniewnie.

- Podróżowałeś w głąb lądu? - zapytał Ulfilo.

- Z Wybrzeża Kości nie, ale z innych części Czarnego Wybrzeża - tak.

Malia pochyliła się w jego stronę.

- Jak tam jest?

Conan zapatrzył się za okno, jak gdyby przywoływał z pamięci obrazy z odległych czasów i dalekich lądów.

- Ludzie mówią o Czarnych Królestwach tak, jakby to była jedna kraina, ale tak nie jest. Każdy po zobaczeniu niewielkiego obszaru myśli, że widział wszystkie czarne kraje, lecz to bzdura. Większość ludzi słyszała o ogromnych dżunglach, w których roją się dokuczliwe owady i mnoży zaraza, w których grasują dzikie drapieżniki i jeszcze dziksi ludzie. Ale tak jest jedynie na wybrzeżu. Posuwając się w głąb lądu wzdłuż niektórych rzek, szczególnie Zarkheby, można tygodniami wędrować przez dżunglę, niekiedy tak gęstą, że trzeba wycinać drogę maczetą. Czasami w ciągu jednego dnia można znaleźć się w górach, gdzie mieszkają maleńcy myśliwi. Niekiedy po dwóch dniach marszu można wejść na wysoki płaskowyż, gdzie drzewa rosną rzadko, ziemia porośnięta jest bujną trawą i gdzie żyje mnóstwo zwierzyny. W takim miejscu widziałem stada antylop tak olbrzymie, że wszyscy skrybowie Aquilonii nie byliby w stanie ich policzyć.

- Czy słyszałeś może o dwóch szczytach zwanych Rogami Shushtu? - zapytała Malia.

Conan wrócił do rzeczywistości.

- Nigdy. A co to takiego?

Wzruszyła ramionami.

- Po prostu punkt orientacyjny wspomniany w liście mojego męża.

Ulfilo spojrzał na nią znacząco, po czym przemówił do Conana.

- I jak, Cymmerianinie? Zostaniesz naszym przewodnikiem?

Conan zastanawiał się przez chwilę. To było zadanie najbardziej niewiarygodne ze wszystkich, z jakimi kiedykolwiek się zetknął, a miał ich za sobą już wiele. Człowiek, którego szukali Aquilończycy, prawdopodobnie już nie żył. Wybrzeże, do którego zmierzali, cieszyło się najgorszą sławą ze

wszystkich, jakie Conan miał okazję odwiedzić. Z drugiej strony, mężczyźni wydawali się odpowiedzialni, kobieta piękna i - przede wszystkim - nie miał żadnej innej propozycji. Parę miesięcy temu zbyłby śmiechem taki pomysł, lecz teraz nie miał wielkiego wyboru. Nudził się, a udział w wyprawie gwarantował przynajmniej dobrą zabawę. Jeżeli wszystko się powiedzie, za tysiąc sztuk złota przeżyje aż do wybuchu nowej wojny. I nęciło go Czarne Wybrzeże. Raz jeszcze wyrzał przez okno, jak gdyby mógł dojrzeć za horyzontem ogromny, nieznany ląd - wielki jak wszystkie kraje Wschodu i Zachodu razem wzięte, i prawie nie zbadany przez ludzi o jego kolorze skóry. Czekają tam cuda, jakich nie potrafiliby wymyślić nawet tacy uczeni, jak Springald. Co prawda nie brakowało też niebezpieczeństw, trudów i walki, ale te dla Conana były chlebem powszednim.

- Zgoda, jestem z wami - oznajmił w końcu.

Aquilończycy się rozluźnili i uśmiechnęli, jakby już wszystko było załatwione.

- Bawimy tutaj od niedawna - powiedziała Malia. - Czy w porcie stoi jakaś odpowiednia łódź?

- Nie, i nie było takiej od paru tygodni. To nie może być zwykły statek kupiecki. Potrzebny nam okręt z dzielną załogą i obrotnym kapitanem. Niczego takiego nie ma teraz w porcie.

Ich twarze się wydłużyły.

- Wobec tego przyjdzie nam czekać.

- Niekoniecznie.

- Nie mów zagadkami, człowieku - warknął Ulfilo. - Albo jest taki statek w porcie, albo go nie ma. No?

Conan wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Jeszcze nie ma, ale za chwilę będzie. Aha, właśnie rzuca kotwicę!

- O czym ty mówisz? - Ulfilo poderwał się z zydła i podszedł do okna, przez które wyglądał Conan.

- Oto odpowiedni statek - wskazał Cymmerianin.

Kobieta i uczonego zbliżyli się do okna.

- Wydaje się taki mały - stwierdziła z rozczarowaniem Malia.

- Chodźmy. - Conan wstał od stołu. - Porozmawiamy z kapitanem. A po drodze powiem wam parę ciekawych rzeczy o żeglowności po tych niebezpiecznych wodach.

We czwórkę wyszli z obozu „Pod Albatrosem”.

II KAPITAN

- To... - Conan wskazał łódź zacumowaną sto kroków od nabrzeża - zingarski statek budowany w Kordawie. Skonstruowano go z myślą o przybrzeżnym handlu w tym kraju. Zadbano o szybkość, gdyż w pobliżu Kordawy leżą Wyspy Baracha, gdzie roi się od piratów. Barachańcy cenią sobie te okręty, bo łatwiej na nich dopędzić ofiarę. Widzicie skosy tych dwóch masztów?

- Skosy? - powtórzyła Malia.

- To lekkie odchylenie masztów w tył - wytłumaczył Springald. - Ten typ omasztowania cieszy się popularnością wśród żeglarzy, gdyż zapewnia lepszą sterowność.

- Dokładnie - potwierdził cierpliwie Conan. - Żadnego żaglowca nie buduje się z tak pochylonymi masztami. Ustawienie zależy od kapitana, który sam wypróbuje różne kąty, położenie rei oraz powierzchnię żagli, aby osiągnąć jak największą szybkość i jak najlepszą sterowność. W tym wypadku, kapitan skoncentrował się na szybkości. Tuż przed waszym wejściem do „Albatrosa”, statek ten okrążył cypel i opuścił trójkątne duże żagle. Jedynie stary wilk morski z dobrze wyszkoloną załogą może poradzić sobie z takim takielunkiem. Niedoświadczony kapitan mógłby wywrócić okręt.

Kilku ludzi wskoczyło do łódki i w chwilę później szalupa odbiła od żaglowca, a wiosła zaczęły rytmicznie młócić wodę. Czwórka zebrana na lądzie czekała z mieszanymi uczuciami. Po paru minutach łódź przybiła do drabiny zwisającej z nabrzeża. Z powodu odpływu ludzie z łodzi, aby wejść na pomost, musieli pokonać kilka szczebli. Gdyby był przyptyw, wystarczyłby jeden krok.

Mężczyzna, który wysiadł pierwszy, był pokaźnej postury, miał długi płaszcz i kapelusz o szerokim rondzie. Conan pochylił się, podał mu rękę i

bez wysiłku wciągnął na nabrzeże.

- Dzięki - mruknął żeglarz, podnosząc głowę, by zobaczyć swego dobroczyńcę. - Jak mogę...

W tej samej chwili chwycili za broń. Grymas wykrzywił usta przybysza. Spod ronda kapelusza wystawały mu rude włosy, szczękę mężczyzny okalała ruda jak płomień broda.

- Czarnowłoso! - warknął kapitan.

- Rudobrody! - wybuchnął Conan.

Pozostali nie mieli najmniejszego pojęcia, o co chodzi. Dwaj mężczyźni zastygli niczym rzeźby. Ulfilo bez słowa stanął między Malią a antagonistami, którzy najwyraźniej łaknęli krwi. Po chwili Conan powoli oderwał dłoń od rękojeści.

- Szmata drogi dzieli nas od Ziemi Północnych, Vanie.

Rudowłosa mężczyzna również powoli schował miecz.

- Tak, chyba potrafię znieść widok Cymmerianina tak daleko od domostw moich ojców.

- Zostawmy zatargi na ziemiach przodków. Na południe od Królestw Kresowych przyjaźniłem się nawet z Hyperborejczykami. Tutaj jesteśmy po prostu barbarzyńcami z Północy.

- Co to wszystko znaczy? - zapytała cicho Malia.

- Kapitan jest Vanirem - wyjaśnił Springald - a Vanierowie i Cymmerianie są odwiecznymi wrogami. Vanierowie najeżdżają Cymmerian i porywają ich dzieci, które wychowują na niewolników, a Cymmerianie napadają na nich w odwecie i, no cóż, dla rozrywki.

Kapitan popatrzył na nieznajomych.

- Zdaje się, że macie do mnie jakiś interes. O co chodzi?

- Czy pójdiesz „Pod Albatrosa” i usiądziesz z nami przy stole, kapitanie? - zapytał Ulfilo. - Potrzebny nam statek, a ten człowiek... - wskazał na Conana - powiedział, że twój żaglowiec byłby odpowiedni, prawdopodobnie również dowódca i załoga.

- A niby jakiego statku i ludzi potrzebujecie?

- Potrzebujemy łodzi do żeglugi po wodach, na których zwykły statek kupiecki przypomina tłustego gołębia na niebie pełnym chyżych jastrzębi. Potrzebujemy ludzi, którzy nie lękają się rzucić wyzwania najniebezpieczniejszym wybrzeżom. Potrzebujemy też kapitana, który poprowadzi okręt i dzielną załogę.

Van wyszczerzył zęby.

- „Tygrys Morski” jest właśnie takim żaglowcem, a ja, Wulfrede z Vanaheimu, takim kapitanem. Co do moich ludzi, sam ich zobacz i oceń. Wielu szczurów lądowych na ich widok wzięłoby nogi za pas ze strachu. Jeśli jesteś do nich podobny, nie nadajesz się do podróży, o której raczyłeś napomknąć.

- Czy przyłączysz się do nas, kapitanie? - zapytała Malia.

Van z uśmiechem zmierzył jej smukłą sylwetkę.

- Jak mógłbym odmówić? Tak, gotów jestem nawet usiąść obok Cymmerianina, by wysłuchać, co macie do powiedzenia. Za tą propozycją musi kryć się coś niezwykłego. - Przeniósł spojrzenie na Conana. - A co ty na to, czarnowłoso?

- Mogę przełknąć parę kęsów nawet z rudobrodym. Powiedziałem im, że na okręcie, którym przypląnąłeś, znajdą odpowiedniego kapitana i załogę. Nie cofam rady.

Wulfrede błysnął zębami w uśmiechu.

- Wobec tego zostaniemy przyjaciółmi przynajmniej na czas posiłku i rozmowy. Do „Albatrosa”!

W tawernie przyniesiono im tace z jedzeniem. Zaczęli się posilać, podczas gdy Ulfilo powtarzał plan wyprawy. Conan słuchał uważnie, szukając jakiegokolwiek rozbieżności. Sądził, że Aquilończycy nie powiedzieli mu wszystkiego, i był gotów wyłapać każdą różnicę.

- Powiem ci szczerze: uważam tę misję za głupią - rzekł Wulfrede. - Ale to nie mój interes. Jestem pewien, że Conan już was uprzedził, iż szansę

odnalezienia tego człowieka są niewielkie.

- Masz rację w obu przypadkach - powiedziała sucho Malia. - To nie twoja sprawa, i wspomniał nam o nikłych szansach. Co z tobą i twoim statkiem?

- Najdalej żeglowałem trzy dni drogi na południe od Zarkheby i nigdy nie dotarłem do Wybrzeża Kości. Ale oferujecie dobrą zapłatę, a ja nie należę do ludzi, którzy wzdragają się przed ryzykiem, gdy mają nadzieję na duży zysk.

- A jak z twoją załogą? - zapytał Conan.

Wulfrede wzruszył ramionami.

- Powiem im, dokąd ruszamy, jak zawsze. Mogą płynąć lub zejść z okrętu. Jeśli będziemy mieli za mało rąk, weźmiemy ludzi z Khemi czy z przybrzeżnych wysp. Na tamtych wodach paru miejscowych żeglarzy na pokładzie jest dobrym pomysłem. Są bardziej odporni na miejscowe choroby.

- Zatem zgoda? - zapytał Ulfilo.

- Jedno mnie kłopotczy. - Wulfrede pochylił się lekko, wsparł ręce na stole i splótł palce. - Ta dama. Czy ona rzeczywiście chce z nami popłynąć?

- Tak - odpowiedziała Malia. - Nie boję się.

- Nie wątpię w to, moja pani, ale taka podróż jest śmiertelnie niebezpieczna nawet dla doświadczonych wojowników i zahartowanych marynarzy. Słońce może być groźne dla osoby o tak jasnej skórze. Poza tym moi chłopcy. Obca jest im ogłada i subtelność, a będziesz, pani, jedyną kobietą wśród nich.

- Stanę pomiędzy nią a twoją załogą, kapitanie - zadeklarował Ulfilo z dłonią na rękojeści miecza.

- I ja - dodał Conan.

- Być może dwóch takich zuchów zdoła ją ochronić - rzekł Wulfrede - ale ludzie wierzą, że kobieta na morzu przynosi pecha. Gdy nam się powiedzie, nie będzie problemu, lecz jeśli spotka nas niepowodzenie, marynarze zaczną szukać winnego, a wtedy będziemy mieli ręce pełne

roboty.

- Ona płynie z nami - oznajmił stanowczo Ulfilo.

- Bardzo dobrze, będzie na twojej głowie. - Wulfrede wyprostował się. -
Następna sprawa. Jeśli mamy uchodzić za kupców nastawionych pokojowo, musimy zaopatrzyć się w towary. Mam jeszcze na pokładzie ładunek cyny w sztabach, która zostanie wyładowana tutaj dla odlewników brązu. Jutro popołudniu ładownie będą puste i gotowe na przyjęcie następnego towaru.

- Co zabierzemy? - zapytał Springald.

- To, czego czarni z wybrzeża potrzebują, a czego nie mogą sami wyprodukować. Na tym polega handel, jeśli chce się osiągnąć wysoki zysk. Tubylcy nie wydobywają minerałów i nie wytapiają żelaza, chociaż niektóre plemiona potrafią je znośnie obrabiać. Tak więc żelazo zawsze jest w cenie. Weźcie niewielkie sztabki, które z łatwością można obrobić w wioskowych kuźniach. Jest też popyt na siekiery, groty do włóczni i noże.

- A miecze? - zapytał Springald.

- Na wybrzeżu niewielki z nich pożytek, z wyjątkiem wielkich maczet, które służą za broń i narzędzie. Południe jest krainą włóczni. Warto zabrać także drut miedziany, szklane paciorki, błyskotki wszelakiego rodzaju, dzwonki, grzechotki, lusterka i tak dalej. I tkaniny, całe bele. Ale kupcie lekki perkal w jaskrawych kolorach. Oni nie noszą wełny. Weźcie też gotowe ubrania, najtańsze z możliwych. Zysk wtedy jest większy, a tubylcom to bez różnicy. Nawet najlepsze tkaniny rozpadają się szybko w takim klimacie.

- To chyba dobra rada. Conanie, chcesz coś dodać?

- Zabierz także dobrą broń i ładne błyskotki na prezenty dla naczelników. Będą się tego spodziewać i może być źle, jeśli nie dostaną rzeczy lepszych niż inni.

- A co będziemy kupować? Nie jest to celem naszej ekspedycji, ale musimy jak najlepiej udawać kupców.

- Powtarzam - podjął kapitan - jedynym powodem tak dalekiej podróży jest przywiezienie rzeczy, których nie można dostać tutaj. Poszukiwanym

towarem jest kość słoniowa, która w tej części świata nie występuje nigdzie poza Vendhią. W czarnych krainach jest jej nieskończona ilość. W cenie są też pióra strusi i innych wielkich ptaków, a można ich załadować bardzo wiele i prawie nic nie ważą. W niektórych miejscach można znaleźć wspaniałe perły. Tubylcy zbierają w łożyskach rzek bryłki złota. Często gromadzą je na wymianę. Cenne są skóry i rogi niektórych egzotycznych zwierząt. Jeśli człowiek posiada odpowiednią wiedzę, może zaopatrzyć się w wiele roślin i korę, surowce używane do leczenia i farbowania, aleja nigdy się tym nie zajmowałem. I, oczywiście, pozostaje jeszcze handel żywym towarem.

- Nie ma mowy! - sprzeciwił się stanowczo Ulfilo.

- Tak - zgodził się Conan. - Nie wezmę udziału w wyprawie po niewolników.

- Ale dlaczego? - zdumiał się Wulfrede. - Oni nie są naszymi krewniakami. Handel niewolnikami jest uznany na całym świecie, a poza tym nie trzeba nawet schodzić ze statku. Kiedy tubylcy dowiadują się o przybyciu handlarzy, lokalny kacyk organizuje wyprawę w głąb lądu i sam dostarcza towar na pokład.

- Nie będziemy handlować niewolnikami - upierał się Ulfilo. Pozostali ruchem głowy wyrazili poparcie.

Wulfrede wzruszył ramionami.

- Jak chcecie. W każdym razie „Tygrys” nie jest przystosowany do przewozu niewolników. W ładowni zmieściłoby się nie więcej niż dwustu, i wielu by padło przed dotarciem do portu, w którym moglibyśmy dostać przyzwoitą cenę.

- Wobec tego jesteśmy umówieni - podsumował Ulfilo. - Nabędziemy towary u miejscowych kupców, ty zaś dopilnujesz rozładunku cyny. Zaokrętuujemy się jutro po południu. Kiedy będziemy mogli odpłynąć?

- Jak najszybciej. Jest pełnia sezonu, nie możemy marnować czasu.

- Kiedy zaczyna się pora wielkich sztormów? - zapytała Malia.

Wulfrede zaśmiał się serdecznie.

- Widać, jak niewiele wiesz o morzu. Tam, na Zachodnim Morzu, zawsze jest pora wielkich sztormów. Chodziło mi o to, że im później wypłyniemy, tym burze będą występować częściej. Nawet w najbardziej sprzyjającym okresie człowiek musi być przygotowany na złą pogodę. - Wstał od stołu. - Muszę zerknąć na okręt i rozładunek. Nie przejmujcie się, jeśli nie znajdziecie dość towaru w porcie. Zawsze będzie można uzupełnić ładunek w Khemi. Tutaj kupcie ubrania. W Stygii będziecie mogli nabyć cenione przez tubylców koraliki i bransolety.

- Stamtąd otrzymaliśmy wiadomości od mojego męża. To był jego ostatni port w cywilizowanym świecie.

Wulfrede pokiwał głową.

- Być może czegoś się o nim dowiemy.

Conan się podniósł.

- Chciałbym obejrzeć okręt i ludzi.

- W takim razie chodź ze mną. Chociaż myślę, że wolałbyś spędzić ostatnie godziny na ładzie na hulance. „Tygrys Morski” na długi czas stanie się twoim domem, Cymmerianinie.

Wyszli we dwójkę z tawerny i ruszyli do portu. Przy nabrzeżu stała barka, z której wyładowywano przywiezioną przez „Tygrysa” cynę. Wulfrede zamienił parę słów z pośrednikiem odlewników brązu i porównał jego dokumenty ze swoim listem przewozowym. Po rozładowaniu Van i Cymmerianin wskoczyli na pokład barki i ruszyli w stronę żaglowca. Gdy podpłynęli, Conan przyjrzał mu się uważnie, by zweryfikować pierwsze wrażenie. Okręt miał doskonałą sylwetkę, a kadłub pokrywała nowa czarna farba.

Zgodnie z morskim zwyczajem, Conan poczekał, aż Van wejdzie pierwszy na statek.

- Wskakuj, Conanie - rzekł Wulfrede, gdy tylko pewnie stanął na pokładzie.

Conan przeskoczył przez reling i omiótł spojrzeniem cały żaglowiec.

Deski pokładu wyszorowane pumeksem aż świeciły w słońcu, wszystkie metalowe części były w doskonałym stanie; brązowe i mosiężne wypolerowano na błysk, żelazne zaś pomalowano starannie w obronie przed rdzą. Cymmerianin dostrzegł wystrzępioną linę na pachołkach do cumowania.

- Masz nowe olinowanie?

- Nie, ale zamierzam skręcić mnóstwo lin - odrzekł Wulfrede. - Planowałem zrobić to po powrocie do Kordawy. Nie mogłem przewidzieć, że czeka nas tak daleka podróż na południe. Ten klimat niszczy liny równie łatwo, jak ubrania i skóry.

- Masz płótno na żagle?

- Tak, w schowku na dziobie, wystarczająco dużo, by załatać stare i uszyć dwa nowe, jeśli zajdzie taka potrzeba.

- To dobry statek - pochwalił Conan - idealny do takiego zadania.

Skierował uwagę na majtków. Załoga składała się w połowie z Zingarańczyków i Argoseańczyków, było też paru przedstawicieli innych nacji. Resztę stanowili mieszańcy, których jedyną ojczyzną było słone morze. Marynarze nosili rozmaite stroje, niektórzy z powodu upału paradowali tylko w spodniach i przepaskach na głowach. Za szerokimi pasami tkwiły noże, jednak Conan nie dostrzegł mieczy, toporów ani innej broni. Nie wątpił, że te bardziej mordercze rodzaje oręża czekają gdzieś pod ręką. Mężczyźni byli pokiereszowani bliznami i spaleni słońcem, skórę niektórych zdobiły wymyślne tatuaże. Zauważył kilka okaleczeń, które mogły być efektem kary za popełnione przestępstwa albo wynikiem odniesionych w bitwie ran.

- Słuchajcie! - ryknął Wulfrede z taką siłą, jak gdyby musiał przekrzyczeć huk sztormu. - Wszyscy na rufę!

Gdy majtkowie ze śródkręcia człapali na rufę, spod pokładu wyłaniali się inni. Ostatni nadszedł okrętowy kuk, stary wilk morski w poplamionym fartuchu i nieskazitelnie czystym czerwonym fezie. Jego wielkie złote kolczyki skrzyły się w promieniach słońca. Nie przerwano rozładunku, którym zajmowali się robotnicy portowi i niewolnicy.

- Słuchajcie, morskie wilki - zaczął Wulfrede. - Nasz plan przewidywał pozbycie się ładunku w tym lub pobliskim porcie i wyruszenie w rejs powrotny do Kordawy przez Messancję. Ale trafiła nam się niezła gratka. Pewni Aquilończycy chcą wynająć „Tygrysa” na wyprawę za Khemi, by handlować z plemionami Czarnego Wybrzeża. Nie będziecie musieli znosić tłoku i smrodu niewolników; kupcom zależy na kości słoniowej i innych dobrach z lądu. Możemy popłynąć, dobić targu i wrócić przed nastaniem złej pogody. A Aquilończycy... - uśmiechnął się promiennie - zaoferowali potrójną stawkę w uznaniu za trudy. Co wy na to?

Conan wiedział, że tutaj, w porcie, na statku panowała częściowa demokracja, która natychmiast po wyjściu w morze odejdzie w przeszłość. Sądząc po stanie pokładu, Wulfrede był dobrym kapitanem. Cymmerianin nie zauważył na żaglowcu niewolników czy chłopców okrętowych. Van musiał twardą ręką trzymać ludzi, skoro sami wykonywali tak niewdzięczną pracę, jak szorowanie pokładu.

Pierwszy przemówił mężczyzna o długich rękach z twarzą małpy, należący do rasy nie znanej Cymmerianinowi.

- Jak daleko za Khemi, kapitanie?

Miał nadzwyczaj szerokie, lecz wąskie usta, a jego głos dźwięczał srebrzyście za sprawą kolczyka w nosie. Jednak efekt nie był komiczny.

- Na południe od Zarkheby.

- Jak daleko na południe? - dociekał marynarz.

- Jakies pięć czy sześć dni od rzeki. - Kapitanowi odpowiedział pomruk niezadowolenia. - Co? Wy, morskie wilki, wzdragacie się przed niewielką wycieczką na południe? Wiecie przecież, że im bardziej odległy i mniej odwiedzany ląd, tym większe zyski.

- Zyski dla kupca, być może, ale dla żeglarzy ryzyko!

- Umu, przecież ja nikogo nie zmuszam - tłumaczył cierpliwie Wulfrede.

- Kto chce, może od razu dostać zapłatę i zejść na ląd. A tam jest więcej marynarzy niż koi.

- Moi pracodawcy - Conan po raz pierwszy odezwał się do załogi - są bardziej niż hojni. Poza trzykrotną stawką oferują udział w zyskach. A chyba zdajecie sobie sprawę, ile mogą zarobić ci, którzy przeżyją.

Wulfrede spojrział na niego ze zdziwieniem, ale nie przerwał.

- Nie wierzę w niczyją hojność - warknął mężczyzna nazwany Umu. - A czemuż to te szczury lądowe miałyby być tak szczodre?

- Nie życzą sobie, by robiono wokół tego szum - odpowiedział Conan - ale zdradzę wam, że szukają nowych terytoriów dla kompani handlowej, która niedawno powstała w Aquilonii. Wszyscy wiecie, że kraj ten nie posiada dostępu do morza, lecz pełno tam bogatych kupców. Doraźne zyski z tej podróży nie są tak naprawdę najważniejsze, celem Aquilończyków jest odkrycie nowych rynków. Dlaczego mieliby nie podzielić się z wami pierwszym zyskiem? A kiedy w przyszłości utworzą flotę handlową, będą potrzebowali ludzi, którzy już tam byli.

Marynarze zaczęli szeptać między sobą.

- Zastanówcie się nad tym i podejmijcie decyzję - wtrącił Wulfrede. - Macie dwa dni. Nie boję się płynąć z niekompletną załogą. W każdym porcie, stąd po Kush, czeka wielu chętnych żeglarzy. Jeśli chodzi o mnie, pożegluję na południe z „Tygrysem Morskim”! Jesteście wolni.

Mężczyźni odeszli do swoich zajęć, gwarząc cicho o rejsie na dalekie Południe. Wulfrede odwrócił się do Conana.

- Zawsze wiedziałem, że Cymmerianie są bitnym narodem. Nie spodziewałem się jednak, że są także sprytni i pomysłowi.

- Aquilończycy powiedzieli, że nie interesuje ich handel. Nie sądzę, by mieli coś przeciwko podzieleniu się zyskami w zamian za posłuszną załogę.

- A ta handlowa kompania?

- Kto wie? Jeśli wyprawa okaże się tak opłacalna, jak mam nadzieję, może sam ją założę.

Wulfrede ryknął śmiechem i klepnął Conana po ramieniu.

- Myślę, że będziesz dobrym kompanem na morzu, Cymmerianinie!

Człowiek, który równie dobrze włada rozumem, jak i mieczem, jest wart więcej niż cała chmara szczurów lądowych. Zauważyłem też, że znasz się na statkach. - Van oparł się o reling i mówiąc nie patrzył na Conana. - Niewielu ludzi żeglowało tak daleko na południe jak ty. Pływałem wzdłuż tego wybrzeża przez wiele lat i nigdy nie spotkałem kapitana, który zapuściłby się dalej niż cztery, pięć dni żeglugi na południe od Zarkheby, chyba że cisnął go tam sztorm. A wtedy nikt nie tracił czasu, tylko wyrwał z powrotem pod pełnymi żaglami.

- Nie jest to przyjazne wybrzeże - rzucił niezobowiązująco Conan.

- W dodatku... - podjął z wahaniem Van - w dodatku te opowieści. Opowieści o czarnoskórych korsarzach, które słyszy się w żeglarskich spelunkach od Kordawy po Khemi. Parę lat temu stali się prawdziwym postrachem, kiedy ich flota zjednoczyła się pod przywództwem kobiety imieniem Belit, diablidy z Shem. Zamieniła ona wybrzeże Kushu w istne piekło. Chodzą słuchy, że przez pewien czas miała męża, mężczyznę równie niebezpiecznego jak ona. Był bardzo młody, ale dziki niczym tygrys, z rasy nie znanej nikomu na południu - wielki, czarnowłosy wojownik. Ci nieliczni, którzy widzieli go z bliska i przeżyli, twierdzili, że miał błękitne oczy. Słyszałeś kiedyś te opowieści? - Kapitan udawał zainteresowanie rozładunkiem towaru.

- Pijani żeglarze plotą wiele głupot - mruknął Conan. - Dawanie wiary tawernianym gadkom nie jest zbyt mądre.

- Tak, niewątpliwie masz rację. Zresztą, jakie to ma teraz znaczenie? Było to wiele lat temu. Dziewka została zabita, a mężczyzna... cóż, mężczyzna zniknął, nikt nie wie gdzie.

- To prawda - rzekł Conan. - No, chciałbym zobaczyć resztę statku.

Przez następne dwie godziny Cymmerianin zaglądał w każdy kąt, sprawdzał każdą linę, każde okucie i każdy kawałek żagla. Wspiął się na oba maszty i nawet rozebrał, by zanurkować i obejrzeć kadłub poniżej linii wody. Z zadowoleniem skonstatował, że okręt nadaje się do podróży i że zdoła się

obronić przed ludzkimi drapieżnikami. Uzbrojenie składało się z toporów i kordelasów, a poza tym z włóczni, oszczepów oraz łuków z pękami strzał. Były tam też lekkie zbroje ulubione przez żeglarzy: stalowe hełmy i pikowane kaftany, niektóre pokryte żelazną siatką, polakierowaną dla ochrony przed słonym i wilgotnym morskim powietrzem.

- Powiem twoim pracodawcom, że nie mogliby znaleźć lepszego okrętu
- oznajmił Conan po zakończeniu przeglądu.

- Nawet zingarańscy admirałowie nie przeprowadzają tak dokładnych inspekcji - powiedział Wulfrede. - A na pewno nigdy nie widziałem, żeby któryś rozbierał się do naga i buszował poniżej linii zanurzenia!

- Ocenianie okrętu na podstawie tego, co widać nad wodą, ma tyle samo sensu, co kupowanie konia bez sprawdzenia jego nóg. Widziałem wiele statków, odmalowane i wypolerowane od linii wodnej w górę, pod spodem były zgniłe, stoczone przez robaki, pełne plugastwa i skorupiaków.

- Znasz się na statkach - rzekł Wulfrede. - A jak dobrze się znasz na ludziach?

- Twoja załoga wygląda na doświadczoną, ale nie sposób odróżnić łajdaków od uczciwych.

Wulfrede odstłonił zęby w wilczym uśmiechu.

- Rzeczywiście, ale nie o nich mówiłem. Co z tymi Aquilończykami?

- Dobre pytanie. Ulfilo jest aquilońskim szlachcicem, a ci, jak wiem z doświadczenia, są twardzi. Ich kraj jest bogaty, lecz pozbawiony naturalnych granic, tak więc nawet bogaci muszą umieć walczyć o swoje bogactwa. On wygląda na typowego przedstawiciela swej rasy.

- Tak - mruknął z zadumą Van - dla nich najważniejsze jest dziedzictwo. My, ludzie z Północy, jesteśmy inni, wiesz o tym. Wszyscy wolni wojownicy są równi, a więzy krwi są wszystkim. My Vanirowie, wy Cymmerianie, nawet... - splunął do wody - żółtobrodzi Aesirowie znają wartość rodziny i tropiliby każdego przez pół świata, by pomścić śmierć brata. Ale Aquilończycy? Jedynie najstarszy syn dziedziczy majątek. Młodszy

muszą iść własną drogą. Czy kto kiedy słyszał, by aquiloński szlachcic opuszczał swoją ziemię, żeby ruszyć na poszukiwanie młodszego brata?

- To zagadka - przyznał Conan - i będę musiał ją rozwiązać. Ale wynajęli mnie, bym odnalazł człowieka, a nie szukał powodów, jakie nimi kierują.

- Tak, ale warto się nad tym wszystkim zastanowić. Co z pozostałą dwójką?

- Springald twierdzi, że jest uczonym, lecz jego postawa i dłonie wskazują, iż nie byle jaki z niego szermierz.

- Mól książkowy i wojownik w jednym ciele? Trudno w to uwierzyć, ale nie kwestionuję twojego sądu. A kobieta?

- Stanowi kolejną zagadkę. Mówi jak Aquilonka, lecz patrząc na nią, przysięgłbym, że jest Hyperborejką.

- Trzy dziwne ptaszki na wyprawie głupców - podsumował Wulfrede. - Czego według ciebie szukają naprawdę, Conanie?

- Wynajęli nas, żebyśmy pomogli w odnalezieniu zaginionego brata. Dopóki płacą, nic więcej nie powinno nas interesować.

- Zgadza się z tym, o ile ich pieniądze jest tego wart - powiedział z powątpiewaniem kapitan.

Tego wieczora Conan spotkał się z nowymi pracodawcami w sali jadalnej gospody, dużo lepszej od „Albatrosa” i bardziej odpowiadającej ich godności. Ku jego wielkiemu rozbawieniu, zadali dokładnie takie same pytania, jak kapitan.

- Conanie - zagadnął Springald - nie jesteśmy doświadczeni w sprawach dotyczących morza czy ludzi, którzy po nim żeglują. Spędziłem życie na czytaniu o wyprawach wielkich podróżników, ale wiedza czerpana z książki nie może się równać z doświadczeniem. Co więc myślisz o kapitanie Wulfredzie, o jego statku i załodze?

- Powiem ci z całym przekonaniem - odrzekł Conan - że nie ma lepszego statku do takiej podróży. To okręt odpowiedni i do walki, i do

przewozu towarów. Marynarze wyglądają na doświadczonych i umiejących władać bronią. Ale Wulfrede nie utrzymywałby statku w tak doskonałym stanie, gdyby zajmował się tylko okazjonalnie przewozem ładunków sztab cyny z Kordawy do Asgalunu.

- Chcesz powiedzieć, że jest piratem? - zapytał Ulfilo.

- To nie takie proste. Są typowi piraci, jak czarni korsarze i Barachańcy, którzy zajmują się tylko rozbojem. Ale kapitanowie-kupcy żeglujący po tych niebezpiecznych, obcych wodach też są po części piratami. Kiedy napotykają ludzi silnych i dobrze uzbrojonych, handlują z nimi. Kiedy tamci nie mogą obronić siebie czy swego dobytku, handlarz zmienia się w pirata i zabiera towar siłą.

- To ludzie bez honoru - stwierdził Ulfilo.

Conan potrząsnął głową.

- Na morzu jest inaczej. Tam ludzie zawsze są sami i narażeni na niebezpieczeństwo. Zawsze znajdują się wśród obcych i widzą rzeczy inaczej. Poza tym... - wyszczerzył się do Ulfila - mieszkańcy lądu nie różnią się aż tak bardzo. Czy twoi przodkowie kupili ziemię, której obecnie jesteś panem? Założę się, że nie. Zabrali ją komuś, kto był słabszy.

- Jesteś bezczelny, Cymmerianinie! - Ulfilo popatrzył groźnie.

- Mój stary przyjacielu - odezwał się Springald, mrużąc oczy - jest dużo prawdy w jego słowach. Nasi hyboriańscy przodkowie byli barbarzyńcami, jak wszyscy inni. Szacunek, żeby nie powiedzieć szlachectwo, zdobywa się odcinając od dawnych przestępstw.

- I jak myślisz? - Malia zwróciła się do Conana. - Możemy zaufać temu człowiekowi?

- Wykona robotę, do której go wynajęliście. Myślę że pod tym względem można na nim polegać. Ale jeżeli chodzi o wielkie bogactwo, nie odwróciłbym się do niego plecami.

- A kto mówi o wielkim bogactwie? - zapytał ostro Ulfilo.

- Nikt... na razie.

- I niech tak będzie dalej. Szukamy mojego brata, niczego więcej.
- Mnie nietrudno w to uwierzyć - powiedział Conan - Ale być może trzeba będzie przekonać kapitana i jego załogę.

III

MROCZNE MIASTO

Północny wiatr wydymał oba trójkątnie żagle „Tygrysa Morskiego”, który dziarsko pruł dziobem leniwe fale. Wulfrede stale baczył na wychylenie rei i napięcie lin. Czasami żagle zwisały prawie płasko, innym razem wybrzuszały się potężnie, grożąc zerwaniem.

Była pełnia żeglarskiego sezonu, tak więc na horyzoncie często pojawiały się inne statki. Od czasu do czasu jakiś okręt podpływał bliżej, ale widok smukłego, kojarzącego się z korsarstwem kadłuba powodował, że intruz ruszał na poszukiwanie innego towarzystwa.

Conan był zadowolony ze statku i sposobu, w jaki nim dowodzono. Chociaż nie wchodził w skład załogi, łapał za liny czy ciężki kabestan, gdy była taka potrzeba. Widząc jego siłę, równą mocy pięciu ludzi, marynarze głośno wyrażali zdumienie. Paru majtków złościło się tymi pokazami, a przede wszystkim podobny do mały Umu. Szczycił się swoją krzepą i wykorzystywał ją do tyranizowania innych. Chociaż na statku nie było innych oficerów poza kapitanem, Umu sam ustanowił się głową załogi. Dlatego wściekało go zachowanie Conana. Cymmerianin był świadom tej niechęci, dotąd jednak marynarz nie wyzwał go otwarcie.

Wzbudziło to podejrzenia Conana. Nie chodziło o to, że mężczyzna uważał go za rywala, w Cymmerii było to normalne. W dzikim, niezdyscyplinowanym świecie bandytów, piratów i najemników silniejszy dominuje nad słabszym, a najsilniejszy zawsze musi podejmować wyzwania innych. Conan spodziewał się walki z Umu przed upływem trzeciego dnia na morzu, jednak marynarz piorunował go jedynie wzrokiem. Cymmerianin

wiedział, że to nie lęk powstrzymuje marynarza. Musiało kierować nim coś innego.

- O czym tak dumasz, Conanie? - zapytała Malia. Wyłoniła się ze swej malutkiej kabiny i przyłączyła do niego na rufie, gdzie stał obok sternika.

- Morze jest niebezpiecznym i niepewnym miejscem - powiedział. - Widzisz te chmury na południu? - Wskazał ledwo widoczną smugę nad horyzontem.

- Widzę. Według mnie wyglądają niewinnie.

- Według ciebie, być może, ale mogą zapowiadać sztorm, który dopędzi nas z szybkością atakującego tygrysa. Na morzu nikt nie jest niczego pewny.

Zaśmiała się.

- Conanie, jesteś tak ponury, jak nasz kapitan wesoły. - Skinęła głową w kierunku Vanira, który stał na śródkręciu i wesoło pokrzykując na marynarzy, kierował zmianą ustawienia żagli. - Springald powiedział mi, że Cymmerianie to ponuracy o zmiennym usposobieniu, Vaniorowie zaś są dzicy i weseli zarazem.

- Wiedza Springalda o wielu sprawach pochodzi z ksiązek - rzekł Conan. - Vaniorowie są wesołym ludem, zgodzę się z tym, i nigdy nie są tak radośni, jak podczas torturowania jeńców, wypalania wiosek do gołej ziemi, porywania cymmeriańskich kobiet i dzieci oraz zakuwania ich w łańcuchy. Aesiorowie mają podobne poczucie humoru. Nigdy nie poznasz prawdziwej radości, póki nie ujrzysz walki między tymi ludami. Potrafią ryczeć ze śmiechu, gdy przeciwnik odrąbuje im nogę.

- Twoi pobratymcy z północy są barbarzyńcami. Cywilizowani ludzie traktują walkę poważniej.

- Jednak sądząc z twojego wyglądu, wydaje mi się, że Północ nie jest ci tak bardzo obca. W twoim głosie nie ma śladu obcego akcentu, lecz twarz i karnacja zdradzają, iż pochodzisz z Hyperborei.

- Moja matka była szlachetną panią z tego kraju. Jej ojciec wysłał ją na brythuńskie pogranicze, gdzie wychowywała się w domu wielmoży, z którym

pragnął zawrzeć przymierze. Syn owego wielmoży był moim ojcem, ale nie pamiętam go. Zginął, gdy dwadzieścia lat temu Nemedycjczycy napadli na Brythunię. Matkę i mnie zabrano do Belverusu, gdzie została nałożnicą jednego z nemedyjskich generałów. Zmarła w czasie zarazy pięć lat temu. Kiedy poprosił o mnie przystojny młody kapitan najemników, Nemedyczyk odprawił mnie z zadowoleniem, bo jego żona stała się zazdrosna o moją urodę. Ten najemnik to Marandos, brat Ufilo, i chciał mnie nie jako kochankę, ale jako żonę. Byliśmy szczęśliwi przez trzy lata, zanim wrócił do domu.

Nie była to niezwykła historia. W niespokojnych czasach los krył w zanadrzu przykre niespodzianki nawet dla dobrze urodzonych. Kobiety i młodszy synowie od ludzi z innych sfer różnili się jedynie dumą z pochodzenia, poza nią nie mieli prawie nic.

- A jednak rzucił cię i udał się w podróż na południe, aż za Kush - powiedział niezbyt uprzejmie Conan. Nie chciał, żeby zabrzmiało to tak brutalnie.

- On mnie nie rzucił. Zamierzał w ten sposób podreperować nasz majątek. On...

- Malia! - przerwał Ufilo, który wyłonił się spod pokładu. - Wynajęliśmy Conana jako przewodnika. Jeśli potrzebujesz powiernika, zwróć się do kogoś innego. Springald bardziej nadaje się do tej roli niż obecny tutaj Cymmerianin.

Spojrzała na niego ze złością.

- Jesteś jedynie moim szwagrem, nie strażnikiem. Będę rozmawiać, z kim przyjdzie mi ochota!

- Pozostajesz pod moją opieką, dopóki nie spotkasz się ze swoim mężem, a moim bratem.

Przez chwilę patrzyła na niego z ukosa, a potem odeszła bez słowa.

- Nie interesuj się sprawami mojej rodziny - oświadczył kategorycznie Ufilo.

Conan wzruszył ramionami.

- Możesz ufać mi albo nie, jak sobie życzysz, ale być może przed końcem podróży będziesz potrzebował przyjaciół, margrabisie.

- Co przez to rozumiesz?

Conan skinął w stronę śródokręcia.

- Myślę, że niektórzy z nich zostali na statku w nadziei, że ta ekspedycja ma na celu coś więcej, niż tylko odnalezienie twojego brata. Według nich miłość braterska czy nawet małżeńska nie wystarczy, by zdobyć się na tego rodzaju poświęcenie. Szlachcic opuszczający swoją ziemię i podróżujący przez pół świata jedynie w towarzystwie kobiety i nauczyciela to coś, co wykracza poza ich zdolność pojmowania. Przyznam, że nawet ja byłbym zdziwiony, gdybyś mnie nie wynajął do poszukiwań. Mnie tam wystarcza takie wyjaśnienie, nie jestem podejrzliwym człowiekiem.

Ulfilo zacisnął mocno usta. Conanowi wydawało się, że mina szlachcica wyraża nie tylko gniew, ale także zakłopotanie człowieka z natury otwartego, który jest zmuszony do udzielania wymijających odpowiedzi.

- Myślisz, że te psy mogą nam zagrazić? - wysyczał w końcu Ulfilo.

- Możemy znaleźć się w sytuacji od niebezpiecznej po beznadziejną, w zależności od tego, ilu przeciw nam wystąpi. Nie zrobią nic, póki nie będzie się to im opłacać.

- Dowiesz się więcej, kiedy dotrzemy do Wybrzeża Kości - obiecał Ulfilo. - Na razie wyjawienie czegokolwiek nie jest możliwe.

- Jak chcesz. Ale gdy przez te niedomówienia znajdziemy się w tarapatach, tylko siebie będziesz mógł winić.

Conan miał nieco lepszy nastrój, gdy na świeże powietrze wyszedł Springald. Mały uczonek był blady, ale po raz pierwszy od postawienia, żagli pewnie trzymał się na nogach.

- Och, mój cymmeriański przyjacielu, chyba będę mógł coś przekąsić dzisiejszego wieczora... no, może jutro.

Conan się uśmiechnął.

- Cieszę się, widząc, żeś prawie wrócił do zdrowia.

- Przez całe życie studiowałem wyprawy dawnych podróżników. Żyłem mapami, kartami i transkrypcjami ksiąg nawigacyjnych. Ale nigdy dotąd nie byłem na otwartym morzu. Starożytni podróżnicy nigdy nie wspominali o takiej zemście bogów morza nad biednymi ludźmi z lądu.

- Choroba mija z czasem - zapewnił Conan - i uważaj się za szczęśliwca. Mamy idealną pogodę do żeglowania, statek prawie się nie kołysze. Gdybyś trafił na sztorm, mógłbyś chorować tygodniami.

- Nawet mi o tym nie mów! Porozmawiajmy o czymś innym.

Zaczął szperać w wielkiej skórzanej sakwie, z którą się nie rozstawał. Wystawały z niej zwoje papirusu, arkusze pergaminu i grzbiety książek. Wyjął księgę wyglądającą na antyczną. Skóra okładki, niegdyś świetna, teraz była wytarta i spękana oraz pełna licznych dziur.

- To *Kroniki podróży kapitana Belphormisa* - objaśnił Springald. - Był nawigatorem żyjącym około tysiąca dwustu lat temu i żeglował do lądów położonych blisko naszego celu.

- Ta książka jest stara. - Conan wziął tom z rąk uczonego. - Ale nie wygląda na tysiąc dwieście lat.

- Bo tyłu nie ma. Została skopiowana z nie istniejącego już oryginału, spisane na zwojach. Sztuka tworzenia książek liczy sobie od siedmiuset do dziewięciuset lat, chociaż wierze, że była już znana niektórym bardzo starym cywilizacjom. Wiele umiejętności zostaje zapomnianych i potem odkrytych na nowo. W każdym razie, kopię tę wykonano pięćset lat temu dla króla Heptadosa z Aquilonii. Jak widzisz, na każdej lewej stronie jest oryginalny tekst staroschemicki, podczas gdy na prawej widnieje tłumaczenie aquilońskie z owego czasu. Zgodnie z przypisem na karcie przed tytułem, około dwustu lat temu książka uległa zniszczeniu i została wysłana wraz z wieloma innymi do Luksuru do naprawy i ponownego oprawienia. Stygijczycy są niezrównanymi mistrzami we wszystkich sztukach związanych z wyrobem książek. Po renowacji tom umieszczono na półce w Królewskiej Bibliotece w

Tarancii i mam powody przypuszczać, że od tej pory nikt przede mną nie brał go do ręki. Ja sam natknąłem się na niego pięć lat temu. Zniszczenia, które widzisz na okładce, powstały z powodu zaniedbania. Stąd te ślady po molach.

- Z języka i imienia kapitana wnioskuję, iż musiał on być Shemitą - stwierdził Conan.

- Tak, a jego statek, „Ashtra”, nosił imię shemickiego bóstwa. Nie wydaje ci się dziwne, że niegdyś Shem był morską potęgą?

- Bardzo! Shemici to rasa pasterzy i poganiaczy bydła. Nawet morscy kupcy w Asgalunie to cudzoziemcy. W Shemie nie brakuje żeglarzy, jak w każdym nadmorskim kraju, ale zasadniczo unikają otwartego morza.

- Nie zawsze tak było. Wiele lat temu istniał Ashur, jedno z państw wchodzących w skład dzisiejszego Shemu. Małe i ubogie, ale posiadało jedyny przyzwoity port na całym wybrzeżu, tam, gdzie teraz leży Asgalun. Wojownik-król Belsepa, który założył dynastię Den, wiedział, że jego kraj jest słaby, ale ma dostęp do morza. Po objęciu tronu postanowił, że stworzy z tego państewka morską potęgę. Zawarł liczne przymierza, aby zdobyć potrzebne surowce i doświadczonych ludzi. W Shemie brak drewna odpowiedniego do budowy statków, handlował więc z Argosem i Zingarą. Rozdawał ziemię, płacił złotem i gwarantował niższe podatki szkutnikom, powroźnikom i mistrzom innych rzemiosł, by przyciągnąć ich do swego kraju. Najmował szyprów, nawigatorów i doświadczonych żeglarzy, by nauczyli jego poddanych sztuki czytania map i żeglowania według gwiazd. Kiedy umarł, zostawił po sobie liczącą się flotę kupiecką i wojenną.

- A później jego praca poszła w zapomnienie - powiedział Conan - nigdy bowiem nie słyszałem o czymś takim, jak shemicki statek. Nieliczni znani mi shemiccy żeglarze byli piratami. Mieszkańcy Shemu od pokoleń napadają na innych, na stałym lądzie i na morzu.

- A jednak przez trzysta lat, jak długo rządziła dynastia Den, Shemici z Ashuru byli wielkimi nawigatorami i badaczami wielu wybrzeży, poczynając od leżącego daleko na północy Vanaheimu, kończąc na odległym

południowym krańcu kontynentu. Tam znaleźli przylądek, za którym linia brzegowa skręca w kierunku północno-wschodnim. O jednej wielkiej ekspedycji mówi się, że dotarła tym szlakiem do Vendhyi, ale nie przeżył żaden wiarygodny świadek.

- Dotarli do Vendhyi żeglując na południe? - zdumiał się Conan. - To musiała być podróż godna bohaterów!

- Przypuszcza się, że powrót zabrał im trzy lata, a z pięciu statków, które wyruszyły, powrócił tylko jeden. W owych czasach żyli wielcy żeglarze - westchnął Springald.

- W każdym razie - podjął po chwili - nadszedł czas głodu dla całego Shemu. Panował nieurodzaj, trawa uschła, a trzoda i stada wyzdychały. Zaczęli umierać ludzie. Jedynie morski naród Ashurów żył w dostatku, co wzbudzało wielką zawiść. Potem Ashur nawiedziło okropne trzęsienie ziemi. Inni Shemici uznali, iż nieszczęście to zesłali ich pasterscy bogowie, jako karę za to, że Ashurowie odwrócili się od nich i ruszyli na morze.

Katakлизм zrównał z ziemią mury i większą część miasta. Horda wygłodzonych Shemitów napadła na Ashur i spustoszyła stolicę, zabijając wszystkich mieszkańców i paląc te statki, które w wyniku trzęsienia ziemi znalazły się na lądzie. Zniszczyli również archiwa, w których przechowywano księgi nawigacyjne i morskie mapy. Ocalało jedynie kilka map i ksiąg, ta jest jedną z nich. - Z powrotem wziął tom do ręki. - Belpormis żył pod koniec okresu świetności Ashuru. To jest kronika jego podróży do rzadko odwiedzanego Wybrzeża Kości.

- Jak to się stało, że ta księga ocalała z pożogi?

Springald wzruszył ramionami.

- Nie można wytłumaczyć tego inaczej niż kaprysem bogów. Z wielkiego zniszczenia niektóre rzeczy wychodzą w stanie nienaruszonym. Czasami giną wielkie i cenne dzieła, drobiazgi zaś pozostają całe. Być może oryginalny zwój był schowany w skrzyni w jakimś lochu i dzięki temu uniknął spalenia. Być może był na pokładzie statku albo też został kupiony czy innym

sposobem pozyskany przez jakiegoś podróżnika i w tym czasie już znajdował się w rękach Aquilończyków. Nieważne, jak było. W każdym razie jakiś uczonec doszedł do wniosku, że warto go przetłumaczyć i wydać w formie książki.

- A co ten starożytny kapitan mówi o naszym celu?

- Zobaczmy... - Springald szybko przewertował stronicę. Było jasne, że dokładnie wie, gdzie szukać. - Aha, to tutaj: „Poszarpane białe skały są tak liczne i tak blisko siebie, że lawirowaliśmy między nimi przez cały niespokojny dzień. Dopiero przed samym zachodem słońca bezpiecznie rzuciliśmy kotwicę, a następnego ranka zesłaliśmy na ląd”. Dalej opisuje, co robili tego dnia. Jest podana data, która nic nam nie mówi, gdyż nie znamy już kalendarza używanego w Ashur i możemy jedynie się domyślać, o jaki chodzi okres.

„Wraz z pierwszymi promieniami popłynęliśmy na ląd. Część załogi udała się z beczułkami do zielonego strumienia, by uzupełnić zapasy, ale woda była zbyt zanieczyszczona przez rzeczne wodorosty. Plaża jest wąska, pełna drobnego białego piasku. Gęsta dżungla wyrasta dwadzieścia kroków od linii przyływu”.

- Właśnie tak pamiętam to miejsce - rzekł Conan. - Czy Borana już tam mieszkali?

- Nie ma o nich wzmianki. Ale byli tam jacyś ludzie. - Uczonec przewrócił parę kartek. - Tutaj mamy opis drugiego dnia wyprawy w głąb lądu: „Od pierwszych kroków w dżungli dostrzegamy ślady zostawione przez ludzi: dziwne maski i fetysze zwisające z drzew, posągi wyrzeźbione z kamienia i drewna, popioły ognisk i tym podobne, ale dopiero dzisiaj około południa natknęliśmy się na grupę wojowników”.

- Dlaczego podróżowali w głąb lądu?

- Kapitanowie statków kupieckich często prowadzą handel wymienny z tubylcami.

Conan był świadom, że Springald wymigał się od odpowiedzi, ale

pominał to milczeniem.

- Pisz dalej: „Ci ludzie różnią się od tych, których widzieliśmy na czarnym wybrzeżu. Są wyżsi, mają jaśniejszą skórę i odmienne rysy, malują ciała farbami. Na biodrach noszą przepaski ze świetnego materiału. Ich broń stanowią włócznie o szerokich, porządnie wykutych ostrzach. Wielu wojowników zakłada ozdoby ze złota. Nasi dwaj przewodnicy okazali wielkie zdumienie i lęk na ich widok, obcy zaś patrzyli na nich z największą pogardą, choć wobec nas byli czujni, niemalże wrodzy”. - Springald popatrzył na Conana. - Chyba zdajesz sobie sprawę, że niektóre fragmenty muszę tłumaczyć. Staroaquiloński sprzed pięciuset lat brzmi dziwnie w naszych uszach.

- A tekst jest tłumaczeniem z shemickiego. Myślisz, że przekład jest wierny?

Pomimo kiepskiego samopoczucia, Springald zdobył się na uśmiech.

- Trafne pytanie, przyjacielu. Nigdy nie pokazywałem tego badaczowi płynnie władającemu staroshemickim, ale moja własna cząstkowa znajomość tego języka mówi mi, że tłumaczenie jest dobre.

Springald spojrzął w kierunku czarnej chmury. Jeszcze niedawno taka mała, teraz zajmowała czwartą część horyzontu. Na śródkręciu Wulfrede przeklinał i wyszczekiwał rozkazy. Ludzie rzucili się do refowania żagli. Springald pobladł na ten widok jeszcze bardziej.

- Na Mitrę! Czy to oznacza pogorszenie pogody?

Conan pokazał zęby w uśmiechu.

- Tak. I jeśli chcesz, by twoje książki nie zamokły, lepiej schowaj je do kufra. Pokład na tym statku zbudowany jest z luźno połączonych desek. Dzięki temu żaglowiec utrzymuje się na wodzie, gdy inne idą na dno. Ale ma to swoją cenę. W czasie sztormu i ulewy pokład przecieka niczym wiklinowy koszyk.

- Naprawdę? Tylu rzeczy muszę się jeszcze nauczyć. - Schował książkę i starannie zamknął sakwę. - Mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawił w

czasie burzy. Ja nie. - Z tymi słowami zszedł pod pokład.

Wiedząc, że nie będzie to niszczycielski sztorm, Conan z przyjemnością czekał na pierwsze podmuchy. Nadciągał mocny szkwał, który skończy się wieczorem albo w nocy. Dzięki niemu Cymmerianin będzie miał okazję się przekonać, jak okręt zachowuje się w czasie złej pogody. Obserwując zbliżające się chmury i wydymające żagle, rozmyślał o Springaldzie i jego książce.

Conan nie był już chłopcem, który niegdyś przemierzał te morza u boku Belit. Od tego czasu służył w wielu armiach i sporo się nauczył o ludziach posiadających władzę. Poznał też pismo, gdyż w większości cywilizowanych armii wymagano, by człowiek noszący oficerskie szlify potrafił pisać i czytać. Było jasne, że Springald dał mu do rąk książkę, przypuszczając, iż barbarzyńca nie potrafi czytać po aquilońsku. Uczony się mylił.

Prawda, archaiczna forma języka aquilońskiego zbiła Conana z tropu, ale mimo wszystko zrozumiał wiele słów, między innymi te napisane literami nieco większymi, jak gdyby posiadały specjalne znaczenie: „Rogi Shushtu”.

- Będzie się można ponaśmiewać z naszych szczurów lądowych, co, Conanie? - odezwał się Wulfrede. Zeskoczył z kasztelu, nie zawracając sobie głowy schodzeniem po stopniach.

- Będą chorować - stwierdził Cymmerianin - ale wytrzymają. Są z innej gliny niż kupcy, którym żeglarze tak często płatają figle. Ścierpią przykrości w milczeniu i wrócą dumni jak zawsze. Nie można ośmieszyć prawdziwych arystokratów.

Wulfrede skinął głową.

- Tak, chyba masz rację. Ten Ulfilo wygląda na twardziela. I nigdy nie widziałem, by ktoś zadzierał nosa tak wysoko, jak ta biała dziewczka. Nawet ten mól książkowy nie ścierpi zaczepek marynarzy. - Przerwał, po czym podjął innym tonem: - Conanie, zauważyłeś sakwę, którą cały czas nosi?

- Trudno nie zauważyć.

- Nie jestem uczonym, ale wystarczająco dobrym żeglarzem, by na

pierwszy rzut oka rozpoznać mapy i księgi nawigacyjne.

- Tak, ma coś takiego. Ale co z tego? Studiujecie wojaże starożytnych podróżników. Z jakiego innego powodu miałyby targać z sobą te szpargały?

Wulfrede parsknął.

- Uczni spędzają czas na czytaniu o przygodach ludzi dzielniejszych od siebie w swych zasnutych pajęczyną bibliotekach. Nie, człowiek wyrusza na morze z workiem pełnym map, gdy czegoś szuka, ale nie czyjegoś brata! Mówię ci, Aquilończycy są na tropie wielkich skarbów. Cóż innego mogłoby zmusić dobrze urodzonych do porzucenia swoich ziem i udania się na nieznane wody?

Teraz z kolei parsknął Conan.

- Mapy skarbów! Wiesz przecież, że takie bajdy są wymyślane w żeglarskich spelunkach, aby obedrzeć naiwniaków z grosza. W Kordawie proponowano mi takie mapy, trzy w ciągu jednego wieczora. Dawno temu, gdy byłem zbyt młody, by znać się na mapach czy pieniądzach, nawet kupiłem jedną czy dwie.

- Czy takie podróbki mogłyby oszukać prawdziwego znawcę? - zastanowił się Wulfrede. - Myślisz, że Springald dałby się nabrać na mapy sprzedawane w portach?

Conan potrząsnął głową.

- Nie, nie sędzę, ale to nie oznacza, że twoje podejrzenia są uzasadnione. A nawet jeśli szukają skarbu, z pewnością sami nie ruszą w głąb łądu. Borana zjedliby ich na kolację, jeśli wcześniej nie dorwałyby ich dzikie bestie czy wielkie węże.

- Jakie więc są ich plany?

- Nie mam pojęcia. Wiem, do czego mnie wynajęli i zamierzam się z tego wywiązać. Kiedy doprowadzimy ich tam, dokąd chcą dotrzeć, wtedy być może zainteresujemy się ich prawdziwymi zamiarami.

Wkrótce zaczął się sztorm i mieli zbyt dużo pracy z utrzymaniem okrętu na kursie, by tracić czas na pogawędkę.

Był gorący, pogodny dzień, gdy woda przed dziobem „Tygrysa Morskiego” zmieniła kolor z błękitnego na głęboką zielen, a potem na mętny brąz. Aquilończycy, którzy doszli do siebie po chorobie morskiej, stojąc na pokładzie komentowali ten fenomen.

- Co to znaczy? - spytała Springalda Malia.

Conan był rozbawiony faktem, że kobieta pyta uczonego miast żeglarza. Jednak Springald znał odpowiedź.

- Wpłynęliśmy w rozlewiska rzeki. Gdybyś wyciągnęła wiadro tej mętnej wody, przekonałabyś się, że jest słodka, a nie słona. Oczywiście nie polecam ci próbować. Sądząc z wielkiego zasięgu tego rozlewiska, uważam, że to może być jedynie Styks, zwany w niektórych językach Nilusem. To jak na razie największa znana rzeka świata. Przepływa przez cały kontynent i zbiera z niego wszelakie śmieci i brudy. Stygijczycy mogą pić tę wodę, ale cudzoziemcy po jej skosztowaniu zapadają na tysiące chorób.

- Wobec tego musimy być blisko Khemi - powiedział Ulfilo. - Jak blisko, Conanie?

- Dotrzemy tam po południu - odparł posępnym tonem.

Słońce prażyło mocno, więc Cymmerianin chodził teraz boso i nosił jedynie krótkie spodnie, popularne wśród marynarzy. Szkarłatna szarfa podtrzymywała mu niesforne włosy i chroniła oczy przed zalaniem potem.

- Nie wyglądasz na zadowolonego - stwierdził Springald.

- Bo nie jestem. Nie lubię Stygii i wszystkiego co z nią związane. Tutejsi ludzie są zastraszonymi niewolnikami kapłanów i czarnoksiężników. Cały naród jest nieczysty.

- Ale jest to najstarszy dzisiaj kraj, spadkobierca starożytnego Acheronu i strażnik tajemnic legendarnego Pythonu. My, Hyborianie, jesteśmy jeszcze dziećmi w porównaniu ze Stygijczykami. Ledwie parę stuleci temu nasi przodkowie byli prymitywnymi barbarzyńcami, historia Stygii zaś liczy już tysiąclecia!

- I jest to historia oprawców i zniewolenia - dopowiedział Conan. -
Lepiej być uczciwym barbarzyńcą niż wielmożą władającym czarną magią.

- Nieważne - uciął Ulfilo - musimy zawinąć do Khemi.

Dołączył do nich Wulfrede.

- Rozmawiacie o Khemi? Muszę wam powiedzieć, że nie jest to zwykły port. Stygijczycy nie lubią cudzoziemców. Po zapadnięciu zmroku nie wpuszczają obcych do miasta.

- Jak oni mogą handlować w takich warunkach? - zapytała Malia.

- W porcie jest wyspa zwana Żółwiem. Tam zatrzymują się obce okręty i cudzoziemscy goście. Jedynie pod strażą zezwala się niektórym statkom opuścić Żółwia i zacumować w przystani. Każdy cudzoziemiec, który zostanie złapany w mieście po zachodzie słońca, natychmiast jest zabijany.

- Stygia rzeczywiście jest krajem tak okropnym, jak mówi Conan - skomentował Ulfilo.

- Ale bogatym - rzekł Wulfrede. - Tamtejsi królowie i wielmoże zawsze potrafią się obłowić, i niewiele z bogactw, które dostają się do Stygii, opuszcza jej granice. Stygijscy władcy byli grzebani z większą ilością złota, niż inni królowie kiedykolwiek posiadali. - Zgodnie z naturą Vanirów, w oczach kapitana płonęło podniecenie, gdy mówił o wielkich skarbach. - Gdyby ich klątwy nie były tak diabelsko skuteczne, już przed laty wybrałbym się z paroma łodziami do Stygii, choćby po to, by splądrować groby.

- Szkoda, że nie cierpią cudzoziemców - powiedział Springald. - Miałem nadzieję skorzystać z okazji i w czasie postoju w Khemi zobaczyć niektóre znane mi z ksiąg cudowne widoki. Chciałem popłynąć w górę rzeki do Luxuru, gdzie, jak wieść niesie, mieszczą się grobowce i świątynie, których wspaniałość i ogrom przerasta wszelkie wyobrażenia.

Malia wzruszyła ramionami.

- Myślę, że im szybciej znajdziemy się z powrotem na morzu, tym lepiej. Załatwmy nasze sprawy, wypytajmy o mego męża i ruszajmy w dalszą podróż.

- Jak na razie to najlepszy plan - stwierdził Conan.

- Co więcej, Stygijczycy zostawią nam niewielki wybór - dodał Wulfrede.

Po obu stronach mętnego Styksu w morze wdzierały się dwa skaliste cyple. Szczyt każdego wieńczyły liczne przysadziste zamki wzniesione z czarnego kamienia, niektóre bardzo stare i opuszczone, inne nadal zamieszkane. Wały były obsadzone ludźmi i obstawione wielkimi wojennymi machinami przeznaczonymi do niszczenia niepożądanych okrętów. Na „Tygrysie Morskim” opuszczono żagle i wystawiono wiosła.

Nim minęli forty strzegące wejścia do portu, w ich stronę ruszył niewielki statek pchany wiosłami wielu par czarnych wiosłarzy. Na jego dziobie widniał taran w kształcie krokodylej głowy.

- Czy chcą nas zatopić? - zapytała niespokojnie Malia.

Wulfrede zaśmiał się.

- To tylko kuter celny, istne paskudztwo, ale nie taki groźny. Wierz mi, gdybyś zobaczyła ruszającą na nas jedną z ich wojennych galer, sama złapałabyś za wiosła, żeby jak najszybciej zejść Stygijczykom z oczu.

Celnicy w bryzgach piany podpłynęli do burty „Tygrysa” i między statkami przerzucono trap. Z kutra wysiadło wielu ludzi. Większość stanowili czarnoskórzy, krzepko zbudowani mężczyźni. Dowodził nimi wysoki Stygijczyk o równie ciemnych włosach i oczach, ale jaśniejszym odcieniu skóry. Należał do rządzącej kasty.

- Proszę o licencję, kupcze.

- Widziałeś ją wcześniej - mruknął Wulfrede, podając miedziany dysk z wyrytymi hieroglifami.

- Wszyscy Vanirowie są dla mnie tacy sami. Mógłbyś być każdym innym rudobrodym. - Mężczyzna spojrział na pasażerów tak wyniośle, jakby był udzielnym panem, nie królewskim urzędnikiem. Jego oczy zatrzymały się na Conanie. - Z jakiej rasy pochodzisz?

- Jestem Cymmerianinem. - Skrzyżował ręce na piersiach i popatrzył z

góry na urzędnika.

- Nigdy o nich nie słyszałem. Co was tu sprowadza?

- Płyniemy na Czarne Wybrzeże, by kupić kość słoniową, pióra i inne dostępne dobra - odpowiedział Wulfrede. - Chcielibyśmy tutaj uzupełnić towary na wymianę.

- Wiesz, że za wszystko trzeba płacić złotem i srebrem?

- Tak. Handlowałem tu już wcześniej.

- Ale cudzoziemcy są głupcami i czasami zapominają. A pewni stygijscy kupcy wchodzą z nimi w nielegalne interesy. Unikajcie ich. Im grozi surowa kara, a wam jeszcze surowsza. - Popatrzył na Malię. - Ona też płynie na Czarne Wybrzeże?

- Płynę - odparła.

Nie zwracając na nią uwagi, urzędnik odezwał się do kapitana.

- Znajdzie tam tylko śmierć. Równie dobrze możesz sprzedać ją tutaj. Taka karnacja należy do rzadkości w tym kraju, dziewczka uzyskałaby niezłą cenę.

Policzki Malii poczerwieniały. Dłoń Ulfila sięgnęła po miecz, lecz Conan i Wulfrede złapali go za ramiona.

- Zastanowimy się nad tym - powiedział Wulfrede.

- A teraz odwróćcie się, zawiążemy wam oczy - rozkazał urzędnik.

- Co? - wykrzyknął zaskoczony Ulfilo.

- Takie jest tutejsze prawo - wyjaśnił Wulfrede. - Jedynie ich piloci mogą wprowadzać statki do portu. Dno rzeki jest najeżone okutymi żelazem palami i szponami z brązu. Nikt z zewnątrz nie może się dowiedzieć, którądy biegnie bezpieczny kanał. Każdego roku, tak na wszelki wypadek, zmieniają rozmieszczenie tych pułapek. Aby się zabezpieczyć, niewolników, którzy je ustawiają, zabijają po wykonaniu zadania.

Z rezygnacją się zgodzili, by zawiązano im czarne jedwabne opaski. Marynarze zostali potraktowani w podobny sposób i musieli wiosłować na ślepo. Przez prawie godzinę słychać było jedynie skrzyp wiosł w dulkach i

głos pilota, który po cichu podawał instrukcje. Potem opaski zostały zdjęte.

Mrużąc oczy, porażone nagle światłem, z zaciekawieniem rozglądali się po porcie. Większa część miasta leżała na południowym brzegu rzeki, za portowymi magazynami wyrastały świątynie gigantycznych rozmiarów. Po stronie północnej mieścił się port wojenny. W kamiennym doku, większym od największego pałacu znanego w innych krajach, stała setka wojennych galer.

Przed nimi wyrastał Żółw, garbata wyspa o długości nie więcej niż stu kroków, pełna przystani, magazynów, tawern i faktorii. Brak świątyń czy posągów był czymś niezwykłym w tym kraju.

- Zostawiam was tutaj. - Urzędnik ruszył do trapu. - Przestrzegajcie prawa i płaćcie wszystkie należności.

Po jego odejściu wszyscy odetchnęli z ulgą.

- Nigdy wcześniej nikt nie odezwał się do mnie bezkarnie w ten sposób - warknął Ulfilo.

- Jakiegokolwiek wrogie działanie oznaczałoby śmierć nas wszystkich - powiedział Wulfrede. - Obawiam się, że pewnym ludziom po prostu trzeba pozwolić żyć.

- Kiedy zejdziemy na ląd? - zapytał Springald.

- Muszę rozejrzeć się za miejscem do zakotwiczenia i zabezpieczyć statek. Potem będziemy mogli opuścić pokład.

Przez następną godzinę kapitan zajęty był zabezpieczaniem okrętu, potem rozkazał spuścić szalupę. Połowa załogi dostała zezwolenie na opuszczenie statku, reszta musiała zostać na straży. Nikt za bardzo nie sarkał z tego powodu, bowiem Khemi, w porównaniu z innymi portami, nie było zbyt ponętym miejscem.

W trakcie oczekiwania Conan badał wzrokiem przystań. Stały w nim przede wszystkim stygijskie barki przeznaczone do żeglugi rzecznej albo przybrzeżnej. Był tam też argosański żaglowiec, cuchnąca krypa do przewozu niewolników. W pobliżu kotwiczył Zingarańczyk wyglądający na pirata. Pirackie statki były mile widziane w wielu portach, o ile nie próbowały

napadać na miasta. Zazwyczaj miały cenne towary, które korsarze sprzedawali po niskich cenach. Uwagę Conana przyciągnął następny statek. Przypominał stygijskie łodzie, ale brakowało mu ornamentów, które zwykle zdobiły tutejsze żaglowce. Miał czarny kadłub, niski i smukły, dwa maszty i zwinięte żagle. Cymmerianin nigdy nie widział takiego stygijskiego statku. Wyglądał na nowy. Stał na kotwicy bez śladu załogi na pokładzie.

- Co o nim myślisz? - zapytał Conan kapitana.

- Nigdy nie widziałem podobnego. Dobrze utrzymany, i dobry do korsarstwa, chociaż ma zbyt mało miejsca na ładunek.

- I nie mógłby zabrać wystarczającej liczby ludzi - dodał Conan. - Słyszałem wiele rzeczy o Stygijczykach, ale nigdy o stygijskich piratach, pomijając banitów i zrujnowaną szlachtę. Co za Stygijczyk rusza w morze na takim statku?

- Dobrze pytanie, ale może lepiej nie szukać odpowiedzi.

Po zejściu na ląd kapitan zaprowadził ich do magazynów, gdzie były wystawione na sprzedaż świecidełka i koraliki. Zapłacili za kilka skrzyń oraz za transport na statek, a potem ruszyli na poszukiwanie rozrywki.

- W żeglarskich tawernach można nie tylko się napić i najeść - rzekł Wulfrede. - Mam zamiar pogadać ze znajomymi kapitanami i zapytać ich o wody na południu. Minęły ponad cztery lata, odkąd tam pływałem, i ciekaw jestem zmian.

- Jak długo będziemy w porcie? - zapytał Ulfilo.

- Dzisiaj jest już za późno, by coś załatwić. Jutro zaopatrzę statek w jedzenie i słodką wodę. Trzeba też rozmieścić zakupione przez was towary oraz założyć nowe liny i żagle. W drodze na południe będzie nam potrzebna większa załoga, muszę więc znaleźć paru ludzi. Powiedzmy, że wypłyniemy za trzy dni.

- Doskonale. Rozejrzę się za jakąś porządną gospodą dla naszej trójki.

- Za gospodą z przyzwoitą łaźnią - dodała gorączkowo Malia - i pralnią. Wulfrede zachichotał.

- Ciesz się tymi wygodami, pani, póki możesz. Tam, dokąd płyniemy, będziesz mogła zażyć kąpeli jedynie w strugach deszczu, a ubrania zniszczą, zanim zdążysz je uprać.

- Tym bardziej należy sobie teraz pofolgować.

Ruszyli wąską uliczką między kramami ze świecidełkami i wyrobami z miedzi. Nagle Malia się zatrzymała i gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Co się stało? - spytał zaalarmowany Ulfilo.

Kobieta straciła mowę, zdołała jedynie wyciągnąć rękę. Coś długiego i błyszczącego pełzło po bruku w ich stronę. Leniwie wzniosło głowę wielkości beczutki do wina i wbiło w nich nieruchome czarne ślepia. W otwartej paszczy śmigał rozdwojony język.

- Na Mitrę! - krzyknął z grozą Ulfilo. - Czy możliwe, żeby to był wąż?

- Wielki wąż z południowych dżungli! - zawołał z zachwytem Springald.

- Cudowny!

Ulfilo zaczął wyciągać miecz, ale Wulfrede złapał go za nadgarstek.

- Czy zawsze muszę powstrzymywać cię przed czynem, który grozi śmiercią nam wszystkim? Wiele zwierząt w Stygii jest świętych, a wszystkie węże są dziećmi Seta. Te olbrzymy otoczone są największą czcią.

- Nie możemy zabić go nawet wtedy, gdyby nas zaatakował? - zapytał Ulfilo.

- Nie musisz się kłopotać - odpowiedział mu Conan. - Popatrz, widzisz tę banię? - Jakies cztery stopy za łbem zaczynało się wybrzuszenie, które deformowało wydłużone cielsko gada. - On już dzisiaj zjadł coś albo kogoś. Teraz pełźnie do legowiska, by przetrwać posiłek. To może trwać tygodniami. Te stworzenia rzadko jadają.

- Jak dostał się na wyspę? - Malia odzyskała wreszcie głos.

- Te gady żyją i w wodzie, i na lądzie. Pełno ich w Styksie i innych wielkich rzekach.

Czułnie obserwowali prześlizgujące się obok nich stworzenie. Długie cielsko zdawało się nie mieć końca, lecz wreszcie po bruku tuż u ich stóp

przesunął się cienki koniuszek ogona.

- Jaką długość osiągają? - zapytała Malia zduszonym głosem.

- Stygijczycy twierdzą, że węże rosną przez całe życie - wyjaśnił Springald. - Ten musi żyć ze sto lat.

- Widziałem w Zarkhebie dużo większe - dodał Conan. - Ten dałby radę człowiekowi, ale tamte były tak wielkie, że mogłyby połknąć byka lub konia.

Aquilończycy popatrzyli na niego podejrzliwie, jakby się spodziewali, że żartuje, ale po spotkaniu z wężem nie kwestionowali jego słów. Po krótkim spacerze znaleźli stosowną gospodę i rozstali się z Conanem i kapitanem, którzy ruszyli na poszukiwanie karczmy odpowiedniej do własnych potrzeb. Zobaczyli taką w pobliżu wody. Budynek stał na palach, które chroniły go od corocznych wylewów Styksu. Wkrótce przed mężczyznami stanęły dwa wielkie kufle pianistego piwa. Wulfrede pociągnął długi łyk i oblizał wargi.

- Och, Stygijczycy to bezczelne wieprze i występni czarnoksiężnicy, ale jako jedyni na południu potrafią warzyć przyzwoite piwo.

- Owszem - zgodził się Conan. - Twierdzą, że pierwsi zaczęli uprawiać zboże, i że bóg plonów nauczył ich warzenia piwa. Jeśli tak, to jedyny przydatny bóg w ich panteonie.

Zamówili kolację i rozsiedli się wygodnie, by poważnie porozmawiać.

- Myślisz - zaczął Wulfrede - że nasi aquilońscy przyjaciele, czekając na wyruszenie w morze, będą leżeć brzuchami do góry?

- Zastanawiałem się nad tym - powiedział Conan. - Ten brat wysłał im list z Khemi, i wydaje się mało prawdopodobne, by nie skorzystali z okazji i nie spróbowali się czegoś o nim dowiedzieć. Jeśli naprawdę wyposażył tutaj swoją ekspedycję, ktoś powinien wiedzieć, jaki miał statek, jakie towary i jakich ludzi wynajął.

- Tak. Nasi pracodawcy znowu stają się oszczędni w słowach.

- Nic nas nie powstrzymuje od poszukiwań na własną rękę.

- Ani od wzięcia tej trójki pod obserwację.

- Chcesz ich szpiegować?

- Czemu nie? Nie są naszymi rodakami. Jasno dali do zrozumienia, że nam nie ufają, a to może doprowadzić do naszej śmierci. Powinniśmy więc wiedzieć, co zamierzają. Ja muszę doglądać statku. Mógłbyś mieć na nich oko?

- Tak - odpowiedział Conan - zasługują na to. Nie lubię być traktowany jak dureń, któremu nie można powierzyć zbyt ważnych informacji.

- Też tak uważam. - Tręcili się kuflami i napili.

Wieczorem rozmawiali z marynarzami, którzy wstępowali do tawerny, by najeść się i napić. Jedynie paru z nich było Stygijczykami. W większości pochodzili z innych ziem, wielu z nich było tu przejazdem, niektórzy wykorzystywali Żółwia jako stałą lub czasową bazę. Kiedy pytali o Marandosa, nikt nie potrafił udzielić im informacji.

- Ci ludzie stale są w drodze - powiedział Conan. - Musimy zasięgnąć języka wśród handlarzy i im podobnych.

- Karczmarz jest tutaj od lat - podsunął Wulfrede. - Jego zapytajmy.

Przywołali mężczyznę do stolika.

- Aquiloński szlachcic? Jakiś rok temu przybył ktoś taki na Żółwia, ale nie wiem, na jakim statku. Spędził tu dzień czy dwa, nie więcej. Później nigdy go nie widziałem. Ale mogę wam powiedzieć, że nie zaopatrywał się na wyspie.

- A co to za czarny żaglowiec kotwiczony w pobliżu? - zapytał Conan.

- Nie ma tu takiego statku - odparł karczmarz bezbarwnym głosem.

- W porządku, dzięki za pomoc. - Kiedy mężczyzna wrócił za szynkwę, Wulfrede powiedział: - Myślisz, że nakłamał w swoim liście? Może po prostu jest zrujnowanym pijakiem, który chciał, aby rodzina myślała, że mu się powodzi?

Conan potrząsnął głową.

- Pisał, że chce, by za nim popłynęli.

- Oni tak mówią. Czytałeś list?

- Nie, nawet go nie widziałem. Ale czy mógłby zaopatrzyć statek gdzieś

indziej?

- Gdzie? - zapytał Wulfrede.

- W Khemi, nie na Żółwiu.

- Cudzoziemiec w Khemi? Jak to możliwe?

- A jak to możliwe, by taki piękny piracki okręt został zbudowany przez Stygijczyków? Jak to możliwe, by kotwiczył niecałe trzysta kroków stąd, a ludzie zaprzeczali jego istnieniu?

Na to vanirski kapitan nie znalazł odpowiedzi.

IV

CZARNE ŻAGLE

Była gorąca, parna noc. Zapach wielkiej rzeki otaczał wyspę niczym całun. Conan stał na arkadowym połączeniu dwóch budynków. Opierał się plecami o ścianę, z rękami splecionymi na piersiach, nieruchomo jak posąg. Kiedy chciał, zdobywał się na cierpliwość łowcy, wyuczoną wśród turni rodzimej Cymmerii i na lesistych nizinach Piktyjskiej Dziczy.

Obserwował gospodę, w której zatrzymali się Aquilończycy. Za dnia nie miał kłopotu ze śledzeniem. Wyspa była mała i zgubienie ich było po prostu niemożliwe, nawet w labiryncie wąskich uliczek. Nocą niezbędna stała się bliższa obserwacja. Poprzedniego wieczora nie działo się nic ciekawego. Cała trójka pozostawała wewnątrz, ale około północy przybył jakiś człowiek, Stygijczyk w długiej, czarnej opończy. Przebywał w gospodzie niecałą godzinę. W tym czasie widać było światło w oknie pokoju, który zajmowali Aquilończycy. Światło zgasło wkrótce po wyjściu Stygijczyka z gospody. Conan śledził mężczyznę do nabrzeża, gdzie ten wsiadł do długiej czarnej łodzi kierowanej przez czterech zwalistych, milczących wioślarzy. Przekonany, że tej nocy już niczego więcej się nie dowie, wrócił do karczmy.

Następnego dnia poczynił pewne przygotowania. Kupił płaszcz z kapturem z czarnego jedwabiu, powszechnie noszony przez tutejszych mieszkańców. Jedwab był w Stygii zdumiewająco tani. Wiedział, że być może przyjdzie mu się skradać, dlatego zostawił miecz, a zabrał tylko sztylet. Tak wyposażony mógł przemykać ciemnymi ulicami cicho i niepostrzeżenie.

Cofnął się głębiej w cień, kiedy otworzyły się drzwi gospody. Na ulicę wyszły trzy osoby; jedna wysoka i dobrze zbudowana, druga niska i otyła, a trzecia drobna i smukła. Cała trójka nosiła takie same płaszcze jak on. Przez chwilę stali nieruchomo. Conan znał powód. Kierowany żołnierską ostrożnością Ulfilo czekał, aż oczy oswoją się z panującym na zewnątrz

mrokiem. Cymmerianin poczuł podziw. Nie lubił Aquilończyka, ale musiał przyznać, iż jest on prawdziwym wojownikiem.

Ruszyli. Conan podążył za nimi. Kroczył w dość sporej odległości, ale nie musiał się zbliżyć. Wyspa była maleńka, a on widział w nocy równie dobrze jak kot. A nawet gdyby stracił ich z oczu, z łatwością prowadziłby go słuch. On sam ze względu na ostrożność był boso. Bardzo rzadko chodził bez butów po mieście, ale tutaj nie miał się czego obawiać. Stygijczycy dbali o czystość aż do przesady i wymagali, by nawet cudzoziemcy rezydujący na Żółwiu codziennie sprząтали ulice.

Aquilończycy szli drogą, którą poprzedniej nocy pokonał Stygijczyk. Gdy dotarli do rzeki, czekała na nich łódź. Siedziało w niej czterech wioślarzy, jednak nie było z nimi Stygijczyka.

Conan schował się, gdy Aquilończycy wchodzili na pokład. Ściągnął płaszcz i zrolował go ciasno. Jedwab dał się łatwo zwinąć i Cymmerianin bez problemów wsunął płaszcz do niewielkiego woreczka z krokodylich jelit. Przezroczyste opakowanie nie przepuszczało wody. Conan zawiązał koniec i zawiesił pakunek na szyi na jedwabnym sznurze. Ubrany jedynie w krótkie żeglarskie spodnie przyglądał się, jak łódź odpływa z przystani.

Kiedy znalazła się w odpowiedniej odległości, Conan zbliżył się do nabrzeża i powoli, by nie zdradził go plusk, wśliznął się do rzeki. Ciepła woda Styksu zamknęła się wokół niego, gdy ruszył za łodzią. Płynął niczym żaba, nie wynurzając rąk i nóg na powierzchnię. Wiedział, że w ten sposób może spędzić w wodzie całe godziny.

Mokre włosy oblepiły mu głowę, dzięki czemu każdy obserwator mógłby go wziąć za fokę. Statek z Aquilończykami nie był jedyną jednostką na rzece. Conan widział liczne łódki rybaków, którzy łowili żerujące nocą ryby. Łodzie wyposażono w pochodnie i kosze z żarzącymi się węglami, by wabić ryby w sieci. Płomienie na tle czarnych wód Styksu tworzyły niesamowicie piękny widok. Cymmerianin aż nazbyt dobrze zdawał sobie sprawę, że on i ryby nie są jedynymi istotami pływającymi w wodzie. Gdzieś tutaj krążyły wielkie

węże wodne, a plusk w pobliżu oznaczał, że krokodyl złapał ofiarę i walczy z nią zażarcie.

Ignorując niebezpieczeństwo, Conan podążał za łodzią. Silni wioślarze nie spieszyli się, więc nie było to trudne. Kierowali się do południowego brzegu, gdzie na tle ciemnego nieba rysowały się potężne świątynie i posągi Khemi.

Jak się okazało, Conan nie musiał długo płynąć. Łódź przybiła do schodów prowadzących w mrok ulic. Wioślarze przywiązali dziób do wielkiego brązowego pierścienia osadzonego w nabrzeżu i pomogli wyjść pasażerom na brzeg. Conan dostrzegł sylwetkę widzianego poprzedniej nocy Stygijczyka.

Schody na nabrzeżu pojawiały się co mniej więcej pięćdziesiąt kroków, więc Conan podpłynął do najbliższych. Wyszedł z wody niczym rzeczny stwór i wspiął się po szerokich stopniach. Wyjął płaszcz, rozwinął go i zarzucił na ramiona. Jedwab zafurkotał w powietrzu i szczelnie otulił jego masywną postać. Cymmerianin naciągnął kaptur i wyszedł na ulicę. Płaszcz pozwalał mu chodzić bezkarnie po mieście, pod warunkiem, że nie natknie się na dokładną kontrolę.

W ostatniej chwili zobaczył, jak drobna postać niknie w wąskiej uliczce. Z posępnym uśmiechem ruszył w tamtym kierunku.

Czwórka podążała dość długo ulicami Khemi. Tworzyły one niezwykle widok jak wiele innych w większych miastach Stygii. Niewolnicy i kupcy wrócili do swych kwater, ale nie oznaczało to, że ulice były całkowicie puste. Wszędzie pojawiali się wygoleni na łyso akolici rozmaitych świątyń, wychudzeni postami i innymi wymaganymi od nich umartwieniami. Kontrastowały z nimi zmysłowe ladacznice, które paradowały po placach nagie, jedynie w kunsztownych chustach na głowach. Wpinały w nie świece, by migotliwe światło ukazywało piękno ich ciał. Przybysze z pustyni o przysłoniętych twarzach, odziani w czarno-białe pasiaste szaty, wiodli wielbłądy w kierunku targowisk, które rankiem miały zaroić się od handlarzy. Pomarszczeni starcy w wystrzępionych łachmanach sprzedawali narkotyki

zakazane we wszystkich krajach poza Stygią. Na rogach ulic sztukmistrze trenowali swoje zwierzęta. Zza drzwi prowadzących do mrocznych piwnic płynęła obca, niezrozumiała muzyka oraz śmiech i okrzyki przestachu.

Khemi, główny port handlowy Stygii, nie był tak bardzo opanowany przez kapłanów, jak Luxur czy inne wielkie ośrodki kultu - ale tylko według norm Stygijskich. Conan odnosił wrażenie, że co piąta mijana budowla jest przybytkiem poświęconym jednemu czy kilku z wielu dziwnych bóstw, a przecież jeszcze się nie zbliżyli do dzielnicy świątyni.

Tropiona czwórka zatrzymała się. Stygijski przewodnik wskazał drzwi dwupiętrowego budynku. Wszyscy zniknęli w środku. Conan szybko podszedł do portalu i zdążył jeszcze usłyszeć trzask zasów. Przyjrzał się budowli. Jak wiele domów w tym mieście, z wyjątkiem świątyni, miał płaską fasadę i z każdej strony stykał się z sąsiednimi budynkami. Ścianę zdobiły płaskorzeźby przedstawiające sceny z historii, mitologii i stygijskie obrzędy. Nad drzwiami widniała owalna płyta z dziwnym herbem: trójzęb o falistych ostrzach wpisany w sierp księżyca. Jeśli oznaczał jednego z bogów Stygii, to był on nie znany Conanowi.

Na parterze nie było okien, ale każde piętro miało ich po trzy. Gdy Cymmerianin przyglądał się budynkowi, w oknie na drugim piętrze zapłonęło światło. Conan rozejrzał się czujnie. Z dala nadchodzili dwaj pijani mężczyźni. Skręcili za róg i ulica opustoszała. Conan zbliżył się do budynku i zaczął wspinać po ścianie ze zręcznością wiewiórki. Dla kogoś wychowanego w górach Cymmerii, gdzie chłopcy wchodzą po pionowych urwiskach dla zabawy i aby wykradać jaja i pióra z gniazd, rzeźbiony mur był równie wygodny, jak i drabina. Stygijscy bogowie i boginie, często ze zwierzęcymi głowami, zapewniali dogodne oparcie dla rąk i nóg. „Jedyna korzyść z bogów Stygii”, pomyślał z krzywym uśmiechem.

Co chwilę zatrzymywał się i bacznie omiatał wzrokiem ulicę. Wiedział, że jest prawie niewidoczny na tle ciemnej ściany, ale w ruchu mógłby go dostrzec jakiś przypadkowy przechodzień, gdyby tylko spojrzął w górę.

Po dotarciu do okna zaczął się zachowywać z najwyższą ostrożnością. Słyszał głosy i pragnął się dowiedzieć, czego dotyczy rozmowa. Nie próbował wciągnąć się na parapet, zamiast tego przesunął wzdłuż okna. Znalazł głębokie na pół palca wcięcie w murze i stanął tak pewnie, jak na podłodze. Powoli pochylił się ku oknu, żeby zobaczyć wewnątrz i wyraźnie usłyszeć rozmowę.

Ale nim cokolwiek zobaczył czy usłyszał, poczuł silną woń dymu. Nie był to zwyczajny zapach płonącego drewna, oliwnych lampek czy woskowych świec, ale ostra, charakterystyczna woń palonych szypulek, płatków i nasion czarnego lotosu. Był to najpotężniejszy z wielu narkotyków używanych przez czarnoksiężników do wywoływania mistycznych wizji, potrzebnych do odprawiania czarów i nawiązywania kontaktów z pozaziemskimi mocami. Zapach był zwietrzały, ale łatwy do wykrycia przez człowieka z zewnątrz. Conan wiedział, że narkotyku często używano przez całe pokolenia. Z czarnego lotosu mogli korzystać tylko najpotężniejsi magowie. Inni po jego zażyciu wpadali w obłąd, a nawet umierali. Gdy wyciągnął wnioski, zimne ciarki przemknęły mu po krzyżu.

Troje Aquilończyków zajmowało ciężkie rzeźbione krzesła z czarnego drewna. Naprzeciw nich siedział Stygijczyk. Był olbrzymem, wyższym nawet od Ulfila i masywniej zbudowanym. Długie, czarne włosy miał schludnie uczesane i przewiązane złotą wstążką, pośrodku której błyszczał złoty medalion z herbem takim samym jak nad drzwiami. Stygijczyk miał szpiczastą brodę, wystające kości policzkowe i przenikliwe oczy lśniące czarnym ogniem. Conan domyślił się, że nieznajomy jest wielmożą z najwyższej kasty.

- Ale co ci powiedział? - zapytywał ostrym tonem Ufilo. Starał się przemawiać ze zwykłą pewnością, ale Cymmerianin mógłby przysiąc, że Aquilończyk boi się swego gospodarza.

- Że widział to, czego szukał. - Dobywający się z potężnej klatki piersiowej głos Stygijczyka był głęboki i dźwięczny. - Że zobaczył znak na

górskiej przełęczy, zanim jego ludzie zmusili go do powrotu.

- Jak wyglądał? - zapytała niespokojnie Malia. - Dobrze?

- Pani, powrócił z niezwykle trudnej wyprawy, w czasie której zginęło wielu jego ludzi. On sam ledwo uszedł z życiem. Wygląd odzwierciedlał te przeżycia. A jednak nie wzdragał się przed powtórnią wyprawą. Pomimo przerażających niedostatków nie stracił odwagi. Twój mąż jest człowiekiem zdeterminowanym i odważnym.

- Mój brat - powiedział Ulfilo - nie baczy na niebezpieczeństwo i waży się na najgłupsze ryzyko. Mówisz, że znalazł to, czego szukał?

- O tak, w końcu mu się powiodło. Znaki napotymane po drodze były jednoznaczne. A jednak zabrakło mu ostatecznego ogniwa w łańcuchu i pieniędzy na wyposażenie nowej wyprawy. Z tego powodu przyszedł do mnie i wtedy dobiliśmy targu.

- A ten układ wiąże także i nas? - zapytał ponuro Ulfilo.

- Oczywiście. - Stygijczyk pchnął po stole pregamin. - Jak możesz zobaczyć, twój brat związał się poważną przysięgą, i ten kontrakt obowiązuje całą waszą rodzinę.

Ulfilo spojrział na dokument. Twarz wydłużała mu się w miarę czytania.

- To jest nie do przyjęcia! Niezależnie od zysku, nie miał prawa podejmować tego rodzaju zobowiązań!

- Bogowie mało się przejmują prawami ludzi - zganił go Stygijczyk. - To nie jest dokument, nad którym mieliby rozprawiać godni pogardy prawnicy i sędziowie. Akt składa się ze świętych przysięg, a karą za ich niedotrzymanie będzie nie grzywna czy więzienie, lecz przerażające przekleństwo bogów.

Ulfilo z trudem powstrzymał się przed użyciem przemocy, ale Springald uspokoił go.

- Dobry kapłanie Ma'ata, nie potrzebujemy tutaj gróźb ani kłótni. Wszyscy wiemy, jaka nas czeka nagroda w przypadku udanej ekspedycji. Takie bogactwo przerasta wszelkie wyobrażenia. Jeśli będziemy musieli je podzielić, cóż z tego? Nawet część skarbu wykracza poza marzenia

największego aquilońskiego szlachcica. Zapewniam cię, że warunki zawarte w tym dokumencie są więcej niż satysfakcjonujące. Dogadajmy się po dobroci, bez podejrzeń czy urazy.

Stygijczyk uśmiechnął się lekko.

- Twój przyjaciel przemawia z wielką mądrością - powiedział do Ulfila. - Wyprawa musi się zakończyć sukcesem. Jak mogłoby być inaczej, z pomocą mistrza tak uczonego jak on, z małżeńską miłością i oddaniem, jakie wykazuje szlachetna pani, oraz z odwagą prawego wojownika, jakim ty jesteś? - Jeśli w jego słowach było szyderstwo, to zamaskował je bardzo dobrze.

- Rzeczywiście, jak? - powtórzył Springald.

- Jesteście zadowoleni z wynajętego okrętu i załogi?

- Statek jest bardzo dobry - odparł Ulfilo - i chociaż niewiele wiemy o morzu, ludzie wydają się dobrymi i dzielnymi żeglarzami. Kapitan jest piratem z Vaniru, a marynarze wyglądają na rzezimieszków, ale przypuszczam, że przy wynajmowaniu ludzi na taką wyprawę nikt nie kieruje się ich układnością i manierami. Nasz przewodnik to cymmeriański awanturnik, który dobrze zna wybrzeże.

- Cymmerianin? - ostro zapytał kapłan.

- Tak, wielki czarnowłosy łotr imieniem Conan. Jest najemnikiem i, jak sam twierdzi, przez pewien czas był piratem. Nie wątpię, że to bandyta i człowiek wyjęty spod prawa. Prawdopodobnie poderznąłby nam gardła podczas snu, gdyby stwierdził, że przyniesie mu to jakiś zysk. W jego obecności zawsze mam oczy szeroko otwarte.

- Nie mogę się zgodzić z moim przyjacielem - wtrącił Springald. - Cymmerianin to twardy człowiek, który radzi sobie, jak może. Myślę, że jest godnym zaufania wojownikiem, pomimo swego barbarzyńskiego pochodzenia.

- Jak chcecie - powiedział kapłan. - Mógłbym przydzielić wam paru ludzi, którzy będą pilnowali zarówno moich, jak i waszych interesów.

Ulfilo chciał odwarknąć coś gniewnie, ale Springald był szybszy.

- Och, dziękujemy ci, przyjacielu Sethmesie. Gdybyśmy pokazali się z twoimi ludźmi, nasz kapitan szybko nabrałby podejrzeń. Jesteśmy od niego zależni we wszystkim, co wiąże się z kierowaniem statkiem. Obawiam się, że musimy odmówić.

- Jak sobie życzycie. Kiedy odpływacie?

- Być może jutro - odpowiedział Ulfilo. - Jeśli kapitan załatwi wszystkie interesy. A jak nie, to na pewno pojutrze.

- Aha, Sethmesie, przyjacielu - rzekł z wahaniem Springald - to... to ogniwo, o którym niedawno wspominałeś... czy nie moglibyśmy je dostać?

Stygijczyk rozpostarł ręce.

- Jak to? Dałem je Marandosowi, zgodnie z naszą umową.

- Zapewne, ale czy przypadkiem nie zachowałeś kopii?

- Widzę, żeś człek uczony, jednak nie wiesz pewnych rzeczy o zwyczajach kapłanów Stygii. Cenimy tylko oryginały i czujemy wstręt do jakichkolwiek kopii, szczególnie gdy chodzi o pisma starożytnej wiedzy. Najwierniejszy duplikat może zawierać wszystkie litery i symbole, ale zawsze jest gorszy. Brakuje mu mistycznej prawdy. Dla nas takie rzeczy są bezwartościowe.

- Rozumiem. Wobec tego, jeśli nie masz nic więcej do dodania, wrócimy do naszej gospody.

- Mój służący odprowadzi was do łodzi - powiedział kapłan. - Bez jego poręczenia, moglibyście zostać zabici.

Ulfilo parsknął lekceważąco na myśl, że Stygijczycy mogliby go pokonać.

Conan trwał przy oknie. Światło w komnacie zgasło, chwilę później otworzyły się drzwi na dole i na ulicę wyszły cztery odziane na czarno postacie. Teraz nie musiał za nimi podążać. Najważniejsze było opuszczenie tego miejsca niezauważenie. Gdy ulica opustoszała, Conan zaczął ostrożnie schodzić. Poruszał się bardzo powoli. Wkrótce ręce i nogi rozbolały go. Gdy

mijał okno na pierwszym piętrze, spotkała go niespodzianka. Nim zdołał zareagować, z otworu wystrzeliła para wielkich bezkształtnych rąk i zacisnęła się na jego karku niczym sploty pytona.

Conan nie zdążył nawet zaczerpnąć powietrza czy zakląć. W jednej chwili wciągnięto go do środka. Wiedział, że nie został pojmany przez zwykłego człowieka, bo niewidoczny przeciwnik poczynił sobie z nim jak z dziesięcioletnim chłopcem. Conan, stanąwszy na ziemi, wyciągnął ręce, by zawrzeć je na karku przeciwnika. Okazało się, iż stworzenie nie ma szyi. Jego głowa zdawała się wyrastać bezpośrednio z owłosionych, pochyłych ramion. Nie marnując czasu na zastanawianie, Conan jedną ręką złapał przeciwnika z tyłu za masywną głowę, drugą wcisnął pod cofnięty podbródek. Ze świstem wciągnął powietrze przez ściśniętą tchawicę. Nie był pewien, czy siłuje się z człowiekiem, czy z małpą.

Albo stwór był niemy, albo tak pewny swojej siły, że wzgardził wszczęciem alarmu. Zwarczi zapaśnicy w pełnej złości ciszy miotali się po izbie, przewracając meble i stojące na nich przedmioty. Gdy na podłodze rozbiła się waza, Conan uświadomił sobie, że jeśli nawet to stworzenie nie zawoła, to pomoc i tak nadejdzie bardzo szybko. Ta myśl dodała mu siły. Mięśnie jego ramion i barków nabrzmiały tak, że wydawało się, iż lada moment rozerwą mu skórę. Chwilę później coś trzasnęło pod jego dłońmi. Stworzenie dygotało przez kilka sekund. Conan miał wrażenie, że umiera ono dłużej niż jakakolwiek ludzka istota. Potem olbrzymie łapy opadły i życiodajne powietrze wpadło do płuc Cymmerianina. Miniony wysiłek był tak wielki, że Conan osunął się na ziemię i ciężko dyszał.

Nagle drzwi się otworzyły i Cymmerianina oślepiło światło pochodni. Przed sobą zobaczył rozpostarte bezwładnie ohydne cielsko. Bardziej przypominało człowieka niż małpę, ale niskie czoło, wysunięta szczeka z wystającymi kłami, niezmiernie długie ręce i krótkie krzywe nogi sugerowały, że stwór był blisko spokrewniony z mieszkańcami dżungli. Porastało go krótkie rdzawe futro, jednak jak człowiek nosił proste skórzane spodnie i

naramienniki wykute z miedzi.

- Cymmerianin!

Teraz zobaczył, że pochodnię trzyma kapłan Sethmes.

- Zabiłeś Thoga!

- Gdybym tego nie zrobił, on by mnie udusił - wykrztusił Conan, rozcierając obolałe gardło. Spozrzegł za kapłanem co najmniej dwie małpie postacie. Potem pochodnia zbliżyła się do jego twarzy.

- Pożałujesz, że tego nie zrobił. Gdybym wydał cię naszym sądom, byłyby uszczęśliwione, że pojmałem pirata Amrę, od dawna uważanego za martwego.

- Ale nie powiesz im o mnie.

- Nie zrobię tego. - Kapłan zawołał przez ramię: - Chodźcie i zwiążcie tego łajdaka.

Stworzenia, niezdarnie powłócząc nogami, zaczęły mijać swe- go pana, ale dzięki chwili odpoczynku Conan w pełni odzyskał siły. Nie czekał, aż małpy zbliżą się, by go złapać. Rzucił się do okna, balansował przez chwilę na parapecie, po czym zeskoczył na ulicę. Wylądował na ugiętych nogach i natychmiast pobiegł w stronę rzeki.

- Łapać go! - krzyknął kapłan. Zaraz potem Conan usłyszał, jak kilku ludzi, czy też może małpoludów, ruszyło za nim. Roześmiał się złośliwie, gdyż wiedział, że te podobne do małp istoty z krótkimi, krzywymi nogami nie mają najmniejszych szans na złapanie górala pędzącego na złamanie karku. A nawet gdyby mag wysłał za nim ludzi, Conan wiedział, że mieszkańcy miast są ślepi w takim mroku, on zaś widzi prawie tak samo jak w dzień.

Cymmerianin kluczył, wybierając wąskie zaułki i unikając szerokich ulic. Instynkt kierował go prosto do rzeki. W końcu dotarł na brzeg. Żaden z mijanych przechodniów nie próbował zaczepić olbrzyma, który wyglądał tak, jakby ścigał się ze śmiercią. Conan nie zatrzymał się na nabrzeżu, tylko skoczył i gładko przeciął powierzchnię wody pięć kroków od brzegu. Zanurzył się głęboko i zaczął płynąć, hamowany wleczonym za plecami płaszczem.

Było to dokuczliwe, ale się nie zatrzymał, żeby pozbyć się ciężaru. Kiedy był już blisko środka rzeki, zwolnił i owinał głowę połami płaszcza, zostawiając jedynie wąską szczelinę na oczy. Popatrzył w kierunku brzegu. Dostrzegł niewyraźne postacie. Wyglądały tak, jakby wypatrywały czegoś na rzece, ale nie miały pochodni ani nie czyniły hałasu. Było to bardzo dziwne. Conan podejrzewał, że kapłan Ma'ata - kimkolwiek był - nie życzył sobie, by władze dowiedziały się o jego poczynaniach.

Po kilku minutach postacie zniknęły w ciemnościach miasta. Conan odwrócił się i powoli popłynął na wyspę, jednak nie wyszedł na brzeg. Zamiast tego skierował się w stronę statku. Mało brakowało, a marynarz pełniący nocną wachtę padłby trupem, gdy znad burty wyłonił się ociekający wodą, odziany w czerń Cymmerianin.

- Conan - jęknął majtek - a ja myślałem, że przylazło po mnie jakieś rzeczne monstrum!

Cymmerianin zdjął płaszcz i powiesił go na rei. Otrząsnął się z wody i czekał, aż wysuszy go do reszty nocne powietrze.

- Dlaczego nie przyplynałeś łodzią i nie wołałeś, jak przystało na uczciwego człowieka?

Conan zbył pytanie wzruszeniem ramion.

- Dzisiejszej nocy będę spał na statku.

- Wdałeś się w jakąś burdę na wyspie, co? Dobra, urządz się wygodnie w schowku na liny. Jeśli ktoś będzie o ciebie pytał, powiem, że nie widziałem cię tej nocy.

Conan podszedł do schowka i przecisnął się przez niski luk. Znalazł zapasowe żagle i położył się na nich. Próbował przemyśleć wszystkie te dziwne rzeczy, które słyszał i widział tej nocy, jednak zmogło go zmęczenie i zapadł w głęboki sen.

- Conan! Jesteś tam?

Zdawało mu się, że dopiero co się położył, gdy w kwadratowym luku

dostrzegł twarz kapitana. Podświetlone słońcem rude włosy i broda tworzyły wokół jego głowy aureolę.

- Tak, jestem - powiedział, a raczej miał zamiar powiedzieć Cymmerianin, bo zamiast głosu z jego krtani wydobył się ochryply skrzek. Podniecony walką i ucieczką nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo ucierpiało jego gardło. Kiedy usiadł, kark zabolał go tak mocno, że ledwie mógł poruszyć głowę. Podczołgał się do luku i przecisnął przezeń głowę i ramiona.

- Jak długo jeszcze tu będziemy?

- Jesteśmy gotowi do podniesienia kotwicy. Czekałem na ciebie, klnąc w żywy kamień twoją opieszałość, kiedy Mahba powiedział, że przyplynałeś w nocy i śpisz w magazynku. Cokolwiek zrobiłeś... Na Ymira! Powiesili cię? Masz kark równie czarny jak włosy!

- Siłowałem się z pytonem - skwitował Conan. - Stygijski pilot jest na pokładzie?

- Jeszcze nie. Zaraz dam sygnał, że jesteśmy gotowi do drogi. Pojawi się w ciągu paru minut.

- Powiedz mi, jak opuści pokład - rzekł Conan, wczołgując się z powrotem w mrok schowka.

- Co to wszystko znaczy? - zapytał ostro kapitan.

- Nic, o czym mógłbym ci teraz powiedzieć. Zamknij luk.

Mrucząc coś pod nosem, Van zamknął luk i Conana ogarnęła ciemność. Słyszał zgrzyt i pojękiwanie kabestanu podnoszącego z dna kotwicę. Potem rozległ się stukot, gdy łódź pilota dobiła do burty statku. Zaskrzypiały wsuwane do dulek wiosła i okręt zaczął dryfować z prądem. Conan słyszał rozkazy pilota rzucone wiosłarzom mającym związane oczy. Żaglowiec powoli płynął bezpiecznym kanałem.

Po pewnym czasie wynurzono wiosła z wody i lekkie drżenie przebiegło po statku, gdy do burty przyciągnięto łódź pilota. Kilka minut później Wulfrede otworzył klapę luku.

- Już odpłynęli, Conanie. Możesz wyjść.

Cymmerianin sztywno wysunął się na pokład. Statek dryfował, a załoga przyglądała mu się ciekawie. Nie zwracając na nich uwagi, Conan sprawdził, czy łódź pilota na pewno znajduje się w bezpiecznej odległości. Wypłynęli już z kanału i byli dość daleko od wielkiego portu Khemi. Zadowolony, rozejrzał się dokoła i stwierdził, że w polu widzenia nie ma Aquilończyków.

- Opowiesz mi, co się wydarzyło? - zapytał Wulfrede.

- Później. Podnieśmy żagle i odpłynijmy stąd.

Kapitan zaczął wyszczekiwać rozkazy. Żeglarze schowali wiosła i chwycili fały. Conan, pragnąc jak najszybciej opuścić Khemi, pomógł marynarzom. Wkrótce długie skośne reje wzniosły się na maszty, a trójkątne żagle, z początku zwisające bez życia, wypełniły się wiatrem. „Tygrys Morski” powoli ruszył na południe, w kierunku nieznanych wybrzeży.

Później tego samego dnia z portu Khemi wyruszył, pchany długimi, czarnymi wiosłami, smukły czarny żaglowiec. Gdy tylko opuścił zatokę, rozpostarł czarne żagle i pożeglował na południe. Na czubku fokmasztu łopotała złota bandera: niezwykle trójzęb zamknięty w złotym sierpie księżyca.

V

KORSARZE

Ich statek nie był jedynym na niebezpiecznych wodach Czarnego Wybrzeża. Codziennie na horyzoncie pojawiały się żagle, ale obce okręty się nie zbliżały. Żaglowce na tych niebezpiecznych wodach unikały się wzajemnie. Jedyny wyjątek stanowiła silna grupa pięciu zingarańskich statków kupieckich. Ufne w swoją siłę, podpłynęły do „Tygrysa” tak blisko, że załoga mogła pogapić się na kość słoniową powiazaną w pęki na pokładzie, toboły wspaniałych piór i sterty egzotycznych gatunków drewna. Wszyscy wiedzieli, że ładownie są zapchane podobnym dobrem, i marzyli o bogactwie dostępnym dla ludzi dość dzielnych, by odważyć się na handel z południem i

dość przewidujących, by wyruszyć w odpowiedniej sile.

Ładunek innych okrętów można było rozpoznać po smrodzie roztaczanym i niesionym przez wiatr. Statki przewoziły niewolników; w ładowniach, w brudzie i zaduchu, tłoczyły się setki nieszczęśników. Mniej niż połowa przeżywała nieludzkie warunki transportu, ale i tak, wymyjni i odkarmieni, osiągnęli dobrą cenę na targach niewolników w cywilizowanych królestwach. Naczelnicy z wybrzeża sprzedawali swych sąsiadów tak tanio, że wysoka śmiertelność w czasie transportu była do przyjęcia.

Podróż na południe przebiegała bez zakłóceń. Conan był zadowolony ze statku i z pogody, o wiele mniej z załogi. Szorstcy i gburowaci marynarze, którzy towarzyszyli im od początku, byli łagodnymi jagniętami w porównaniu z tymi, których Wulfrede wynajął na Żółwiu. Sześciu nowo zaokrętowanych ludzi wyglądało na skończonych łajdaków, dla których rejs był odroczeniem od szubienicy. Kiedy Conan o nich zapytał, Van wzruszył ramionami.

- Musiałem brać takich, jacy byli. Normalni żeglarze nie wypłynęliby w podróż tak ryzykowną. Upewniłem się, że ci są doświadczonymi ludźmi morza. Nie mogę żądać niczego więcej.

- Zobaczymy - powiedział Conan z ponurym grymasem.

W przeciwieństwie do kapitana, nie był taki pewny. Dłonie nowych marynarzy bardziej pasowały do rękojeści niż lin i żagli.

Na szczęście warunki żeglugi sprawiały, że ludzie jedynie czasami trzymowali żagle, gdy stały wiatr pchał ich na południe. Ale prawie od pierwszego dnia marynarze pełniący wachtę na bocianim gnieździe widywali daleko za rufą obcy statek. Obecność żaglowca martwiła Conana, a tego dnia jeszcze bardziej niż zwykle. Złożył ręce przy ustach i krzyknął do majtka na oku.

- Co widzisz?

- Ten sam czarny żaglowiec płynący naszym śladem - odkrzyknął mężczyzna. - Jest dość blisko. Widzę go dzisiaj już trzeci raz.

- Co to znaczy? - zapytał Ulfilo. Stał obok dwóch Aquilończyków, którzy

wyszli zaczerpnąć powietrza.

- Nie wiem i nie podoba mi się to - odrzekł Conan.

- To może nic nie znaczyć - powiedział Wulfrede. - Żółwia obiegrał plotka, że żeglujemy na rzadko odwiedzane wody. Może ci z tego okrętu myślą, iż odkryliśmy dobre miejsce do handlu i płyną za nami, aby zobaczyć, gdzie ono jest.

- W dalszym ciągu to mi się nie podoba - mruknął Conan. - Mamy dość zmartwień związanych z czekającymi nas niebezpieczeństwami. Nie lubię zawracać sobie głowy tym, co już minęło.

- A co jest przed nami? - spytał Springald.

- Widzisz te wyspy? - Conan wskazał szare kontury lądu daleko na horyzoncie. - To Krwawe Wyspy. Każdy statek przepływający między nimi a kontynentem zostaje zaatakowany przez piratów.

- Nie możemy ich ominąć od strony morza?

- Wiatry i woda są tam bardzo niebezpieczne - poinformował Wulfrede. - Żeglowanie tamtędy oznaczałoby utratę lądu z oczu. Lekka zmiana kierunku wiatru mogłaby cisnąć nas daleko w morze, a tam prąd niósłby nas jeszcze dalej. Bliżej wysp są niebezpieczne skały. Wierzcie mi, mniej ryzykowne jest przepłynięcie między wyspami a kontynentem.

- Wobec tego obejrzymy broń - flegmatycznie powiedział Ulfilo.

- W dalszym ciągu pozostaje problem naszego towarzystwa - powiedział Conan. - Zaczekajmy do zmroku, zawróćmy i wdrzyjmy się na pokład, zanim tamci zorientują się, o co chodzi.

- Mamy wdrzeć się na obcy statek na pełnym morzu bez ostrzeżenia?

- Wulfrede roześmiał się na całe gardło. - Toż to korsarstwo!

Kilku marynarzy ryknęło śmiechem w ślad za kapitanem.

- I co z tego? - zapytał Conan. - Mało prawdopodobne, że trafimy przed sąd.

- Nie. To mój okręt i powiadam, że zajmiemy się korsarzami czekającymi przed nami. W odpowiednim czasie weźmiemy się za tych z tyłu.

- Kapitan poszedł na dziób, by dopilnować przygotowań do walki.

Conan był wściekły, jednak nim zdążył wybuchnąć, podszedł do niego Springald i położył mu rękę na ramieniu.

- Jesteś niezadowolony, przyjacielu?

- Niezadowolony i zdumiony - przyznał Conan.

- Jak to?

- Po pierwsze, według mnie błędem jest angażowanie się w potyczkę z wrogiem z przodu, kiedy drugi zagraża nam od tyłu. To kiepska taktyka. Po drugie, nigdy nie znałem Vana, który nie rwałby się do walki. Dlaczego ten człowiek unika konfrontacji z prześladowcami?

- Być może ma racje. Być może to tylko handlowy rywal. Wulfrede jest kapitanem kupieckiego statku, który przemierzał te wody wiele razy. Chyba powinniśmy ufać jego sądom.

- Mamy pewien wybór: bunt - mruknął Conan.

- Chodź ze mną - powiedział Springald. - Mój przyjaciel i ja mamy do ciebie parę pytań, w związku ze zbliżającym się starciem z tymi morskimi bandytami.

Conan podążył za Aquilończykiem na rufę, gdzie czekał Ulfilo. Szlachcic badał kciukiem ostrze masywnego miecza.

- Możemy zostać zaatakowani - zaczął. - Czego mamy się spodziewać?

- Ci ludzie nie urządzają napadów z dala od rodzinnych wysp - powiedział Conan. - Atakują z wielkich piróg, obsadzonych dwudziestoma wioślarzami.

- Jak walczą?

- Większość używa włóczni, chociaż niektórzy wolą wielkie noże czy krótkie miecze. Czasami mają łuki, chociaż nie są zbyt dobrymi strzelcami, a kołysanie łodzi dodatkowo utrudnia celowanie. Wiosłują jak szaleni, aby szybko wspiąć się na pokład i walczyć wręcz. Są dzicy i nieulekli. Mają skórzane tarcze, długie i wąskie, nie noszą żadnej zbroi. Rzadko rzucają włóczniami, używają je raczej do bezpośredniej walki.

- Wygląda na to, że nie są zbyt niebezpieczni - stwierdził Ulfilo.

- Człowiek, który nie dba o własną skórę, zawsze jest niebezpieczny - upomniał go Conan. - Widziałem wojowników, którzy z radością zatapiaли zęby w gardle przeciwnika, gdy ten rozpruwał im brzuch. Jeśli dojdzie do abordażu, na pokładzie zrobi się tłok. Dlatego marynarze wolą krótkie miecze. I nie próbuj walczyć w taki sposób, w jaki robiłbyś to na lądzie, na prostych nogach. Na statku musisz balansować, gdyż pokład nigdy nie przestaje się ruszać. Miej ugięte nogi i nigdy nie atakuj, kiedy stracisz równowagę. Broń się, dopóki znów nie staniesz pewnie na nogach i wtedy uderzaj.

Ulfilo wyglądał na urażonego tym pouczeniem, ale Springald przysłuchiwał się w uwagą. Malia była opanowana jak zwykle. Jeśli jej twarz wyrażała cokolwiek, to tylko zainteresowanie zbliżającym się starciem.

Gdy podpływali do wysp, przygaszeni żeglarze zapomnieli o swoich piosenkach i ordynarnych żartach. Ich oczy przeczesywały widnokrąg, a dłonie wędrowały ku broni, by pieszczotliwie pogłodzić rękojeść albo sprawdzić, czy klinga jest dostatecznie ostra. Pierwszą i drugą wyspę minęli spokojnie. Trzecia wyspa leżała najbliżej kontynentu. Kiedy przepływali wąską cieśniną, marynarz na oku krzyknął:

- Pirogi! Pirogi! Czarne diabły pędzą na nas!

Wulfrede biegiem rzucił się do relingu.

- Gdzie są?

- Z przodu na sterburcie, wypływają zza tej wielkiej skały tuż za południowym przylądkiem wyspy!

- Ilu? - ryknął Conan.

- Widzę trzy łodzie, ale chyba wychodzi następna!

Ulfilo wyszedł na pokład, zapinając stalowy półpancerz.

- Kiedy tu będą? - spytał Cymmerianin.

Wulfrede wzruszył ramionami.

- To zależy, jak twardzi są ich wioślarze i czy będą nas ścigać. Jeśli

pożeglujemy wystarczająco szybko i miniemy ich, zanim zblizą się do nas, może unikniemy walki.

- Nie możemy zwiększyć szybkości za pomocą wiosła? - zapytał Springald, wychodząc na pokład. Miał stalowy hełm z misiurką opadającą na ramiona i lekką kolczugę z posrebrzanej stali. W ręku trzymał obnażony miecz, a na lewym przedramieniu małą stalową tarczę.

- Nie - odpowiedział Wulfrede - na tego typu żaglowcach wiosła są używane jedynie w czasie portowych manewrów. Poza tym korzysta się z nich tylko w czasie ciszy morskiej albo gdy na przykład trzeba ominąć skały. Nie powinniśmy także męczyć ludzi przed walką. Jak widzisz, w tego rodzaju potyczkach wszystko ma znaczenie. Im dłużej będziemy uciekać, tym mniej sił będą mieć ich ludzie przy wiosłach, podczas gdy nasi będą wypoczęci, gdy dojdzie do starcia.

- Wielce roztropne - skomentował Springald.

Malia wyszła na pokład, blada, ale opanowana.

- Co mam robić? - zapytała bez lęku w głosie.

- Trzymaj się na dole - nakazał Wulfrede. - W swojej kabinie będziesz bezpieczna. Ich pirogi nie mają taranów i piraci nie będą próbowali podpalić statku. Ostatecznie zależy im na zdobyciu go w stanie nienaruszonym.

- Springald i ja będziemy strzec zejścia pod pokład - powiedział Ulfilo. Odwrócił się do Malii. - Jeśli zobaczysz pirata schodzącego w dół po tych schodach, wiedz, że nie żyję.

- Jestem przygotowana. - Malia poklepała mały, wysadzany klejnotami przedmiot, który wisiał na złotym łańcuszku na jej szyi. Conan zauważył, że jest to maleńki sztylecik. Było oczywiste, że kobieta nie zamierza użyć go przeciwko piratom.

- Jak chcesz. - Wulfrede wzruszył ramionami. - Zdajecie sobie sprawę, że jeśli wypadniecie za burtę, to zbroje pociągną was na dno?

- Tylko w jeden sposób mogę opuścić to miejsce: martwy - powiedział Ulfilo, wspierając się na długiej rękojeści miecza.

- Rób, jak uważasz. - Kapitan z powątpiewaniem popatrzył na długie ostrze. - I uważaj, jak będziesz nim wymachiwał.

- Już nam o tym powiedziano - rzekł Springald.

Conan, bosy, odziany jedynie w krótkie marynarskie spodnie, wspiął się na maszt i stanął na rei. Popatrzył najpierw w kierunku wyspy, skąd płynęło spiesznie pięć długich łodzi. Potem spojrzał w tył. Statek o czarnych żaglach w dalszym ciągu podążał za nimi, utrzymując stały dystans. Conan zaklął pod nosem i zsunął się z masztu na pokład.

- Nasi goście pędzą nam na spotkanie. Teraz jest pięć piróg. Musimy ich odpowiednio przyjąć.

Podniósł z pokładu pas z bronią i zapiął go na biodrach. Wyjął miecz, odczepił pochwę i rzucił ją na pokład.

- Nie będę jej potrzebował przed końcem tej zabawy - powiedział do Aquilończyków. - Radzę zrobić to samo. Pętająca się u boku pochwa może wyrzucić człowieka szybciej niż chwiejny pokład.

Springald posłuchał rady, Ufilo zignorował.

Gdy pirogi zbliżyły się, żeglarze wyszczerzyli zęby w wilczych uśmiechach i zaczęli ważyć broń w rękach. Wszyscy mieli krótkie miecze albo topory i małe okrągłe tarcze z wikliny obciążonej skórą. Paru przywdziało stalowe hełmy. Wzdłuż relingu stały oparte oszczepy i skrzynie z kamieniami do proc.

Conan wziął łuk, napiął i wypróbował cięciwę. Była to tandetna broń, jaką właściciele statków kupowali na wszelki wypadek. Kiepskie strzały miały nasmarowane tłuszczem żelazne groty i lotki przywiązane sznurkiem. Morskie powietrze szybko zniszczyłoby nawet najlepszy klej. Conan wziął dwadzieścia pierzastych pocisków i wsunął je za pas.

- Władasz łukiem równie dobrze co mieczem? - zaciekawiał się Springald.

- Tak. Co prawda nie jest to świetna hyrkańska broń, ale przecież nie będę strzelał z grzbietu galopującego konia do postaci oddalonej o sto

kroków. Te strzały nie będą musiały też przebijać zbroi.

Słyszeli już śpiew dzikich burzący krew w żyłach - barbarzyńskie zaproszenie do walki i rzezi. Głosił pierwotną radość z rozlewu krwi. Zapowiadał, że wojownicy w pirogach nie będą brali jeńców, by sprzedać ich jako niewolników. Będą zabijać każdego, kto wpadnie im w ręce.

Między wiosłarzami stali wojownicy, którzy potrząsali włóczniami w rytm śpiewu. Wyspiarze byli wysocy, o jaśniejszej skórze niż czarni z kontynentu. Ich nagie ciała lśniły od oliwy, jaskrawe wzory wymalowane na skórze mieniły się kolorami tęczy. Nosili wysokie pióropusze z barwnych piór, chwiejące się w takt melodii. Ich włócznie miały długie groty z topornie wykutego żelaza, dzięki nierównym powierzchniom jeszcze bardziej śmiertelne. Ostrza połyskiwały złowieszczo w gorącym słońcu. Krótkie, grube drzewca były wycięte z hebanu.

Pirogi mknęły do przodu, pchane gwałtownymi, gorączkowymi pociągnięciami wiosł. Rytmiczny śpiew przerodził się w dzikie okrzyki wojenne, kiedy czarni zorientowali się, że ich ofiara nie zdoła uciec. Łucznicy zaczęli strzelać, ale małe łuki nie nadawały strzałom z trzciny wielkiego impetu, więc lekkie tarcze marynarzy z łatwością zatrzymywały pierzaste pociski. Strzały z żaglowca przynosiły lepsze efekty, w łodziach piratów co chwilę rozlegał się krzyk i trafiony wojownik wypadał za burtę.

Conan napiął cięciwę, strzelił i zobaczył, jak następna ofiara wpada do morza. Naciągał łuk i strzelał szybko, nie przejmując się dokładnym celowaniem, po prostu słał strzały w ludzki gąszcz na pirogach. Teraz nie potrzebna była wprawa mistrza, chodziło o zmniejszenie przewagi liczebnej wroga. W każdej łodzi znajdowało się po czterdziestu wojowników i gdyby wszyscy wdarli się na pokład, z pewnością pokonaliby obrońców. Gdy pirogi zbliżyły się na odległość kilku kroków, ze statku posypały się włócznie i kamienie.

Potem rozległ się trzask drewna, gdy dziób pierwszej pirogi uderzył w sterburtę „Tygrysa”. W tej samej chwili wysocy czarni włócznicy przeskoczyli

nad relingiem, gdzie czekały na nich miecze i topory marynarzy. Ludzie krzyczeli, cięli i dźgali, krwawili i padali. Kołyszący się pokład stał się jeszcze bardziej zdrażliwy, gdy pokryły go krew i wnętrzności wojowników.

Conan wystrzelił z rufy ostatnią strzałę, potem dobył miecza i zeskoczył na niższy pokład. Następna piroga dobiła do burty i Cymmerianin rzucił się do strzaskanego relingu, aby odeprzeć piratów. Pierwszy, który spróbował wdrzeć się na pokład, miał krótką pelerynę z lamparciej skóry i szkarłatny pióropusz. Wzniósł wysoko włócznię, ale zanim zdążył uderzyć, Conan przeciął go w pół. Napastnik, gubiąc wnętrzności, runął z powrotem do pirogi. Gdy inni próbowali dostać się na pokład, miecz Conana zbierał krwawe żniwo. W powietrzu latały odcięte głowy i ręce.

Pirogi oblepiły burty i piraci wdarli się na statek. Obrzydliwe mlaskanie mieczy i siekier rozcinających nagie ciała mieszało się ze śpiewem wojowników, którzy czekali w pirogach na okazję do zadawania albo poniesienia śmierci.

Tego dnia ludzie nie byli jedynymi drapieżnikami na morzu. Trójkątne płetwy cięły wodę, gdy wygłodniałe rekiny pędziły w kierunku okrętu. Krew przyciągnęła drapieżne ryby, gromadzące się wokół tak, jak sępy i kruki zbierają się na łądzie wszędzie tam, gdzie toczy się bitwa.

Dwóch przedsiębiorczych marynarzy skoczyło do ładowni i wróciło z olbrzymim balastowym kamieniem. Gdy towarzysze zrobili im miejsce przy relingu, cisnęli go na środek najbliższej pirogi. Ciężki głaz strzaskał cienkie drewniane dno i łódź zaczęła nabierać wody. Wojownicy z tonącej pirogi zaczęli krzyczeć, nie z lęku przed głodnymi rekinami, ale z wściekłości, że umierają bez szansy zabicia wroga. Marynarze wrzasnęli z radości, kilku rzuciło się pod pokład po następne kamienie.

Conan odszedł od relingu, by przez chwilę odetchnąć i sprawdzić sytuację na pokładzie. Kilku żeglarzy zajęło jego miejsce, gdy tylko się cofnął. Zobaczył kapitana, który rąbiąc napastników toporem, wesoło podśpiewywał vanirską pieśń wojenną. W walce jeden na jednego marynarze

mieli przewagę nad zawziętymi, ale słabo uzbrojonymi piratami. Groźna była jedynie liczba wrogów.

Conan wskoczył na rufę, gdzie znalazł Ulfila i Springalda, którzy pilnowali zejścia pod pokład. Teraz zrozumiał, dlaczego Ulfilo zignorował jego radę dotyczącą pochwy. Aquilończyk walczył, nie odrywając stóp od pokładu. Gdy wymachiwał wielkim mieczem i robił uniki przed śmiercionośnymi włóczyniami, jego nogi i ciało wyginały się płynnie, ale stopy tkwiły nieruchomo. Zadawał ciosy potężne i celne. Wyglądał imponująco. W pobliżu był Springald, który zręcznie władał swoim krótkim mieczem o plecionej gardzie. Conan spotykał już uczonych-wojowników i wiedział, że nauka w żaden sposób nie osłabia człowieka, chyba że sam tak postanowi. Mól książkowy walczył nie ponuro jak Ulfilo, nie zaciekle jak Cymmerianin, ale przebiegle i z uśmiechem na krągłej, inteligentnej twarzy. Conan wyszczerzył zęby na ten widok. Ci dwaj nie potrzebowali jego wsparcia.

Po wyeliminowaniu jednej pirogi obrona stała się trochę łatwiejsza. W chwili gdy Conan o tym pomyślał, zobaczył marynarza przebijanego włócznią na wylot. Zabójca wskoczył na pokład i z triumfalnym wrzaskiem wyciągnął drzewce z martwego ciała. Wzniósł broń wysoko, by przeszyć następnego obrońcę, gdy miecz Conana zakreślił w powietrzu błyszczący łuk i rozplątał mu głowę. Ostrze weszło głęboko, aż do mostka, tak że Cymmerianin musiał pchnąć nogą ciało wojownika, by uwolnić miecz.

Gdy czarny upadł, Conan zeskoczył do pirogi i zamachnął się oburącz. Skrwawiona stal zataczała dzikie poziome półkola, tnąc za każdym razem ciało, kości i wnętrzności, zbryzgując morze deszczem purpurowych kropel. Marynarze zawyli z radości i poszli w jego ślady. Wycinali sobie drogę z jednego końca pirogi na drugi jak śmiercionośni drwale. Czarnoskórzy walczyli do ostatniego człowieka, wołąc śmierć od stali niż w zębach rozszalałych rekinów, które ubijały wodę na różową pianę.

Conan i inni wrócili na pokład „Tygrysa” w sam czas, by zobaczyć, jak pozostałe pirogi z przetrzebionymi załogami rzucają się do ucieczki. Żeglarze

wzniesli dziki okrzyk i triumfalnie potrząsnęli skrwawionym orężem. Przez chwilę Wulfrede krążył wśród nich, składając gratulacje, potem powrócił do prac związanych z dalszą podróżą.

- Do roboty! - wrzasnął w doskonałym humorze. - Rzucić zabitych za burtę. Niech paru ludzi przyniesie kubły i zmyje krew z pokładu, zanim zaschnie. Ranni na rufę, do opatrzenia ran. Złóżcie broń w skrzyniach, oczywiście po oczyszczeniu i natarciu oliwą.

Ludzie wesoło wypełnili jego rozkazy, najwyraźniej wcale nie zasmuceni losem poległych kamratów. Po paru minutach pokład błyszczał jak nowy, a statek ponownie płynął swoim kursem. Kuk okrętowy rozpalił ogień i podgrzał garnek ze smołą do najcięższych okaleczeń, podczas gdy żaglomistrz przygotowywał igłę i nici dla marynarzy, których rany potrzebowały szycia.

Conan wspiął się na maszt i spojrzał wzdłuż kilwateru. Czarny żaglowiec nadal podążał ich śladem, zachowując stałą odległość. Najwyraźniej w czasie walki z piratami strymował żagle. Conan zobaczył, jak reja wznosi się na maszcie, a wielki żagiel wydyma na wietrze. Zaklął pod nosem, nie mogąc zrozumieć, o co chodzi prześladowcy. Jeśli chciał zaatakować, teraz nadeszła odpowiednia chwila, gdy zmęczony po bitwie „Tygrys Morski” wylizywał rany. Ale nieznanym nie zależało na zmniejszeniu odległości. Conan zsunął się z masztu i poszedł na rufę, gdzie znalazł Aquilończyków. Ulfilo i Springald, którzy wcześniej walczyli bez trwogi, teraz pobledli na widok niedbałego sposobu, w jaki marynarze pozbywali się poległych.

- Tak po prostu rzucają swoich towarzyszy rekinom? - zapytał z oburzeniem Ulfilo. - Nie mają bogów ani rytuałów dla tych, którzy odeszli? Nie boją się prześladowania przez duchy zmarłych?

- Tam, skąd pochodzą, zapewne mieli - odrzekł Conan. - Nie wątpię, że przestrzegali obyczajów i odprawiali rytuały związane z grzebaniem zmarłych i uspokajaniem duchów. Jednak teraz nie mają ojczyzny. Dla żeglarzy morze jest odpowiednim grobem. Jeśli ich zapytasz, większość odpowie, że rekiny

są sługami morskich bogów, które przyjmują ofiary z żeglarskich żywotów, a martwi udają się na spoczynek na dno morza. Marynarze mają wiele wierzeń, niektóre mogą się wydawać dziwne, ale nie ma w nich miejsca na lęk przed śmiercią. Na morzu śmierć jest czymś zwyczajnym, a dożywanie sędziwego wieku niezwykłym osiągnięciem.

- Fascynujące - stwierdził Springald. - A ty, Conanie? W co wierzysz?

- Cymmeria jest krajem leżącym w głębi lądu i my, jej mieszkańcy, nie mamy wierzeń czy tradycji dotyczących morza. Naszym jedynym bogiem jest Crom z Góry. Crom niewiele dla nas robi, żywych czy martwych, jedynie daje życie i waleczne serca. My, mając te dary, pragniemy zachować je jak najdłużej. Nie ma znaczenia, czy umieramy na lądzie, czy na morzu.

- Ponura filozofia wybitnie ponurego ludu.

- Chodź - powiedział do Springalda Ufilo, znudzony tematem. - Zejdźmy na dół oporządzić broń i zbroje. Nic tak nie niszczy świetnej stali jak krew, a poza tym chcę oczyścić ubranie.

- Wieczny żołnierz, prawda, szwagrze? - zapytała wchodząca po schodach Malia.

- A jakżeby inaczej? - zapytał Ufilo, odporny na ironię.

Obaj Aquilończycy zniknęli pod pokładem.

- Mój szwagier jest dobrym człowiekiem, aczkolwiek trochę sztywnym i całkowicie pozbawionym poczucia humoru. - Malia omiotła statek wzrokiem. - Nikt by nie odgadł, że na tym okręcie ledwie pół godziny temu miała miejsce krwawa jatka. Wygląda tak samo, jak przed starciem z piratami!

- Wulfrede dba o swój żaglowiec - powiedział Conan - a piraci byli zbyt złąknieni krwi, by dobrze wykonać swoją korsarską robotę.

- Co przez to rozumiesz?

- Czarnoskórzy wpadli w szal bitewny. Gdyby byli mądrzejsi, kilku mogłoby wdrzeć się na pokład z siekierami i pociąć takielunek oraz strzaskać koło sterowe. Wtedy zostalibyśmy unieruchomieni na wiele godzin, a oni mogliby wrócić na swoją wyspę, zabrać posiłki i nas wykończyć.

Zadrżała na tę myśl.

- Dziękuję Mitrze, że nie pobłogosławił ich taką dalekowzrocznością. - Nie po raz pierwszy przyjrzała się uważnie Conanowi. - Słyszałam twoją rozmowę z moimi towarzyszami. Nie pierwszy raz Springald powiedział, że Cymmerianie słyną z ponuractwa. A jednak ty jesteś inny: posępny i skłonny do milczenia przez długi czas, ale gdy humor ci dopisuje, potrafisz się śmiać głośno i zaraźliwie.

- Jestem niepodobny do reszty moich rodaków. Cymmerianie są największymi w świecie wojownikami, ale życie wśród nich jest nad wyraz nudne. Pogardzają luksusami i wygodą, nienawidzą opuszczać kraju i życia wśród obcych. Ja byłem inny od najwcześniejszych lat.

- To znaczy?

- Od dziecka lubiłem słuchać opowieści podróżujących kupców i tych nielicznych Cymmerian, którzy walczyli w innych krajach. Tęskniłem za widokiem wielkich miast i podróżami po dalekich krainach. Potrafię znosić ciężkie życie w obozowiskach i walczę ze szkarłatną furją, w czym jestem podobny do moich rodaków. Ale nie mogę przebywać zbyt długo w jednym miejscu, opanowuje mnie bowiem żądza dalszej wędrówki. Poza tym lubię świetne wino, dobre jedło i dźwięk muzyki. - Popatrzył na nią równie otwarcie jak ona. - I delikatne kobiety, które pachną wonnościami, nie dymem z torfowych ognisk. Tym różnię się od moich pobratymców.

Obdarzyła go uśmiechem.

- Cieszę się, że to usłyszałam - rzuciła mu na pożegnanie to dwuznaczne stwierdzenie i odeszła.

Gdy tylko jej białe włosy zniknęły pod pokładem, pojawił się Wulfrede. Obaj mężczyźni zaczęli przechadzać się po rufie i rozmawiać ściszymi głosami.

- Jak wypadł rzeźnicki rachunek? - zapytał Conan.

- Ośmiu zginęło na miejscu - odparł Wulfrede - a dwóch dalszych może nie przeżyć nocy.

- Niewielu w porównaniu z łaźnią, jaką sprawiliśmy korsarzom, ale na tych wodach nie możemy uzupełnić załogi.

- Tak. Nie możemy wplątać się w żadną bijatykę przed dotarciem do celu.

- Czarny żaglowiec w dalszym ciągu trzyma się za nami.

- Widziałem. Jest tak, jak myślałem. To tylko jakiś kupiec, który myśli, że odkryliśmy bogate tereny. Prawdopodobnie będzie rozczarowany, gdy odkryje, dokąd zmierzamy - rzekł ze śmiechem Wulfrede.

Jednak Conan miał co do tego poważne wątpliwości.

VI

WYBRZEŻE KOŚCI

Zielonkawe fale rozbijały się na poszarpanych skałach, przypominających zęby morskiego potwora toczącego pianę z pyska. Wulfrede stał przy kole sterowym. Nie ufał nikomu na tyle, by złożyć w cudze ręce sterowanie „Tygrysem Morskim” podczas tego niebezpiecznego przejścia. Conan stał na dziobie z doświadczonym marynarzem. Obaj trzymali poznaczone węzłami linki z ołowianymi ciężarkami, i za pomocą tych prostych przyrządów mierzyli głębokość wody. Robili to na przemian; gdy jeden wyciągał swoją sondę, drugi rzucał, dzięki czemu przerwy między pomiarami były niewielkie.

- Dwa sążnie - zakrzyknął śpiewnie marynarz. Pochodził z Czarnego Wybrzeża i twierdził, że zna te wody. Wzięli go wraz z paroma innymi, aby zastąpić ludzi poległych w potyczce z piratami. Nowi marynarze należeli do plemienia Lua, w porównaniu z Kushytanii stosunkowo pokojowego, i cieszyli się reputacją zręcznych żeglarzy. Zwyczajowo zaciągali się na zmierzające na południe statki, które opuszczali w drodze powrotnej.

- Sążeń i pół - zawołał Conan.

Marynarze stojący przy relingu zachowywali milczenie. Mającące w

poblizu skały były groźniejsze od piratów. „Tygrys Morski” miał mniej niż sążeń zanurzenia, ale nawet niewielka skalista ostroga, stercząca z dna na dwie czy trzy stopy, mogłaby rozpruć poszycie statku od dziobu do rufy i spowodować natychmiastowe zatonięcie. Nawet dobry pływak nie miałby szans na uratowanie się z idącego na dno okrętu.

Drżenie przebiegło przez statek. Linka z ciężarkiem wypadła z rąk marynarza, jak gdyby została uwięziona między dnem statku i czymś poniżej. Żeglarze i pasażerowie zacisnęli zęby. Po chwili drżenie ustało.

- To tylko piaszczysta łacha - powiedział Wulfrede. - Poznalibyśmy, gdyby to była skała. - Mówił lekkim tonem, ale twarz miał zlaną potem wcale nie z powodu upalnego poranka.

Conan wyciągnął sondę.

- Sześć sążni! - krzyknął z szerokim uśmiechem.

Wszyscy zaczęli znowu normalnie oddychać. Minęli skalną barierę i wpłynęli na głębokie wody laguny. Wulfrede otarł pot z czoła i przekazał ster marynarzowi.

- Nie powtórzę takiego przejścia za żadne pieniądze!

- Będziesz musiał, przynajmniej jeszcze raz - zauważył Springald. - Jak inaczej chciałbyś opuścić to miejsce?

- Będziemy tutaj przez jakiś czas - rzekł Wulfrede. - Wyślę szalupę z sondą i znajdę bezpieczniejszą drogę. Tutaj mogłaby nas zabić niewielka skała.

Szeroka i spokojna laguna graniczyła z plażą białego piasku, za którą wyrastała ściana gęstej dżungli. Zielona roślinność błyskała w porannym słońcu. Wokół panowała cisza, ale Conan wiedział, że to jedynie z powodu odległości dzielącej ich od brzegu. Dżungla nigdy nie milczy, zawsze rozbrzmiewa śpiewem ptaków, bzyczeniem owadów i krzykiem ofiar drapieżników. Znad laguny dobiegał cichy szum fal rozbijających się o odległe rafy.

Aquilończycy przyłączyli się do Conana, który przyglądał się linii

brzegowej.

- Nie widzę oznak życia - zagadnął Springald. - Nie ma łodzi na brzegu, nie ma chat ani śladu dymu nad dżunglą.

- Nie dajcie się zwieść - ostrzegł Conan. - Borana są tutaj, i nawet w tej chwili nie spuszczają nas z oka. Wygasili ogniska, gdy tylko zobaczyli statek. Teraz nas oceniają.

- Pod jakim względem? - zapytała Malia.

Conan uśmiechnął się do niej.

- Jako kolację.

- Wielu z tej bandy jest zbyt łykowatych i żyłastych - rzekł ze śmiechem uczony. - Chociaż Malia na pewno jest smakowita.

- Nie myśl o mnie jak o pożywieniu dla ludożerców - oburzyła się dziewczyna.

- To nie jest stosowne - zgodził się Ulfilo.

- Na Ymira - wtrącił Wulfrede - nie chcieliśmy być niestosowni, prawda?

- Jak dostaniemy się na ląd? - zapytał Springald.

- Najpierw wyślemy łódź z paroma ludźmi, uzbrojonymi po zęby, ale z towarem - odparł kapitan. - Krajowcy muszą zobaczyć, że jesteśmy silni, ale nie chcemy, aby brali nas za piratów czy łowców niewolników.

- Będziesz w pierwszej łodzi? - zapytał Ulfilo.

Van pokręcił głową.

- Przede wszystkim liczy się okręt.

- Tak - potwierdził Conan. - Na brzegu może czyhać niebezpieczeństwo i kapitan musi pozostać na statku, dopóki nie upewni się, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Ja popłynę w pierwszej łodzi.

- Będę ci towarzyszył - zadeklarował Springald. - Chciał- bym poznać tych ludzi i ich kraj.

- Jak chcesz, ale bądź przygotowany na kłopoty.

- Jestem, od czasu opuszczenia Aquilonii.

Kiedy żaglowiec stanął na kotwicy, wybrani marynarze zabrali broń i

popłynęli w stronę plaży. W dalszym ciągu nie było ani śladu tubylców. Na dziobie Conan i Springald usadowili się na skrzyni z towarem na handel. Aquilończyk jak zwykle zabrał sakwę z księgami. Sześciu doświadczonych marynarzy siedziało przy wiosłach, siódmy przy sterze. Wszyscy byli uzbrojeni.

- Tam jest rzeka. - Springald wskazał przerwę między drzewami, skąd leniwy strumień wnosił zielone błoto do zatoki. - Nie wygląda to zachęcająco.

- Lepiej niż w czasie mojego ostatniego pobytu - oznajmił Conan. - Wtedy był niższy poziom wody. Być może będziemy mogli pić bez konieczności wielokrotnego filtrowania.

- Mam nadzieję, Conanie - powiedział sternik. - Beczułki są już prawie puste.

Kiedy stępka łodzi dotknęła piasku, mężczyźni wyskoczyli i wyciągnęli szalupę na plażę. Cymmerianin dostrzegł morskie glony na piasku i wskazał miejsce poza nimi.

- Wyładujcie wszystko tutaj - poinstruował - poza zasięgiem fal.

Marynarze zrobili, jak kazał, a potem rozpostarli koce i podnieśli wieka skrzyń. Wkrótce wyłożyli różnobarwne paciorki, zwoje miedzianego i brązowego drutu, sztabki żelaza, noże, topory, dzwonki, farby i bele kolorowego materiału.

- Co teraz? - zapytał Springald.

- Teraz czekamy - odrzekł Conan.

- Mógłbym przeprowadzić mały rekonesans. - Uczony popatrzył tęsknie na drzewa.

- Nie, dopóki dokładnie nie poznamy zamiarów tubylców.

Marynarze nerwowo, z bronią w pogotowiu, czekali, co się wydarzy. Conan stał z założonymi rękami, nieruchomy niczym posąg. Nie musieli długo czekać. W jednej chwili dżungla była spokojna, w następnej zauważyli nagłe poruszenie wśród drzew. Ludzie aż krzyknęli ze zdziwienia.

- Na Mitrę! - szepnął Springald, gdy przed nimi zmaterializowała się setka wojowników. - Skąd oni się wzięli?

- Byli tu przez cały czas - powiedział Conan. - Dostrzegłem ich wkrótce po wylądowaniu. Podobnie jak Piktowie, są mistrzami w sztuce krycia się w cieniu i pozostawania w absolutnym bezruchu. Dla kogoś nie przyzwyczajonego, między drzewami są niewidoczni.

Tam, gdzie przedtem była jedynie ściana zieleni, teraz stali mężczyźni dzierżący włócznie i długie tarcze. Różnili się od piratów z wysp; krępi, muskularni, średniego wzrostu, mieli bardzo ciemną skórę i ogolone głowy. Ich ciała pomalowane były w brązowe i zielone pasy, dzięki czemu mogli się lepiej kryć w dżungli. Podchodząc łypali podejrzliwie oczami zza tarcz.

- Jesteśmy martwi! - zduszonym głosem krzyknął jeden z marynarzy.

- Cisza - uspokoił go Conan. - Są zaciekawieni i pewni swej siły. Gdyby ostatnio byli tu łowcy niewolników, Borana podnieśliby krzyk i zaczęli ciskać w nas włóczniami. Niech nikt nie wyciąga broni, a być może wszystko pójdzie jak po maśle.

Szereg wojowników zatrzymał się dziesięć kroków przed nimi, kilku podeszło bliżej. Byli to starsi ludzie z wieloma bliznami i ozdobami, najwyraźniej wodzowie. Zignorowali białych i podeszli do koców z towarami. Wskazując niektóre przedmioty, wymieniali po cichu uwagi. Conan przyglądał się pozostałym wojownikom. Wyglądali groźnie, ale ich zachowanie nie sygnalizowało niebezpieczeństwa. Wiedział, że ci ludzie zwyczajowo przewracają oczami i szczerzą zęby tuż przed przystąpieniem do ataku. Nie okazywali lęku. Oznaczało to, że pośród drzew kryje się więcej wojowników, a ci są jedynie zwiadowcami. Na razie wszystko szło dobrze. Można było przystąpić do wymiany towarów i przejść do następnego etapu ekspedycji.

- Kto mówi kupieckim językiem? - zapytał Conan w uproszczonym kushyckim, który na całym Czarnym Wybrzeżu służył jako język handlowy.

Starsi wojownicy zwrócili się w jego stronę.

- Ja mówię - powiedział mężczyzna, który miał wymalowane białe koła

wokół oczu. - Jestem Ashko, wódz Borana znad Zielonej Rzeki. Przybyłeś handlować czy walczyć i brać niewolników?

- Widzisz nasze towary. Mamy ich więcej na pokładzie statku. Jeśli obiecasz pokój, przywieziemy je.

- Czego chcesz w zamian?

- Wiesz, czego chcemy: kości słoniowej, piór, złota, o ile je posiadasz, skór, szlachetnych kamieni i tak dalej.

- Niewolnicy? - dociekał wódz. - Mamy wielu jeńców na sprzedaż.

- Nie tym razem.

- Dobrze. - Ashko pokazał w uśmiechu spiłowane zęby. - Masz moje słowo. Będziemy handlować w pokoju, dopóki nas nie obrazisz lub nie będziesz próbował użyć przemocy. - Wyciągnął ręce i uścisnęli sobie z Conanem nadgarstki. - Roześlę wieści do sąsiednich wiosek.

Czarni wojownicy odprężyli się nieco i podeszli, aby obejrzeć kupieckie dobra.

- Chyba wszystko idzie dobrze - odezwał się Springald. Jego czoło błyszczało od potu.

- Tak, jak na razie - powiedział Conan. - Zrozumiałeś, o czym mówiliśmy?

- Mniej więcej. - Przygotowując się do podróży w głąb lądu, Aquilończycy uczyli się kushyckiego od nowych żeglarzy.

- Uważaj - ostrzegł Cymmerianin. - Wszystko może się zmienić w jednej chwili. Obietnica dana obcym nic nie znaczy na tym wybrzeżu. Ich słowo jest wiążące jedynie wewnątrz szczepu.

- Rozumiem. Więc jest niedobrze?

- Nie wiadomo. Musimy mieć więcej dowodów.

- Co więc robimy?

- Poczekamy.

W ciągu godziny z dżungli wylał się strumień tubylców z pobliskich wiosek. Starcy, kobiety z niemowlętami na ręku i małe dzieci, które trzeba

było odganiać od kolorowych świecidełek.

- Oto nasze dowody - oznajmił Conan. - Nie byłoby tutaj kobiet i dzieci, gdyby zanosilo się na walkę.

Wkrótce na plaży zrobiło się tłoczno. Rozpoczęto przygotowania do wielkiej uczty. Jeńcy, skuci łańcuchami i pilnowani przez wojowników, wykopali w piasku ogromne palenisko. Wkrótce zatańczyły w nim płomienie i kucharze przygotowali mięso na pieczeń. Wraz ze stosami owoców i placków z grubo mielonej mąki pojawiły się dzbany z miejscowym winem i piwem.

W ostatniej łodzi przyплыли Wulfrede, Malia i Ulfilo. Van się rozpromienił, gdy zauważył wyłaniający się z lasu sznur tragarzy. Niektórzy uginali się pod ciężarem wielkich kłów, inni nieśli na głowach belki cennego drewna. Wulfrede podszedł do Conana.

- Widzę, że wszystko kontrolujesz. Ta podróż może przynieść ogromne zyski, nawet jeśli nie odnajdziemy tego zaginionego brata.

- Nie przybyliśmy tutaj dla zysków - wtręcała Malia. - Musimy odnaleźć mojego męża.

Tubylcy gapili się na Aquilonkę, dziwiąc się jej białym włosom i wyjątkowo jasnej skórze. Kobiety pocierały jej ręce, aby sprawdzić, czy Malia nie jest pomalowana białą farbą. Znosiła to z arystokratycznym spokojem.

- Cóż, mnie przygnała nadzieja na zabicie majątku - odpowiedział jej Wulfrede.

- Musimy zapytać ich o Rogi Shushtu - rzekł Springald.

Wulfrede potrząsnął głową.

- Nie. Najpierw trzeba ich uspokoić i zająć się czymś, czego się spodziewają - handlem. Później możemy, a nawet musimy, wspomnieć o ekspedycji, bo potrzebujemy tragarzy. Na razie zapytamy ich tylko o źródło czystej wody, w przeciwnym razie powali nas gorączka.

- Już pytałem - rzekł Conan. - Godzinę drogi w górę rzeki jest strumień, który wypływa z pobliskich wzgórz. Woda w nim jest czysta i słodka.

- To dobrze. Dzisiejszej nocy będziemy świętować z naszymi nowymi przyjaciółmi. Rano wyślemy łódź, żeby ludzie napełnili beczułki. Po południu, kiedy wszystkich przestanie męczyć pragnienie i ból głowy, wynajmiemy tragarzy do podróży w głąb lądu. - Van odszedł, rozmawiając z wioskowymi kacykami. Musiał poczynić przygotowania związane z rozdawaniem podarków dla starszyny.

- Musimy zapytać o mojego brata - powiedział Ulfilo.

- Później, w czasie uczty - zdecydował Conan. - Gdy wino zaszumi im w głowach i poprawi humory. Ale już teraz mogę ci powiedzieć, że nie widzę śladu jego statku. Być może twojego brata spotkało jakieś nieszczęście zaraz po opuszczeniu Khemi. Może nigdy nie dotarł do Czarnego Wybrzeża.

- Dotarł bezpiecznie. Masz na to moje słowo.

- Znowu te diabelskie tajemnice - zganił go zapalczywie Conan. - Jeśli powiesz mi wszystko, co wiesz, będę mógł lepiej robić to, do czego mnie wynajęłeś.

- Już niedługo - zapewniła Malia. - Mój szwagier jest małomówny, ale ma ku temu powody.

- Zastanówcie się. Wszyscy narażamy życie z powodu waszych sekretów. Sytuacja i bez tego jest niebezpieczna.

- Myślisz, że coś nam grozi?

- Nie ma bezpiecznego miejsca na Czarnym Wybrzeżu. Tutejsi ludzie, łagodnie mówiąc, są zmiennego usposobienia. Awantura czy nawet jakaś obelga może spowodować masakrę. Jesteśmy bezpieczni tak, jak to możliwe, ale to wcale nie oznacza, że całkowicie.

Po zachodzie słońca zaprzestano handlu i wszyscy za wyjątkiem niewolników zaczęli ucztować. Aquilończycy i żeglarze przechadzali się w pobliżu dołu z ogniem, na pozór doglądając pieczenia, ale w rzeczywistości sprawdzając, czy nie zostaną poczęstowani ludzkim mięsem. Na szczęście nie zobaczyli niczego poza świniami, kozami, ptactwem i łowną zwierzyną. Wokół rozchodziła się apetyczna woń.

- Być może to tylko plotka - powiedział Springald - że są ludożercami.

- Być może zjadają jedynie wrogów zabitych w walce - odrzekł Conan - myśląc, że w ten sposób przejmują ich odwagę.

- Nie przysparza mi to apetytu - powiedziała Malia.

Usiedli pod drzewami na olbrzymich liściach rozpostartych na piasku. Służący położyli przed nimi płyty parującego mięsa i inne pożywienie, a niewolnice wachlowały ich, by odgonić owady.

Wulfrede przysiadł się do nich. W jednej ręce trzymał tykwę z miejscowym piwem, w drugiej piezzonego ptaka, którego łapczywie obgryzał. Spłukał kęs potężnym łykiem piwa i beknął.

- Na Yamira, gdybym nie był taki uczciwy, wróciłbym z tej podróży bogaty - oznajmił.

- A niby jak? - zaciekawiał się Springald.

- Jeden z kacyków zaproponował mi stu niewolników za Malię. Urzekła ich jej uroda. W tych stronach stanowi egzotyczny kąsek.

- Stale próbujesz mnie sprowokować - powiedziała zimno kobieta. - Postanowiłam to zignorować, jak zwykle.

- Wy, Aquilończycy, jesteście narodem pozbawionym poczucia humoru - mruknął Wulfrede.

Wieczór mijał w przyjemnej atmosferze. Wodzowie i wojownicy, dzięki wygranej wojnie z sąsiadami oraz temu, iż ostatnio nie napadali ich piraci czy łowcy niewolników, byli w dobrych nastrojach. Od dłuższego czasu handlarze nie pojawiali się na tym niegościnnym wybrzeżu, więc tubylcy mieli mnóstwo rzeczy na wymianę i wielkie apetyty na towary, których sami nie potrafili wytworzyć. Byli zadowoleni, że mogą kupić za przystępną cenę metale, ubrania i świece. Lamentowali jedynie, że biali nie chcą niewolników, gdyż mieli dość utrzymywania jeńców. Wulfrede zapewnił ich jowialnie, że po powrocie na północ poleci paru znanym handlarzom Wybrzeże Kości.

Gdy napełniono brzuchy, a piwo lało się strumieniami, Conan

postanowił poruszyć interesujący Aquilończyków temat. Zwrócił się do Ashka, który teraz paradował we wspaniałym naszyjniku srebrnych paciorków i krótkiej pelerynie ze szkarłatnego jedwabiu - prezentach od nowych przyjaciół.

- Powiedz mi, Ashko, czy wiesz coś o białym człowieku, nieco podobnym do Ulfila, który odwiedził to wybrzeże w ciągu ostatnich dwóch lat? Wiemy, że był tutaj raz, a być może powrócił. Jest naszym przyjacielem i zaginął jakiś czas temu.

- Ten szaleniec? - zapytał Ashko. - Z żółtymi włosami na głowie i brodzie? Ktoś taki był u nas. Nie zależało mu na handlu ani walce, lecz na podróży w głąb lądu. Powiedział, że tam jest coś, czego szuka. Za pierwszym razem ruszył z setką ludzi, białych i czarnych, i wszyscy byli dobrze uzbrojeni. Wrócił jedynie z dwoma, wyglądali jak duchy. Obiecał przywieźć bogate prezenty i odpłynął z ludźmi, którzy czekali na statku.

Conan nie dał się zwieść gościnności Borana. Ci ludzie byli dzikusami i całkiem możliwe, że kanibalami, a Marandos, brat Ulfila i mąż Malii, okazał się wystarczająco mądry, by przybyć tutaj z silnie uzbrojoną grupą. Pozwolili mu odpłynąć jedynie dlatego, że obiecał im bogate podarki.

- I rzeczywiście wrócił?

- Tak, ze wspaniałymi prezentami, które obiecał. Tym razem miał dwie setki ludzi oraz bumbana, i znów zniknął w głębi dżungli. Więcej go nie widzieliśmy.

- A co to są bumbana? - spytał Conan.

Jednak nim padła odpowiedź, do rozmowy wtrącił się Springald.

- Kiedy widziałeś ich po raz ostatni, przyjacielu Ashko?

Kacyk niedbale wzruszył ramionami.

- Sześć księżyców temu, może dziesięć lub dwanaście.

- Ci tubylcy niewiele uwagi poświęcają upływowi czasu - wyjaśnił Conan. - Tutaj nie ma prawdziwych pór roku, tylko sezon deszczowy i suchy, a często trudno je odróżnić.

- To kłopotliwe - powiedział Ulfilo - ale przynajmniej wiemy, że mój brat dotarł tutaj po raz drugi i miał się dobrze, kiedy wyruszał w głąb lądu.

- Conanie, zapytaj naczelnika, dlaczego nazwał Marandosa szaleńcem - poprosiła Malia.

Nie władała jeszcze biegle kupieckim językiem, a poza tym wódz mógłby poczuć się obrażony, że zwraca się do niego kobieta. Cymmerianin przetłumaczył pytanie.

- Jedynie szalony człowiek rusza daleko na wschód - odrzekł Ashko. - Spośród nas udają się tam tylko czarownicy, którzy pragną zdobyć wielką moc. Za wschodnimi górami mieszkają wielkie duchy i demony, które wypijają krew wszystkim śmiałkom. Nie ma tam niczego wartościowego. Z pierwszej wyprawy biały człowiek wyniósł tylko życie, a i to ledwo się w nim kołatało. Następnym razem nie powrócił. - Wódz wymownie wzruszył ramionami. - Był szalony.

Kiedy biesiada i hałasy ucichły, załoga statku udała się do urządzonego na brzegu obozowiska. Wystawiono posterunki, gdyż kraj nie był bezpieczny, niezależnie od pozorów. Wulfrede surowo zabronił kilku marynarzom picia i ci stanęli na warcie pierwsi. Marudzili, ale wiedzieli, że lepiej nie przeciwstawiać się kapitanowi i że przymusową posuchę odbiją sobie następnego dnia. Dzięki takiemu rozwiązaniu Van zapewnił obozowisku spokój i ochronę.

Zanim wszyscy się położyli, Conan odszukał Ashka, który był jeszcze na tyle trzeźwy, by mówić.

- Jeszcze nie śpisz i trzymasz się na nogach? - Naczelnik pokazał ostre zęby w uśmiechu. - Czyżbyśmy nie nakarmili cię dostatecznie albo czy nie dostałeś dość piwa? A może teraz masz ochotę na kobietę?

- Nie, mój przyjacielu, twoja gościnność nie ma granic. Nigdy nie byłem przyjmowany tak wspaniale. Chciałbym tylko zapytać cię o coś, o czym wspomniałeś na uczie.

- Co takiego? - Kacyk podszedł do dołu z ogniem i klasnął w dłonie. Podbiegła do niego kobieta z dwoma tykwami i drewnianym dzbanem z

palmowym winem.

Conan wziął jedną tykwę i wypił łyk wina, aby nie urazić gospodarza.

- Użyłeś słowa, którego nigdy wcześniej nie słyszałem. Powiedziałeś, że ten szaleniec wrócił z północy z ludźmi i bumbana. Kim są ci bumbana?

Ashko okazał zdziwienie.

- Nie macie na północy bumbana? Musicie mieć, bo miał z sobą dziesięciu.

- Być może znam ich pod inną nazwą.

- Bumbana to ludzie-zwierzęta, małpoludy, które mieszkają w górach daleko na wschodzie.

- Aha. Na jakim żaglowcu przyплыnęli?

- Wszystkie statki z północy są dla mnie takie same. Pierwszy wyglądał wielce podobnie do twojego. Drugi był cały czarny. Nawet wiosła i wielkie płótna, które chwytają wiatr, miał czarne.

- Jeszcze jedno. - Conan przykucnął przy ogniu, wziął patyk i zaczął rysować figurę na piasku. - Czy widziałeś już kiedyś coś takiego?

Na piasku widniał szeroki sierp księżyca ze skierowanymi w górę rogami, które obejmowały trójzęb o falistych ostrzach.

Ashko mruknął potakująco.

- Podobna figura, tylko złota, była umieszczona na najwyższym maszcie czarnego statku.

VII

PODRÓŻ NA WSCHÓD

Dwa następne dni zeszły na targowaniu. Aquilończycy niecierpliwili się, ale Conan i Wulfrede przestrzegali, że nie należy się spieszyć. Poza tym z głębi lądu przybywało coraz więcej tubylców, którzy mogliby wybuchnąć gniewem, gdyby kupcy znieacka spakowali towary i odeszli. Trzeciego dnia wieczorem biali przybysze zwołali zebranie naczelników. Po wymianie

grzeczności i prezentów przeszli do interesów.

- Chcielibyśmy wyruszyć za wschodnie góry - oznajmił Conan. - Zapłacimy szczerze za wynajem łodzi, które dowiozą nas jak najdalej w górę rzeki, i za tragarzy do dźwigania naszego dobytku, gdy trzeba będzie iść łądem. Potrzebujemy co najmniej pięćdziesięciu silnych młodych mężczyzn. W trakcie zużywania zapasów, tragarze grupkami będą mogli wracać do domu.

Ashko potrząsnął głową.

- My, Borana, jesteśmy wojownikami i nie dźwigamy ciężarów dla innych, ale niektórzy z naczelników mają poddanych odpowiednich do takiej pracy.

- Dlaczego nie kupicie niewolników? - zapytał kacyk, który przybył ze skutymi w łańcuchy jeńcami. Był rozczarowany, że kupcy nie chcą jego towaru. - Możecie robić z nimi, co wam się żywnie podoba, a gdy przestaną być potrzebni, po prostu ich zjecie.

Aquilończycy pobledli, słysząc taką propozycję, ale Wulfrede nie stracił kontenansu.

- Wiesz równie dobrze jak ja, przyjacielu - zaczął gładko - że niewolnicy zawsze próbowaliby uciec. Nie możemy strzec ich przez cały czas, a gdyby wędrowali w łańcuchach, posuwalibyśmy się niezmiernie powoli. Nie, potrzebujemy wolnych ludzi, którzy pójdą z nami bez przymusu.

Po długich debatach naczelnik się zgodził.

- Ale uprzedzam, że pójdą z wami tylko do podnóża. Wspinaczka jest zakazana, bowiem góry te są siedzibą duchów. Będziecie musieli znaleźć innych, którzy dalej poniosą wasze towary.

- Musimy przystać na te warunki, bo nic lepszego nie dostaniemy - szepnął Conan. - To dzicy ludzie, jeśli boją się gór, nie skuszą ich żadne skarby świata. Miejmy nadzieję, że u podnóża mieszka jakiś lud, który nie lęka się górskich demonów.

- Skoro nie ma innego wyjścia - mruknął w odpowiedzi Ulfilo.

Dobito targu i uzgodniono, że wyprawa wyruszy następnego dnia rano. Krajowcy znad górnego biegu rzeki przybyli w wielkich dłubankach załadowanych kością słoniową i innymi towarami na wymianę. Okazało się, że miejsca w łodziach starczy także dla białych podróżników i ich dobytku. Tragarzy mieli wybrać w wioskach leżących po drodze.

- Myślę - zaczął Wulfrede, gdy rada dobiegała końca - że byłoby najlepiej, gdybym wraz z większą częścią załogi towarzyszył wam w podróży w głąb łądu. Być może nie znajdziecie potrzebnych ludzi, gdy dotrzecie do gór, a wtedy będziecie zdani tylko na siebie.

- Zostawiłbyś statek na łasce losu? - zapytał Ulfilo.

- Pięciu czy sześciu marynarzy będzie czekać na pokładzie „Tygrysa”. Ashko obiecał, że zostawi okręt w spokoju. Ostatecznie jemu i innym naczelnikom zależy na tym, żebym wrócił bezpiecznie i przywiózł handlarzy niewolników, którzy kupią nadmiar ich towaru.

- Myślisz, że twoich chłopców ucieszy perspektywa podróży między ludożerców? - zapytał podejrzliwie Conan.

- Boją się mnie, więc będą posłuszni - skwitował Wulfrede.

Następnego ranka Aquilończycy, Cymmerianin i dwudziestu ponurych, narzekających marynarzy wsiadło do dłubanek.

Conan wraz z towarzyszami usadowił się w łodzi, która miała płynąć na czele. Nadal dręczył go niepokój. Ich czarny prześladowca zniknął za horyzontem, gdy tylko dotarli do Wybrzeża Kości, i od tamtej pory nie dał znaku życia. Ale Conan nie miał wątpliwości, że jeszcze zobaczą złowieszczy okręt i jego pasażerów.

- Ale ta rzeka cuchnie! - zawołała Malia.

Wsiadła do dłubanki, krzywiąc się komicznie. Dla wygody zamieniła strojną suknię na koszulę z długimi rękawami i workowate żeglarskie spodnie, które zatknęła w wysokie do kolan buty. Szeroki słomkowy kapelusz z długim do ramion woalem oraz jedwabne rękawiczki chroniły jej delikatną skórę przed palącymi promieniami tropikalnego słońca. Dziewczyna

początkowo buntowała się przeciwko noszeniu ciężkiego stroju, ale Conan uświadomił jej, że gdy tylko znajdą się w głębi dżungli, jadowite węże i żądzące owady okażą się dużo bardziej groźne od udaru, dzikich zwierząt, a nawet wrogów w ludzkiej postaci.

- Tutaj, na wybrzeżu - powiedział Springald w odpowiedzi na jej okrzyk - osadza się wszystko, co rzeka niosła przez setki mil. Gdy popłyniemy w górę, woda szybko się oczyści. Mam rację, Conanie?

- Tak. Ale przed górami nie będzie dość czysta, by nadawała się do picia. Dlatego przyjdzie nam gasić pragnienie wodą z beczulek albo z czystych strumieni, jeśli się na takowe natkniemy. Będzie ich parę. Co do zapachu... - wzruszył masywnymi ramionami - trzeba się przyzwyczać. Są gorsze rzeczy.

- Właśnie odkryłam jedną z nich. - Malia ze wstrętem strząsnęła wielonogiego robala z mankietu rękawiczki.

Wioślarzy ogarnęło rozbawienie, gdyż stworzenie było paskudne, ale nieszkodliwe, na które nie zwraca się uwagi nawet wtedy, gdy pełźnie po nagim ciele.

- Pokażemy ci te groźne, śmiertelnie groźne - powiedział jeden z tubylców, Umgako. Zajmował miejsce po lewej stronie na dziobie i nadawał tempo pozostałym wioślarzom. - Ten tylko bardzo śmierdzi, gdy się go rozgniecie.

- Cudownie! - mruknęła Malia. - Nie dość, że tną i kaszą, to jeszcze niektóre z nich cuchną gorzej niż wszystko inne!

Wszyscy zajęli miejsca i nadszedł czas, by ruszać w drogę.

- Odbijać! - krzyknął Conan.

Nie bardzo wierzył, że żeglarze sprawdzą się na tej wyprawie. Mogli być dzielni jak lwy na morzu, ale tutaj znajdowali się w obcym środowisku. Wiedział, że we wrogim otoczeniu większość ludzi ma skłonności do wpadania w panikę. Może nawet pokuszą się o próbę buntu i powrót na statek, póki nie odplynęli jeszcze daleko. Siedzący na dziobie następnej dłubanki Umu

obdarzył go paskudnym, pozbawionym cienia wesołości uśmiechem. Conan był przekonany, że wkrótce dojdzie między nimi do starcia.

Pierwszego dnia monotonnej podróży upał nie zelżał ani odrobinę. Rzeka płynęła leniwie, w cuchnącej szlamem wodzie kłębiły się liczne krokodyle. Gdzieś nurt rozszerzał się w rozlewiska, w których taplały się hipopotamy. Malia klasnęła z uciechy na widok zabawnie wyglądających zwierząt, a uczonek chciał obejrzeć je z bliska. Kazał zmienić kurs, lecz tubylcy sprzeciwili się, czujnie mierząc stworzenia wzrokiem.

- Mają rację - powiedział Conan. - Z tymi bydlętami nie ma żartów. Swawolą niby szczenięta, ale w rzeczywistości są niebezpieczne i humorzaste. Gdybyśmy je zaniepokoiли, powywracałyby i pomiażdżyły łodzie. Możecie podziwiać je do woli, ale z daleka.

Pierwszego wieczora rozbili obozowisko na brzegu rzeki. Rozpalili ogniska z wilgotnych gałęzi, żeby dym odstraszał niezliczone chmary owadów. Dżungla zamknęła się wokół nich, a gdy zapadła noc, ożyła głosami drapieżców i ich ofiar.

- Że też ludzie mieszkają w takim miejscu. - Malia ostrożnie podniosła woalkę, żeby napić się rozwodnionego wina.

- Nieliczni decydują się na to z wyboru - powiedział Springald. - Słabsze ludy są spychane przez silniejsze do dżungli albo na pustynie.

- Tak - przyznał z roztargnieniem Conan. - Założę się, że wyżej znajdziemy wojowniczych pasterzy, licznych i dobrze uzbrojonych. - Rozpraszało go to, co działo się kilka kroków dalej. Marynarze rozpalili własne ognisko i rozmawiali przyciszonymi głosami. Nie rozróżniał słów, ale spojrzenia i gesty świadczyły, że mówią o Aquilończykach. Rozpoznał dudniący głos gburowatego Umu, który z pogardą popatrywał w jego stronę. Gdy zobaczył, że Cymmerianin go obserwuje, wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu.

Po zejściu z okrętu powściągliwe zachowanie Umu ustąpiło miejsca otwartej bezczelności, ale marynarz zawsze powstrzymywał się w ostatniej

chwili i nie dawał Conanowi okazji do walki. Cymmerianin odnosił wrażenie, że ilekroć Umu zabiera głos, to inni przyznają mu rację. Widział ich błyszczące zęby, gdy sprawdzali ostrza noży albo gładzili drzewca włócznie, które jakoś zdobyli od krajowców. Ich postawa nie wróżyła niczego dobrego. W tym kraju koniecznym warunkiem przeżycia niewielkiej grupy było niedopuszczenie do jej rozpadu.

Niezależnie od przyczyny ich zachowania, Conan nie zamierzał znosić tego dłużej. Lepsza grupa uszczuplona o parę osób niż taka, w której nie będzie mógł odwrócić się plecami do ludzi mających wykonać jego rozkazy. Doszedł do wniosku, że najlepszym rozwiązaniem będzie szybka, brutalna lekcja dobrego wychowania.

Przez następne dwa dni posuwali się w głąb łądu. Tutaj dżungla schodziła do samej wody, często tworząc nad łodziami prawie zamknięte sklepienie. Z przewieszonych konarów spadały jadowite węże, narażając podróżników na śmiertelne niebezpieczeństwo. Od czasu do czasu mijali wioski, złożone z okrągłych chat ulepionych z błota, ze stożkowatymi dachami krytymi trawą. Ich mieszkańcy tłumnie wylęgali na brzeg i wytrzeszczali oczy na cudzoziemców. Małe dzieci tańczyły z uciechy na ich widok. Te dziwne, blade stworzenia wyglądały jak duchy, ale czy ktoś słyszał, żeby duchy ukazywały się w środku dnia?

Przed zmierzchem przybyli do dużej wsi u stóp majestatycznego wodospadu. Niezliczone strugi w połowie wysokości urwiska zlewały się w szeroki, spieniony potok, który z rykiem spadał na poszarpane czarne skały. W wodnym pyłe poniżej kaskady mieniła się wieczna tęcza.

- Jak pięknie! - zawołała Malia.

- Owszem. - Wulfrede przyznał jej rację, lecz minę miał kwaśną. - Widok jest piękny, ale niełatwo będzie wejść na tę skarpe. Tutaj kończy się podróż łodziami.

Podróżnicy z pomocą tubylców wysiedli na brzeg, gdzie przywitała ich wszędobylska, przyjemnie chłodna mgiełka. Mieszkańcy wioski rozpoczęli

radosne śpiewy, gdy zobaczyli w dłubankach swojego naczelnika i wracających wojowników. Pod kierunkiem wodza wyładowali dobytek białych przybyszów i zanieśli pakunki do wielkiej chaty. Naczelnik przydzielił inne lepianki swoim gościom, a potem wydał rozkazy i jego ludzie rozbiegli się, aby przygotować ucztę.

- Dość obżerania się i pustego gadania! - warknął Ulfilo. - Musimy ruszać dalej.

- Trzeba wybrać tragarzy - zaproponował Conan - a chcę tylko najlepszych. Zebranie ochotników i wybór potrwa co najmniej do jutrzejszego popołudnia. Wierz mi, zaoszczędzi nam to czasu w drodze. Chorzy czy chromi spowodują dużo większe opóźnienie niż to, które czeka nas teraz.

- Zaufamy twojemu osądowi - powiedział Ulfilo, jeszcze nie do końca uspokojony.

Conan zobaczył Springalda, który wpatrywał się w wodospad, zauroczony.

- Co takiego widzisz w tej wodzie, przyjacielu?

- To ten! Wielki Wodospad! Patrz, dokładnie taki, jak w *Kronikach podróży kapitana Belpormisa* - zaczyna się od białych wstążek, splata w jedną strugę i kończy w oparach mgły. Nie brakuje nawet tęczy, dokładnie jak opisano!

- Tak? I co jeszcze ten starożytny kapitan napisał o tym miejscu?

- W owych czasach była tu wioska, ale mieszkało w niej inne plemię, ludzie byli wyżsi i mieli jaśniejszą skórę. Wspomina spotkanie z krajowcami w pobliżu brzegu, i pisze, że mieszkali w długich domach z kłód, nie w okrągłych chałupach z błota.

- Czy to znaczy, że zbliżamy się do celu?

- Nie, ale przynajmniej wiemy, że jesteśmy na dobrej drodze.

Wieczorem obejrzeni tubylców i wybrali tych, którzy wyglądali na najsilniejszych i najbardziej wytrzymałych. Znaleźli trzydziestu odpowiednich. Naczelnik wysłał gońców do sąsiednich wiosek z wieścią, że cudzoziemcy

potrzebują tragarzy.

Po wyborze przywódcy ekspedycji zasiedli przy ognisku ze starszymi wioski. Zasykali ich pytaniami na temat ładu leżącego powyżej urwiska. Krajowcy niewiele mogli powiedzieć, mało kto bowiem tam bywał. Wioskowy szaman wyprawiał się nad wodospad, ale stanowczo odmówił udzielenia informacji. Stwierdził tylko, że góry są niebezpieczne dla tych, którzy nie władają magią dla swojej ochrony.

Gdy tak siedzieli pogrążeni w rozmowie, spomiędzy drzew wyłoniła się dziwna postać. Bardzo wysoki mężczyzna, zdecydowanie nie należący do tej samej rasy, co mieszkańcy wioski. Od ramion po kolana spowijała go czerwona szata, w dłoni trzymał wielki topór. Skórę miał koloru miedzi, a zabarwione ochrą włosy tworzyły grzebień, który przypominał pióropusze z końskiego włosia na hełmach. Poruszał się powoli, z wielką godnością.

- Kim on jest? - zapytał Conan, gdy zmierzył już przybysza od stóp do głów.

- To Goma, włóczęga i człowiek bez własnego szczepu. - Naczelnik mówił z pogardą. W tych stronach człowiek nie należący do żadnego plemienia był człowiekiem bez wartości. - Przybył tu kilka lat temu, może dziesięć.

- Człowiek bez plemienia przeżył tu tyle lat? Jak mu się udało?

- Nie chce pracować, ale bierze udział w wojnach i potyczkach dla jednego czy drugiego naczelnika. Trzeba przyznać, że jest wielkim wojownikiem.

Mężczyzna zatrzymał się przed ogniskiem i popatrzył na nich wyniośle.

- Jestem Goma. Słyszałem, że biali ludzie ruszają w góry. Postanowiłem pójść z wami. - Mówił handlowym językiem Kushytów z akcentem odmiennym od miejscowego.

- Potrzebujemy tragarzy - rzekł Ulfilo. - Zdejmij szatę, żebyśmy mogli zobaczyć, czy nie skrywa ona jakiejś choroby lub ułomności.

Wysoki mężczyzna roześmiał się.

- Nie obnażę się przed nikim ani też nie będę dźwigał ciężarów niczym niewolnik albo ci ludzie podlejszego rodzaju.

- Zatem odejdz, bo potrzebujemy tylko tragarzy.

Springald podniósł rękę.

- Bez pośpiechu. Goma, z jakiego powodu mielibyśmy cię zabierać? Jak widzisz, mamy wielu dzielnych wojowników, wszystkich dobrze uzbrojonych.

- Ale nie macie przewodnika. Niewielu z tych psów wspięło się na szczyt urwiska. Tylko stary czarownik bywał w górach. Nikt nie posunął się dalej.

- A ty byłeś za górami? - zapytał Ulfilo.

- Tak. Wędrowałem po wielu dalekich krajach. Pokonałem góry, przeszedłem leżącą za nimi pustynię i odwiedziłem okolice za pustynią.

- Łże! - syknął czarownik. Potrząsnął laską, aż zagrzechotały przymocowane do drzewca kości. Naszyjnik z suszonych ludzkich dłoni podskakiwał na jego piersiach, gdy zamazyście wymachiwał rękoma. - Nigdy się nie zdarzyło, by ktoś odwiedził te krainy i wrócił!

- A jednak stoję przed tobą - rzekł Goma z uśmiechem wyższości.

- Powiedz mi, Goma, znasz miejsce zwane Rogi Shushtu? - zapytał Springald.

- Tak. Dwa wielkie szczyty, jeden biały, drugi czarny. Między nimi leży przełęcz, a za przełęczą wielka dolina.

- On wie! - mruknął oszołomiony Springald. - Mówi prawdę, a stare księgi nie kłamią!

- Nie mów nic więcej, Goma - wtrącił Ulfilo. - Będziesz naszym .przewodnikiem. Czego chcesz za swoje usługi?

Wojownik popatrzył na rozłożone towary z takim samym lekceważeniem, z jakim spoglądał na mieszkańców wioski. Rysy miał regularne i arystokratyczne, co czyniło go jeszcze bardziej wyniosłym. Twarz o wysoko osadzonych kościach policzkowych mogłaby uchodzić za przystojną, gdyby nie szpeciły jej liczne drobne ozdobne tatuaże. Pokrywały

one także jego ramiona i widoczną nad czerwonym materiałem klatkę piersiową. Najwidoczniej nacięcia zostały natarte sadzą, gdyż zabliźnione zgrubienia lśniły na tle miedzianej skóry jak czarne paciorki.

- Nic. Pójdę z wami dla własnej przyjemności.

Tajemniczy mężczyzna odwrócił się i odszedł w las.

- Ha! - zakrzyknęła Malia. - To bardzo dziwny człowiek.

- Co o nim myślisz, Conanie? - zapytał Springald.

- Myślę, że zna krainę, do której ruszamy. I że nie odwróciłbym się do niego plecami.

Następnego dnia wybrali brakujących tragarzy i poczynili ostatnie przygotowania. Rankiem wyruszyli w kierunku urwiska, nie widząc tajemniczego Gomy.

Opuścili wioskę o świcie, wśród zawodzenia kobiet, które nie wiedziały, kiedy - i czy w ogóle - zobaczą swoich mężczyzn. U stóp skarpy, jakieś kilkaset kroków od wodospadu, zaczynała się biegnąca na szczyt wąska i kręta ścieżka.

Wspinaczka była niebezpieczna i trwała prawie cały dzień. Nie dość, że ścieżka była wąska i kręta, to jeszcze rzadko używana. Niektóre odcinki całkiem zarosły krzakami, inne zostały zmyte. Dla wychowanego w górach Conana dróżka była wygodna jak brukowany gościniec, lecz innym sprawiała trudność. Najbardziej nieszczęśliwi byli marynarze. Nie przyzwyczajeni do pokonywania większych odległości na piechotę, uważali wspinaczkę za istną katorgę.

Cymmerianinowi każda droga, która oddalała ich od nizinnej dżungli, zdawała się usłana różami. Mógł znieść prawie wszystko, ale cuchnące bagniska były wręcz odpychające. Cokolwiek znajdowało się na szczycie, mogło być tylko lepsze. Conan żwawo biegł ścieżką, zatrzymując się tylko po to, by zepchnąć na bok głazy albo wyciąć mieczem krzaki. W trakcie wspinaczki widok rozpościerający się u jego stóp stawał się coraz rozleglejszy, aż w końcu zobaczył morze zieleni ciągnące się aż do srebrnego

paska daleko na horyzoncie: prawdziwego morza.

Na szczycie urwiska rosły wysokie drzewa, inne niż na nizinie, oddalone znacznie od siebie. Korony miały dużo rzadsze niż te w dole, a listowie mniej gęste. Powietrze też było bardziej czyste. Conan, rozglądając się po okolicy, dostrzegł w cieniu pod drzewami znajomą postać.

- Jesteś twardszy od swoich towarzyszy, człowieku o czarnych włosach
- powiedział Goma.

- Jestem góralem, nieobca mi wspinaczka. Pozostali niedługo tu będą.

Goma przyjął niedbałą pozę, skrzyżował nogi i wsparł się na długim trzonku topora niczym mieszczuch na wykwintnej lasce ze złotą gałką. Conan z zainteresowaniem przyjrzał się broni. Nie był to znany w zachodnich krainach ciężki topór do rozłupywania zbroi, ale lekka broń o zwartym obuchu, wyposażonym z jednej strony w półkoliste ostrze, a z drugiej w długi na dłoń szpikulec. Trzonek mający trzy stopy i zakończony kulą wielkości pomarańczy, sprawiał wrażenie zrobionego z rogu nosorożca. Skórzana pętla łączyła go z nadgarstkiem Gomy. Conan wiedział, że jest to niebezpieczna broń, szczególnie w tym kraju, gdzie hełmy i zbroje należą do rzadkości.

Wkrótce zaczęli przybywać inni. Pierwszy pojawił się Ulfilo, zmęczony, ale zbyt dumny, by dać to po sobie poznać. Za nim wdrapała się Malia i Springald, oboje dyszący bez skrępowania. Potem pod drzewami stanął Wulfrede z paroma marynarzami. Pozostali żeglarze rozciągnęli się w długą linię wzdłuż szeregu tragarzy.

- Widzę, że nasz przyjaciel wreszcie do nas dołączył - stwierdził Ulfilo.

- A Conan wygląda jak dworzanin po porannej przechadzce po królewskich ogrodach - zauważyła kwaśno Malia.

Cymmerianin przetłumaczył te komentarze Gomie, który z rozbawieniem zapewnił:

- Koniec ze wspinaczką na wiele dni, ale czekają nas inne niebezpieczeństwa i trudy.

- Trudy nawet dla ciebie, Goma? - zapytał Wulfrede.

Przewodnik uśmiechnął się szeroko.

- Na pustyni nawet ktoś taki jak ja jest niepewny jutra.

Wulfrede spojrzał wściekle na Aquilończyków.

- Zeszłej nocy mówił coś o pustyni. Wy nie raczyliście o niej wspomnieć.

- W ogóle liczyli się z każdym słowem - wtrącił niecierpliwie Conan. - Chyba nadszedł czas, żebyśmy dowiedzieli się czegoś więcej o naszej podróży. Słuchajcie, cywilizacja została daleko za nami. Chyba się nie boicie, że ktoś was tu podsłucha czy będzie szpiegował! - Zamaszystym ruchem ręki omiół pierwotny las wokół nich i rozległą dżunglę, która rozpościerała się poniżej niczym zielony kobierzec.

Ulfilo zmieszał się, ale szybko odzyskał panowanie i wydał rozkazy.

- Odpochniemy tu chwilę, a potem w drogę.

Marynarze rzucili się na ziemię, tragarze zaczęli zdejmować pakunki z grzbietów. Tubylcy dotarli na płaskowyż w komplecie, ale paru zmordowanych marynarzy trudziło się jeszcze na ścieżce.

- Conan, Wulfrede - rzekł Ulfilo - chodźcie z nami na stronę. - Ruszyli w piątkę pod drzewa. Goma został na swoim miejscu, patrząc na wschód, najwyraźniej zatracony w podziwianiu czegoś, czego inni nie mogli zobaczyć. Aquilończycy znaleźli spokojną polankę i wraz z Conanem i Wulfredem usiedli na ziemi. Springald zdjął sakwę z ramienia, otworzył i wyciągnął z niej jakieś książki i dokumenty.

- Przez całe życie byłem uczonym studiującym wielkie wyprawy w przeszłości. Parę lat temu, podczas badań prowadzonych w wielce osobiwej i starożytnej bibliotece królów Aquilonii w Tarancii, natknąłem się na pewne książki dotyczące odkryć żeglarzy z królestwa Ashur, które dawno temu odeszło w zapomnienie. Jeden z tych żeglarzy przytoczył ogromnie zdumiewającą relację: Niejaki kapitan Belphormis, w trakcie rutynowego przecierania nowego szlaku handlowego w głąb Czarnego Wybrzeża, odkrył liczne ślady dużo starszej antycznej cywilizacji, która zniknęła tysiące lat

temu. Było to cesarstwo Acheronu. Kapitan Belphormis odkrył znaki i pieczęcie w górach na wschód stąd.

- Acheron! - zakrzyknął Wulfrede. - To legendarna nazwa. Ale z pewnością ten kraj leżał na północ stąd, chyba że stare podania kłamią.

- Masz rację - rzekł Springald. - Myślę, że wiem o tym starożytnym kraju więcej niż jakikolwiek inny uczony, i w pewnych sprawach wszystkie podania są zgodne: mieszkańcy Acheronu byli blisko spokrewnieni ze Stygijczykami, słynęli z niewiarygodnego bogactwa i zostali zniszczeni przez Hyborian, naszych przodków, którzy założyli Aquilonię, Hyperboreję, Nemedię, Brythunię, Koth, Argos, Królestwa Pogranicza i Koryntię. Kiedy Hyborianie zdobyli słynną stolicę Acheronu, nie mające sobie równych miasto Python, Acheronczycy uciekli, by szukać schronienia u swoich pobratymców Stygijczyków. Nigdy nie odzyskali ziem przodków i stopili się z ludnością miejscową.

Powstało wiele legend dotyczących ostatnich dni Pythonu. Niektóre z nich należy włożyć między bajki, inne to trzeźwe relacje urzędników i uczonych. Te są zgodne co do jednego - nikt nie wie, co się stało z bogactwem władców Pythonu.

- Skarby królewskie nie znikają tak po prostu - wtrącił Wulfrede. - Czy król nie zabrał swojego skarbu, gdy uciekał do Stygii?

- Przeczytałem chyba wszystkie dostępne relacje z tych czasów - podjął Springald. - Myślę, że niewiele uszło mojej uwagi. Ostatnim królem panującym w Pythonie był Ahmas Dwudziesty Siódmy. Gdy zobaczył, że długa wojna zbliża się ku końcowi i że wkrótce będzie musiał uciekać, poczynił pewne przygotowania dotyczące zabezpieczenia skarbu. Wiedział dobrze, że jego królewscy krewniacy w Stygii chętnie udzielą mu azylu, ale niewiele minie czasu, a jego złoto przepłynie do ich kufrów.

- Mądry człek - powiedział Wulfrede, kiwając głową. - Nikomu nie można ufać, gdy w grę wchodzi wielki skarb.

- Z tego powodu - podjął Springald - w ostatnich dniach przed

upadkiem wielka flota wyruszyła na południe pod osłoną ciemności. I słuch po niej zaginął. Wielu historyków jest przekonanych, że flota wywiozła skarb Pythonu.

- A dlaczego ten król Ahmas nie sprowadził skarbu, gdy był już bezpieczny? - zapytał Conan.

- Nigdy nie miał okazji. Kiedy nadszedł koniec, nie zdążył uciec z Pythonu. Wysłał rodzinę, a sam zajął się obroną stolicy. Toczono walki o każdą ulicę tego miasta o purpurowych wieżach, przez co większa jego część legła w gruzach. W ostatniej bitwie na terenie pałacu, mimo usilnych próśb oficerów, Ahmas odmówił opuszczenia swoich wiernych strażników. Zrzucił królewskie szaty, żeby najeźdźcy nie próbowali wziąć go do niewoli, i zginął w walce jak zwyczajny żołnierz przy Rubinowej Bramie.

- Oto śmierć godna króla - stwierdził Conan.

- Przez kilka pokoleń jego potomkowie żyli na różnych dworach Stygii. Ale kiedy stało się jasne, że Hyborianie nigdy nie zostaną wygnani z północnych krain, Stygijczycy przestali im pomagać i Acheronczycy odeszli w zapomnienie. Nikt nie wie, co się stało z ostatnimi z nich.

- I nikt nie wie, gdzie Ahmas kazał ukryć skarb? - zapytał Wulfrede.

- Na to wygląda. Kapitanowie flotylli musieli odczytać rozkazy dopiero na morzu, a nikt nigdy nie wrócił z tej wyprawy. Jeżeli Ahmas zdradził tajemnicę kryjówki jakiemuś urzędnikowi czy krewnemu, to ten musiał umrzeć nie przekazawszy tajemnicy swoim potomnym.

Wulfrede podał Springaldowi bukłak z winem. Uczony pociągnął łyk, po czym podjął opowieść.

- Kiedy znalazłem relację kapitana Belpormisa, ogarnęło mnie wielkie podniecenie. Najwyraźniej podróżnik nie wiedział, na co się natknął. Stare księgi są bardzo zakurzone, udałem się więc z Biblioteki Królewskiej do pobliskiej oberży, żeby przepłukać gardło.

- Zapominając o oddaniu ksiąg? - zapytał Conan.

- Ach, tak, w owym czasie znano mnie dobrze w bibliotece i dozorczy nie

trudnili się przetrząsaniem mojej sakwy przy wyjściu, a poza tym nikt nawet nie dotknął tych ksiąg co najmniej od dwustu lat. Taki wstyd...

Wulfrede roześmiał się na całe gardło.

- Nie bój się, nie nazwę cię złodziejem, molu książkowy. Mów dalej.

- W oberży natknąłem się na młodego kapitana, najemnika. Był tak ponury, a ja tak rozradowany swoim odkryciem, że postanowiłem przysiąc się i napić z nim. Gdy wino popłynęło strumieniem, zacząłem opowiadać mu o swoich znaleziskach. Dowiedziałem się, że nazywa się Marandos i jest młodszym synem starożytnego szlacheckiego rodu Aquilonii. Nie miał stosownego zajęcia ani perspektyw, i jak wielu wojowników szlacheckiego rodu uważał, że praca najemnika jest dlań uwłaczająca. Na dodatek miał... - Springald z pewnym zakłopotaniem zerknął na Malię - raczej lekkomyślną młodą żonę.

- To nieprawda! - zaprzeczyła gorąco dziewczyna. - To on upierał się, żeby ubierać mnie w jedwabie i dawać mi klejnoty, o które nigdy nie prosiłam.

- Niezależnie od powodów - wtrącił z chichotem Wulfrede - nasz młody żołnierz uznał mapę za intrygującą, co, Springaldzie?

- Masz rację. W miarę przybywania słów i ubywania wina, ogarniał go entuzjazm. Zaproponował wyprawę w celu odszukania miejsc opisanych tak szczegółowo przez kapitana Belphormisa. Wyznam, że mnie nie wpadł do głowy taki pomysł. Ale ja byłem tylko uczonym, a on najemnikiem. W najmniejszym stopniu nie kłopotą go myśl o pokonywaniu wielkich odległości i trudów w poszukiwaniu bogactwa, robił już bowiem takie rzeczy, a w zamian dostawał tylko marny żołd. Czym jest narażanie się na ból i śmierć, gdy w zamian można zdobyć skarb starożytnego króla?

- To zrozumiałe - przyznał Conan. - Ale on wyruszył na południe ze statkiem i załogą. Z pewnością nie kupił takich rzeczy za kapitański żołd.

- Nie - odparł Ulfilo. - Przyszedł do mnie, po raz pierwszy od opuszczenia domu. Mój brat Marandos jest dumnym człowiekiem i nie

prosiłby mnie o pomoc, gdyby nie mógł w zamian obiecać wielkiego zysku. Z początku byłem sceptycznie nastawiony, ale gdy Springald wyjaśnił, o co chodzi, i pokazał mi znalezione przez siebie księgi, zaryzykowanie pieniędzy na wyprawę wydało mi się niezłym pomysłem.

- To nie wszystko - upomniała Malia. - Powiedz im resztę!

Ulfilo zmieszał się, ale spełnił jej prośbę.

- Prawda, chodziło nie tylko o dopomożenie bratu. Dla naszego rodu nastały ciężkie czasy. Król Aquilonii Numedides nie jest przyjacielem mojej rodziny, a nasze ziemie wyjąłowały przez lata. Ostatnie zbiory okazały się kiepskie, niewiele też było wojen, które mogłyby przynieść bogate łupy. Taka wyprawa była szansą na odbudowanie fortuny rodu.

- Upierałam się, że to głupi pomysł - powiedziała Malia - ale moje prośby nie przemawiały do męża i szwagra. Ten szalony plan stał się ich obsesją, bez ustanku mówili o statkach i ludziach, o marszrucie i mapach.

- Sporym zaufaniem obdarzyliście nie znanego wam mola książkowego - zauważył Wulfrede.

- Na samym początku Springald dał nam gwarancje, że mówi poważnie.

- Czym poręczył? - zaciekał się Conan. - Uczeni rzadko mają ziemię, świetne domostwa czy stada bydła.

- Postawiłem jedyną marną rzecz, którą mogę nazwać własną - odparł Springald. - Powiedziałem im, że jeśli Marandos nie znajdzie skarbu, wtedy Ulfilo będzie mógł wziąć moją głowę.

Zapadła cisza.

- Poręczyłeś głową? - zapytał ze szczerym zdumieniem Conan.

- Dziwny zastaw - rzekł Ulfilo - ale człek honoru nie może raczej wątpić w szczerść takiej przysięgi.

Wulfrede zaśmiał się rubasznie.

- Może wszyscy jesteście szaleni, ale ty przynajmniej jesteś wariatem z fantazją! - Jego wesołość nie była wymuszona. Prawdę mówiąc, ilekroć

wspominano o skarbie, Van wpadał w doskonały humor.

- Posłuchajmy teraz o tym liście, który Marandos przysłał z Khemi - podsunął Conan.

Jego słowa jakby zbiły Aquilończyków z tropu.

- Mój brat - rzekł wreszcie Ulfilo - nie dotarł do skarbu w czasie pierwszej wyprawy, ale zdążył zobaczyć kryjówkę, nim ludzie zmusili go do powrotu. Po dotarciu do Khemi próbował zorganizować drugą wyprawę. Tym razem skontaktował się z nim stygijski szlachcic, człowiek imieniem Sethmes. Zgodził się dać statek, załogę i zapasy na następną wyprawę.

- Nigdy nie znałem Stygijczyka, który wyświadczyłby komuś przysługę, gdyby w grę nie wchodziły pieniądze - skomentował Wulfrede. - Wszak twój brat musiał wyglądać jak obszarpany żebrak, gdy pojawił się w Khemi. Jak zdołał przekonać tego Sethmesa?

- Przede wszystkim - rzekł dumnie Ulfilo - szlachetnie urodzony zawsze rozpozna aquilońskiego wielmożę, nawet pod łachmanami.

Conanowi udało się zachować kamienny wyraz twarzy. Znał wielu zrujnowanych szlachciców służących w najemnych armiach, i rzadko różnili się od innych.

- Poza tym - kontynuował Ulfilo - Marandos przedstawił dowody, że jest na tropie wielkiego skarbu, i poprzez danie pewnych rękojmi zyskał niezbędne środki na następną wyprawę. W trakcie przygotowań wysłał nam list, w którym naglił do wyruszenia za nim własnym statkiem. Radził zwerbować dobrych i godnych zaufania ludzi, wyprawa bowiem jest pełna trudów i niebezpieczeństw, ale u jej kresu czeka niewyobrażalna nagroda.

- I czymże on poręczył Sethmesowi? - zapytał Wulfrede.

- To nie twoja sprawa. Umowa dotyczy Sethmesa i mojej rodziny. Wystarczy, że twoja nagroda będzie znaczna. Sethmes jest w Stygii i nie powinniśmy się nim zajmować.

Co do tego Conan miał poważne wątpliwości. Aquilończycy nie powiedzieli jeszcze wszystkiego. Wydobywanie informacji od tych ludzi było

gorsze, niż przedzieranie się przez niezliczone drzwi, bariery i pułapki królewskiego skarbcza. Postanowił, że dowie się reszty w trakcie wędrówki.

- No, zmitrężyliśmy dość czasu - powiedział Ulfilo. - Jestem przekonany, że zaspokoilem waszą ciekawość, więc możemy iść dalej. Zdołamy pokonać milę czy dwie przed zapadnięciem nocy!

- Tak, jestem usatysfakcjonowany - rzekł Wulfrede - jeśli tylko skarb istnieje, a ja mam dostać jego część!

Conan nie dał się zwieść jowialnemu tonowi. Van nadal był pełen podejrzeń, choć z zadowoleniem powitał koniec rozmowy.

Goma uśmiechnął się na widok wracających cudzoziemców.

- Jesteści gotowi, biali ludzie, zobaczyć świat stworzony przez Ngai?

- Tak - odparł Conan, jak zwykle ciekaw wszystkiego co nowe niezależnie od okoliczności. - Pokaż nam tę dziką krainę. Z przyjemnością posłucham szumu wiatru w koronach innych drzew.

Tragarze flegmatycznie zarzucili pakunki na ramiona. Z Gomą na czele ruszyli na bezdroża nieznannej krainy.

VIII

WIELKA RÓWNINA

Las ciągnął się nieprzerwanie wiele mil. Miejscami był suchy i rzadki, a tym samym łatwy do przebycia, kiedy indziej zaś podmokły i gęsty, trudniejszy do pokonania. Teren cały czas się wznosił, a bagniska pojawiały się coraz rzadziej. Las tętnił życiem. Zamieszkiwały go głównie mniejsze zwierzęta. W gąszczu pomykały niezliczone ptaki, małpy i dzikie koty. Malia wydawała radosne okrzyki na widok każdego nowego zwierzęcia, dopóki ta różnorodność nie zaczęła jej nużyć.

Wokół było pełno małych leśnych jeleni i naziemnego ptactwa, więc podróżnikom nie brakowało świeżego mięsa. Przybysze z północy wzdragali się przed spożywaniem mięsa małp, ale tubylcy uważali je za przysmak.

Conan wysunął się na czoło kolumny i nie szczędził strzał. Tragarze ściągali z drzew ubitą przez niego zwierzynę i oprawiali wieczorami.

Cymmerianin był w swoim żywiole. Zbyt długo przebywał w cywilizowanych krajach. Zawsze złościły go i krępowały normy miejskiego życia, tutaj więc wreszcie był wolny. Jego wrodzona dzikość zaczęła brać górę nad nikłą warstwą cywilizacji, gdy całe dni spędzał na samotnym badaniu terenu. Goma rankiem opisywał dzienną marszrutę i czekające ich przeszkody, a wtedy Conan wyruszał na samodzielny zwiad.

Jako urodzony człowiek dzicy nie potrzebował przetartych szlaków, dlatego w ciągu jednego dnia mógł pokonać ogromne odległości. Zataczał szerokie kręgi wokół kolumny, z niezmienną czujnością wypatrując obcych, którzy w tym kraju zawsze mogli się okazać wrogami. Na szczęście natknął się jedynie na resztki ognisk, które niegdyś służyły myśliwym. W paru miejscach spotkał kwadratowe paleniska ze starannie ułożonych kamieni. Przypuszczał, że zostawił je Marandos w czasie jednej z podróży w głąb lądu.

Owady stały się mniej dokuczliwe niż w podmokłej dżungli, więc trzeciego dnia wędrówki Conan z ulgą zrzucił koszulę i spodnie. Teraz poruszał się jeszcze ciszej. Co rano, ubrany tylko w przepaskę na biodrach i sandały, z mieczem i sztyłem u pasa, łukiem i strzałami w kołczanie na plecach, z tubylczą dzidą w dłoni, znikał w lesie bezgłośnie jak duch.

Pozostali podróżnicy wydawali się zakłopotani jego przemianą. Na ich oczach groźny i zaprawiony w boju wojownik zmieniał się w dzikie stworzenie, bardziej pierwotne niż krajowcy. Czarni tragarze byli przyzwyczajeni do życia wśród swoich pobratymców, rzadko sami zapuszczali się w dzicz, i usychali z tęsknoty, gdy znajdowali się daleko od reszty plemienia. W porównaniu z nimi Conan był człowiekiem z innego świata. Wydawało się, że odżywa w samotności. Ze wszystkich jego towarzyszy tylko Goma z uśmiechem witał tę metamorfozę, jakby wiedział o Cymmerianinie coś, co dla innych pozostawało tajemnicą.

Conan nie zauważał ich zdumienia. Czuł się tak, jakby po latach wracał

do życia. Samotna egzystencja w lesie wymagała bezustannej czujności, i z każdym krokiem jego zmysły stawały się coraz bardziej wyostrzone. Odbierał bodźce niedostępne dla swych towarzyszy. Zapachy, które dochodziły do jego nozdrzy, wszystkie dźwięki, najlżejszy ruch, nawet muśnięcie powietrza na skórze, mówiły mu o najmniejszych zmianach otoczenia i możliwych niebezpieczeństwach.

Cywilizowani ludzie nauczyli się ignorować zbędne dźwięki, zapachy i wrażenia, żeby lepiej skoncentrować się na bieżących zadaniach, na wojnie czy zysku. Tym samym stali się w trzech czwartych głuchymi, ślepyimi i pozbawionymi czucia. Conan tłumił swoje zdolności, kiedy przebywał wśród cywilizowanych ludzi, ale nigdy ich nie stracił. Podczas podchodzenia leśnej antylopy śledził lot ptaków nad głową, wdychał woń zioła zmiążdżonego kopytem i słyszał pełznącego węża dziesięć kroków dalej, i wszystko to bez odrywania uwagi od tropionego zwierzęcia.

Wieczorem dziewiątego dnia leśnej wędrówki, gdy wrócił do obozu, powitał go aromatyczny zapach piekącego się mięsa. Jak zawsze strażnicy byli zaskoczeni nagłym pojawieniem się Cymmerianina.

- Na Seta, Conanie - rzekł marynarz stojący na warcie - czy nie mógłbyś uprzedzić, że nadchodzisz? Połowa tragarzy uważa cię za leśnego ducha w ludzkiej postaci, a ja nie jestem pewien, czy się mylą.

- Jeżeli trzeba krzyczeć, żebyś nie dał się zaskoczyć, to znaczy, że nie spełniasz należycie swoich obowiązków - odparł Cymmerianin.

Aquilończycy siedzieli wokół ognia i z zainteresowaniem studiowali jedną z map Springalda. Podnieśli głowy, gdy Conan zatrzymał się przed nimi, wyjął coś z sakiewki i rzucił Ulfilowi. Mężczyzna złapał przedmiot i przyjrzał mu się w świetle ognia. Była to mała brązowa sprzączka ze złamanym języczkiem.

- To zingarańska robota - powiedział Aquilończyk.

- Tak - mruknął Cymmerianin. - Właściciel wyrzucił zapinkę, gdy się zepsuła. Znalazłem ją przy resztkach ogniska. Musiała należeć do członka

jednej z ekspedycji twojego brata.

- A może kupił ją jakiś tubylec - podsunął Springald.

Conan potrząsnął głową.

- Krajowiec nigdy nie wyrzuciłby kawałka dobrego metalu. Zachowałby go, by pełnić inną rolę. Tutaj metal jest cenny.

- Wobec tego podążamy właściwym szlakiem - powiedziała Malia.

Ukradkowo przyglądała się Cymmerianinowi stojącemu w migotliwym blasku płomieni. Wydawał się kimś całkowicie innym od nieokrzesanego awanturnika, którego spotkali w Asgalunie. Ten nowy, prawie nagi i dziki człowiek bardziej przypominał płowe koty, jakie przemykały w pobliżu obozu. Był masywny, potężne mięśnie grały pod gładką jak u tancerza skórą, a bezgłówna gracia upodobniała go do wielkiego drapieżnika. Nawet w lśniących błękitnych oczach drzemało okrucieństwo lwa.

- Jak daleko jeszcze? - zapytał Springald. - Te mapy są nad wyraz niedokładne, a w pisemnych relacjach znaleźć można głównie opis zdarzeń, brak natomiast podawania dokładnych odległości. Na przykład: „W tym tygodniu odwiedziliśmy różne wioski i korzystnie wymieniliśmy nasz towar na kość słoniową”. Ale czy w tym tygodniu pokonali dwie mile czy sto, czy odwiedzili cztery wioski czy dwadzieścia, o tym ani słowa.

- Goma mówi, że jutro dotrzemy do końca lasu - oznajmił Conan. - Wtedy zacznie się szeroki pas sawanny, a za nią pustynia. Nadal mamy przed sobą długą drogę, a wyprawa porusza się z szybkością najwolniejszego tragarza.

- Miejmy nadzieję, że to niedaleko - westchnęła Malia. - Marynarze robią się niespokojni. Mruczą, że nie zaciągnęli się na statek po to, by bez końca tłuc się po lądzie.

- Tak mówią? Wszyscy, czy tylko Umu?

- On jest przywódcą, bez dwóch zdań - powiedział Springald. - Nie rozumiem, dlaczego Wulfrede nie ukróci bezczelności tych oprychów.

- Sam się nad tym zastanawiałem. Ale w takim kraju nie zgodzę się

mieć wrogo nastawionego człowieka za plecami. Jeżeli Wulfrede nie zajmie się tą sprawą, będę musiał sam ją załatwić. - Conan wbił włócznię tęym końcem w ziemię, zdjął łuk i kołczan i położył na ziemi.

- Co chcesz zrobić? - zapytała niespokojnie Malia.

- Zamienię parę słów z marynarzami. - Cymmerianin ruszył niedbałym krokiem do ogniska, przy którym wypoczywali żeglarze. Wszyscy rozmawiali przyciszonymi głosami. Umu rzucił nadchodzącemu szydercze spojrzenie i powiedział po cichu coś, co wywołało salwę śmiechu. Wulfrede przyglądał im się z zimnym rozbawieniem.

- Witajcie, bracia - powiedział Conan. - Wszyscy zadowoleni? - Nie patrzył na Umu. Inni milczeli, unikając spojrzenia mu w oczy.

- Patrzcie! - ryknął Umu. - Goły dzikus raczył do nas przemówić! Na Isztar, nasz cymmeriański górski kozioł stał się dzikszymi od tych czarnych psów z wybrzeża.

- Wulfrede, nie pilnujesz porządku wśród swoich ludzi - powiedział Conan.

Umu wstał i uśmiechnął się złośliwie.

- Na morzu słowo naszego kapitana jest prawem, ale nie na lądzie. Taki jest żeglarski obyczaj. I dlaczego miałibyśmy słuchać ciebie, Cymmerianinie? Jesteś barbarzyńcą bez ojczyzny czy krewnych. I jesteś szczurem lądowym, czy żeglarz bowiem może żyć w lasach niczym zwierzę? - Popatrzył na innych, szukając poparcia, ale większość kompanów zachowała milczenie. Conan wiedział, o co chodzi: pracowali i walczyli z Umu ramię w ramię, ale teraz to był sprawdzian siły, i mieli poprzec tego, kto wygra - przynajmniej dopóki nie pojawi się nowy pretendent.

- A ty - powiedział Conan - jesteś szukającą zwady małpą, która knując za moimi plecami, próbuje namówić towarzyszy do zdrady.

Brzydka twarz Umu spurpurowiała.

- Tym razem rzucam ci wyzwanie prosto w oczy, Cymmerianinie!

- Wreszcie. Taki głupi wieprz jak ty niepotrzebnie strzępi sobie język,

starając się mówić jak człowiek.

Umu z nieartykułowanym okrzykiem wyciągnął długi, ciężki nóż, płomienie zalśniły na broni. Miecz Conana równie chyżo opuścił pochwę i dwa ostrza zatańczyły tak szybko, że obserwujący widzieli tylko rozmyte błyski. Tragarze pokrzykiwali z podnieceniem, żeglarze mruzcili słowa zachęty. Wszyscy wydawali się zadowoleni z tej niespodziewanej rozrywki, z wyjątkiem Aquilończyków.

- Nie możesz ich powstrzymać, kapitanie? - krzyknęła Malia.

- A czemuż miałbym to robić? - zapytał Wulfrede. - Kiedy dwaj mężczyźni łakną swojej krwi, muszą załatwić to między sobą.

Miecz Conana był dłuższy i nieco lżejszy niż broń Umu, ale niewiarygodnie długie ręce żeglarza wyrównywały różnicę. Marynarz poza tym posiadał ogromną siłę i zdumiewającą szybkość jak na człowieka takiej budowy. Byli godnymi siebie przeciwnikami. Obaj mężczyźni nie zważali na sztukę czy nauki mistrzów szermierki. Liczyła się tylko siła, szybkość i wytrzymałość. W końcu poczucie równowagi, błyskawiczny refleks i odporność na zmęczenie zaczęły przeważać szalę zwycięstwa na stronę Conana. Umu, nieprzyzwyczajony do wysiłku tego rodzaju, sapał i ze świstem wciągał powietrze. Oddech Cymmerianina był równy, a jego ruchy pewne i dokładne. W pewnym momencie Conan uskoczył przed mknącym niepewnie ostrzem i wbił miecz w ciało przeciwnika. Wyszarpnął głownię i pchnął jeszcze raz, tym razem pod brodę. Sztych przebił język, podniebienie i mózg. Umu runął na ziemię niczym ścięte drzewo.

Cymmerianin popatrzył na marynarzy, krew ściekała z jego miecza. Ciało lśniło od potu, ale oddech miał regularny.

- Czy ktoś chciałby zająć jego miejsce? - zapytał.

Jeden z majtków splunął na trupa.

- Nie był moim przyjacielem.

- Tak - mruknął inny. - Przez cały czas stałem po twojej stronie, Conanie!

Pozostali spiesznie zapewnili zwycięzcę o swoim poparciu.

- Dobrze - powiedział Cymmerianin. - Znów wszyscy jesteśmy przyjaciółmi. I dość narzekania na poobcierane nogi. Kiedy wrócimy, zyskacie takie bogactwo, że już nigdy nie będziecie musieli chodzić. Teraz zabierzcie stąd to ścierwo. Porzućcie gdzieś w krzakach w bezpiecznej odległości. Do rana zniknie.

Odszedł do drugiego ogniska, po drodze czyszcząc ostrze pękiem trawy. Ulfilo podniósł się i poklepał go po ramieniu, co było dość nietypowym gestem ze strony wyniosłego szlachcica.

- Doskonała walka, Conanie - pochwalił.

- Tak! - zawołał z ożywieniem Springald. - Te draby będą teraz posłuszne!

- Będą - zgodził się Cymmerianin. - Do następnego razu. Co na kolację?

Następnego dnia Conan dotarł do skraju puszczy. Kończyła się ona nagle jak ogród. Las dochodził do pasma wzgórz. Porastała je głównie wysoka trawa. Nieliczne drzewa były niskie, rozłożyste, z dziwnie płaskimi koronami, całkowicie inne od leśnych olbrzymów udrapowanych lianami. Krzewy też rosły inaczej. Nie tworzyły gąszczu jak w lesie, ale kępy odległe co najmniej o kilkaset kroków od siebie. Jednak to nie roślinność przyciągnęła uwagę Conana.

Gdy jakiś czas później Goma doprowadził Aquilończyków i kapitana na szczyt wzgórza, barbarzyńca stał wsparty na włóczni, pogrążony w kontemplacji. Na chwilę wszyscy zamarli w pełnym zdumienia milczeniu. Przerwała je Malia.

- Na Mitrę! Czy ja śnię? To nie może być prawdziwe!

- Jest prawdziwe - powiedział Springald z zachwytem w głosie. - Czytałem wiele opisów, ale nigdy nie przypuszczałem, że to może być tak wspaniałe!

Mieli przed oczami około dwadzieścia tysięcy zwierząt. Nie więcej niż

sto kroków od nich kilkaset antylop o kręconych rogach spokojnie skubało trawę. Ogromne stada pasły się na równinie po horyzont.

Równie zaskakująca jak liczba zwierząt była różnorodność gatunków. Inaczej niż na zachodzie i północy, gdzie stada były jednorodne, tutaj pasło się obok siebie wiele gatunków zwierząt. Podróżnicy rozpoznawali liczne odmiany antylop, od drobnych, delikatnych impala o rogach w kształcie lir, po masywne topi wielkości bojowych rumaków. Wielu nie potrafili nazwać, chociaż Goma podawał nazwy miejscowe. Między antylopami w niewielkich grupach wędrowały stateczne, wysokie niczym drzewa żyrafy. Masywne czarne bawoły o kręconych rogach ryły nosami w błotnistych miejscach, a na ich grzbietach przysiadły ptaki, by wydziobywać robactwo z lśniącej sierści.

Było tam kilka gatunków dzikich koni, wśród których przeważały pasiaste zebry. Niektóre miały tylko prążkowane zady, resztę zaś brązową. Karłowate, nakrapiane koniki nie większe od psów rywalizowały z parszczącymi guźcami, a kłótlive gromady pawianów obrzucały się patykami i kamieniami. Górujące nad nimi wszystkimi ogromne słonie poruszały się z godnością, niczym wielkie, wprawione w ruch szare gązdy. Niektóre samce miały tak ogromne ciosy, że musiały zadzierać łby, aby nie orać kłami ziemi.

- Ale ich dużo! - zawołała Malia. - A mimo to jest tak cicho! Niczym w ogromnej świątyni!

W przeciwieństwie do mieszkańców lasu, rzadko było słychać zwierzęta z równiny. Z wyjątkiem sporadycznych wrzasków rozeźlonego pawiana albo krzyku ptaka, całe to olbrzymie zgromadzenie czyniło mniej hałasu niż gromadka ludzi na miejskim rynku.

- Tylu roślinożerców! - zakrzyknął Ulfilo. - A gdzie drapieżniki?

- Tutejsze wielkie koty lubują się w mięsie - powiedział Goma. - Ale większość z nich poluje wczesnym rankiem albo tuż po zmroku, niektóre w nocy. Po południu można zobaczyć tylko gepardy, które z szybkością błyskawicy ścigają swoje ofiary. W ciągu dnia większość zwierząt może jeść i pić bezpiecznie.

Wkrótce dołączyła do nich reszta kolumny. Marynarze krzyknęli ze zdumienia, gdyż roztaczający się przed nimi widok nie miał sobie równych. Co prawda byli przyzwyczajeni do rozległych przestrzeni, ale nie zamieszkanym! Czarni coś mamrotali. Byli ludem dżungli, przywykłym do półmroku lasu. Nie spodobała im się otwarta równina pełna zwierząt.

- A te góry daleko w dali? - Wulfrede wskazał na wschód, gdzie na horyzoncie majaczyły niewyraźne, błękitnoszare kontury. - Na Ymira, nie ma tu żadnych punktów orientacyjnych, które byłyby pomocne w żegludze po tym oceanie trawy!

- Nie ma obawy, biały człowieku - powiedział Goma. - Przeprowadzę was przez to i przez jeszcze dziwniejsze miejsca. - Tubylec obdarzył ich typowym wyniosłym uśmiechem. - I nie musicie się bać zwierząt, bowiem obronię was swoim toporem. - Dla efektu zakręcił młynka wokół głowy tak szybko, że połyskująca stal utworzyła błyszczący krąg.

Goma ruszył, inni podążyli za nim. Wulfrede mruknął:

- Gdybyśmy nie potrzebowali tego brązowego łajdaka, zatłukłbym go na miejscu za bezczelność!

- Ale przecież już nie potrzebujemy, więc możemy go zostawić - podsunął Ulfilo.

- To dziwny człowiek - powiedziała Malia - niepodobny do innych napotkanych krajowców. I nie mówię o barwie jego skóry czy tatuażach. Jest dzikusiem, którego jedyny strój stanowi ta płachta, a jedyny dobytek topór, lecz nosi się z dumą równą twojej, szwagrze. A może z jeszcze większą.

- Ma diabelny tupet, ale przypuszczam, że na swój prymitywny sposób uważa się za dobrze urodzonego.

Springald odszedł porozmawiać z przewodnikami wyprawy. Przebierał szybko krótkimi nogami, by dopędzić Gomę i Conana.

- Powiedz mi, Goma - zagadnął - jaki lud możemy napotkać na tej równinie? Prawdę mówiąc, trudno wyobrazić sobie, by ktokolwiek mieszkał w tym morzu trawy, pośród dzikich bestii.

Nie skończył mówić, gdy obok nich przemknęła rodzina żyraf. Smukłe zwierzęta niewiele uwagi poświęciły ludziom. Należały do nie znanego im gatunku; były kremowe i miały drobne cętki. W przeciwieństwie do innych, które miały krótkie, zakończone gałkami różki, ich głowy wieńczyły rozłożyste rogi, podobne do jelenich.

- Fashoda często wypasają swoje stada na tej trawie - powiedział Goma. - Są wielkimi wojownikami i doskonale posługują się włócznią. Uwielbiają napadać na sąsiadów i kraść bydło, które jest ich bogactwem, mają nawet bydłęcego boga. Można też napotkać plemię Zumba, ciemnoskóry lud wielkich tarcz i krótkich dzid. Ci też są dobrymi wojownikami. Uprawiają ziemię i hodują kozy. Ich wioski są małe i biedne, lecz mieszkańcy noszą świetne ozdoby, a ich pieśni i tańce są wspaniałe.

- Czy mogą być wrogo nastawieni?

- Wszyscy podnoszą ręce na obcych, ale jeżeli jesteście dość silni i chcecie handlować, pozwolą wam przejść.

- Są ludożercami? - zapytał Conan.

Goma chrząknął i splunął z odrazą.

- Nie! Jedzenie ludzkiego mięsa jest uważane za obrzydliwość wszędzie poza wybrzeżem. Tutaj pod wielkim niebem kraju Ngai, ludzie są ludźmi, nie padlinożernymi bestiami! - Wskazał na stado przyczajonych cętkowanych hien. - Ludzie wybrzeża są jak te ścierwojady, nie zasługują nawet na pogardę. Ludzie równiny są niczym dzikie i dumne lwy.

- Przyjemnie to słyszeć - powiedział Springald. - Być może zostaniemy zabici, ale przynajmniej nie zjedzeni.

- To nie tak - zaprzeczył Goma z szerokim uśmiechem.

- O co ci chodzi?

- To prawda, że nie zostaniecie zjedzeni przez ludzi, ale na pewno przez zwierzęta. Tutaj ciała nie marnuje się przez palenie czy grzebanie. Zostawia się je w buszu, by wróciło do Ngai pod postacią pokarmu. Zwierzęta jedzą trawę, ludzie jedzą zwierzęta, inne zwierzęta jedzą ludzi. To raduje Ngai.

- Też mi pociecha.

W trakcie marszu przez bezkresną równinę widzieli wiele zdumiewających rzeczy. Rozbawiły ich komiczne strusie. Ptaki miały długie, potężne nogi, kuliste tułowia, długie szyje i maleńkie łebki. Gdzieś tam z równiny wyrastały kolumny z brązowej ziemi, twarde jak skała. Malia wskazała na te tajemnicze obiekty i zapytała, co to może być.

- Termitiery - odparł Conan. - Termity to żarłoczne robaki. Wbij w ziemię pal gruby jak męskie udo, a gdy wrócisz po tygodniu, obalisz go jednym palcem. Zobaczysz, że część podziemna została przeżuta na miazgę.

- Dziwny kraj. Jak kraina snów. Ptaki są tu wielkości kucyków, a termity budują zamki. Popatrz tam, potwór z piekła rodem szczypie trawę przy jeleniu tak małym, że nie uwierzyłabym w jego istnienie, gdybym nie widziała na własne oczy. - Wskazała na ogromnego nosorożca, z nosem zwieńczonym długim jak dzida rogiem. Pasł się obok antylopy nie większej od zająca - jej cienkie jak trzcina nóżki zakończone były maleńkimi kopytkami.

- Zobaczcie w tej krainie wiele dziwniejszych rzeczy - obiecał im Conan. - I straszliwszych.

Przed wieczorem minęli stado lwów. Wielkie płowe koty leżały na ziemi, ziewając i drapiąc się leniwie. Ich dzikie żółte ślepia śledziły przybyszów bez śladu zainteresowania. Po pewnym czasie drapieżniki wstały i odeszły powoli, nie ze strachu, ale najwidoczniej dlatego, że nie odpowiadał im ludzki zapach.

- Patrzcie, gdzie stawiacie nogi - przestrzegł Conan - zwłaszcza po zmroku. - Pochylił się i podniósł gałązkę najeżoną długimi na dłoń cierniami. - Wszystkie tutejsze drzewa i krzaki są kolczaste. Przebiją podeszwę, jeżeli przez nieuwagę się je nastąpi.

- Sama kraina jest dzika - rzekł Springald. - I wszystko w niej jest wrogiem dla obcego.

Tej nocy rozpalili ogniska i pod kierunkiem Gomy zbudowali z

ciernistych gałęzi koliste ogrodzenie, które on nazwał borną.

- To powstrzyma lwy? - zapytał Wulfrede.

- Zniechęci chorego albo rannego lwa - odparł Goma. - Tylko taki atakuje ludzi. Człowiek jest za mały, żeby dorosły lew mógł się najeść, nie mówiąc o stadzie. Ale drapieżnik niezdolny do polowania na szybkie czy silne zwierzęta napada na ludzi. I poza tym borna powstrzyma hieny.

- Tchórzliwe ścierwojady - prychnął Wulfrede. - Wystarczy garść kamieni, a rzucają się do ucieczki.

- W ciągu dnia są tchórzliwe, ale nocą nabierają odwagi. Potrafią odgryźć rękę albo nogę śpiącego. Ich szczęki są potężniejsze od lwich.

- Lądowe rekiny, co? Wierzę ci na słowo.

Noce były dużo bardziej hałaśliwe od dni. Ryki myśliwych i rozpaczliwe krzyki ofiar nagle przesywały ciemności. Ludzie wyrwani ze snu w trwodze łapali broń, ale po pewnym czasie nauczyli się, że te hałasy nie sygnalizują niebezpieczeństwa. Czasami do borny podchodziły słonie i zaglądały ciekawie, ale szybko traciły zainteresowanie i szły dalej.

Olbrzymia liczba zwierzyny oznaczała obfitość mięsa. Mimo to Maïła zaczęła się uskarżać na monotonne jadło.

- Znowu pieczona antylopa? - krzyknęła wieczorem dziesiątego dnia wędrówki przez równinę.

- Nie tego samego rodzaju - zapewnił ją Springald. - W przeciwieństwie do innych, które już jedliśmy, ta miała kręcone rogi.

- Pieczone mięso! - skarżyła się żałośnie. - Jak ja tęsknię za chlebem i owocami. Nawet miska soczewicy stanowiłaby miłą odmianę.

- Równie dobrze możesz sobie zażyczyć wina czy piwa - parsknął Wulfrede. - Woda jest dobra do żeglowania, ale mam jej dość jako napitku.

- Ciesz się, że mamy wodę - powiedział Conan. - Mimo że jest błotnista i mętna.

Malia skrzywiła się z niesmakiem.

- Szlachetnie urodzona dama nie powinna nawet patrzeć na wodopoję,

z których korzystają całe stada, nie wspominając o picu.

Mimo tych narzekań szlachetnie urodzonej damie chyba służyło takie życie. Jej chód stał się sprężystszy i była bardziej pewna siebie niż wówczas, gdy Conan po raz pierwszy spotkał ją w Asgalunie. Ani jedzenie, ani woda nie szkodziły jej. Przeciwnie, dosłownie rozkwitała, była silniejsza niż kiedykolwiek i wieczorami, po długich dniach marszu, wyglądała na mniej zmęczoną od mężczyzn.

Góry przed nimi rosły w oczach. Początkowo wyglądały jak niskie wzgórza. Wreszcie zdali sobie sprawę z ich ogromu. Szczytowe partie pokrywały wieczne śniegi, strome zbocza sprawiały wrażenie bariery niemożliwej do pokonania.

- Jak przejdziemy na drugą stronę? - zapytał Conan przewodnika.

- Widzisz tę ryse? - Górna wyciągnął rękę.

- Widzę.

- Tam pójdziemy. Czeka nas długa i ciężka wspinaczka, ale ta przełęcz przeprowadzi nas przez góry.

- Nie widzę niczego, co by wyglądało na Rogi Shushtu - powiedział Springald, wycierając pot z czoła.

- Zobaczysz je po drugiej stronie przełęcz - obiecał Goma.

- W takim razie zbliżamy się do celu - powiedziała Malia.

- Jesteś w połowie drogi przez równinę - zaśmiał się Conan - i nadal myślisz, że „w zasięgu wzroku” oznacza „blisko”?

- Z przełęcz do Rogów też jest szmat drogi - rzekł Goma - i to trudniejszej.

- Pustynia? - zapytał Wulfrede.

- Pustynia.

Podążali w kierunku gór. Nim do nich dotarli, spotkali ludzi pierwszych od czasu wspinaczki na urwisko.

Najpierw zobaczyli bydło. Zwierzęta były długorogie, umaszczone jednolicie albo też łaciate i nakrapiane. Ludzie stali daleko, ledwo widoczni.

Słońce świeciło na grotach ich włóczni i odbijało się od podłużnych białych tarcz.

- Co myślisz, Conanie? - zapytał Ulfilo, gdy pasterze dostrzegli ich i ruszyli w kierunku kolumny obcych.

- Myślę, że są dobrymi wojownikami, skoro hodują bydło w kraju tak dzikim. Stale muszą odpierać ataki drapieżników, a Goma mówi, że kradną bydło jak mój lud. Takie życie uczy człowieka czujności i obchodzenia się z bronią.

Na rozkaz kapitana marynarze wysforowali się do przodu, tragarze zaś zrzucili pakunki i skupili się lękliwie za ich plecami. Nie byli tak liczni jak w chwili wyruszenia. Niektórzy zawrócili do domów, kiedy zużyto niesione przez nich zapasy, inni zapadli na choroby albo zostali ranni, przy czym najczęstszą przyczyną zranienia były ciernie. Dwóch zmarło od ukąszenia żmii, a jeden wyszedł w nocy za borne i już nie wrócił. Prawdopodobnie został zjedzony. Inny padł trupem bez żadnej widocznej przyczyny. Pozostało około czterdziestu.

- To Fashoda? - zapytał Conan.

- Tak. Zobaczysz, że ci, którzy się zbliżają, są młodzi. Wśród ludu Fashoda to chłopcy zajmują się bydłem, pasą je i strzegą. Starsi wojownicy pilnują wiosek.

Cymmerianin chrząknął.

- Młodzi wojownicy są zawsze skorzy do awantur. Mam nadzieję, że ci nie są zbyt zadziorni.

- A prawdopodobnie jest inaczej, prawda, Goma? - zapytał Springald, pieszcząc palcami rękojeść miecza.

- Nigdy nie wiadomo.

Wkrótce stanął przed nimi szereg stu wojowników, uzbrojonych we włócznie o wyjątkowo długich i szerokich grotach. Ciały mieli wymalowane w dziwaczne i fantazyjne wzory, włosy długie i zebrane do tyłu, z wyjątkiem grzywek na czołach. Ich twarze przypominały rzeźby z ciemnego kamienia.

Byli przystojni i gibcy niczym pantery, nie nosili żadnych ubrań prócz piór, malunków na skórze i ozdób.

- Ładni - rzekła z podziwem Malia.

- Jak na dzikusów - burknął Ulfilo.

- Wszyscy są tak podobni, że mogliby być braćmi - zauważył Springald.

- Te same rysy, ten sam kolor, wszyscy jednakowej budowy i wzrostu, nie ma trzech palców różnicy w wysokości między najwyższym i najniższym. To wynik zawierania związków małżeńskich w obrębie niewielkiej grupy. Chyba się nie żenią z nikim spoza plemienia.

- Ich obyczaje nie są teraz naszą główną troską - powiedział Wulfrede.

- Są wrogo nastawieni czy nie?

Żeglarze nerwowo obmacywali broń, paru zakładało strzały na cięciwy.

- Unikajmy walki, jeżeli to tylko możliwe! - warknął Ulfilo. -

Pamiętajcie, będziemy wracać tą samą drogą. Nawet jeżeli wygramy, idąc w tę stronę, będą tłumnie czekali na nasz powrót.

- Masz rację - mruknął Conan. - To pasterze, dumni, ale nie zaatakują, jeśli nie zagrozimy im ani ich stadom. Z drugiej strony, to młodzi wojownicy. Zareagują na najmniejszą prowokację, więc jej nie dostarczcie.

- Jesteś dyplomata, Conanie - skomentowała Malia.

- Sam niegdyś byłem młodym wojownikiem. Wiem, jak tacy myślą i działają. Góry Cymmerii czy południowe równiny są podobne, jeśli o to chodzi. - Ani na chwilę nie odwrócił oczu od tubylców. Był pod wrażeniem ich powściągliwego zachowania. Nie tańczyli, nie wyli i nie potrząsali bronią. Wiedział, że taka postawa bez wątpienia jest wybraną świadomie metodą zastraszenia wroga, ale poza tym świadczyła również o ich zdyscyplinowaniu. Jeżeli młodzi wojownicy zostali wychowani w karności, to nie rozpoczną rzezi bez powodu. Conan zobaczył, że wielu nosiło na głowach przybrania z lwich łbów, które oznajmiały światu, iż ich właściciele potrafią dzielnie strzec stada przed groźnymi drapieżnikami.

Przemówił jeden z wojowników. Nic nie wyróżniało go spośród innych.

Goma przetłumaczył jego słowa.

- Chce wiedzieć, kim jesteście i czego chcecie.

- Powiedz mu - odparł Ulfilo - że jesteśmy kupcami. Zapewnij ich, że nie mamy złych zamiarów i że przynieśliśmy towar na wymianę oraz podarki dla naczelników.

Pasterze wysłuchali w milczeniu i nic nie odpowiedzieli. Niedługo później przybyła druga, liczniejsza grupa tubylców. W jej skład wchodził głównie starsi wojownicy, bardzo podobni do młodych, ale ich ciała zdobiły mniej liczne malunki i wielu nosiło stroje podobne do szaty Gomy. Wśród nich było paru nie uzbrojonych mężczyzn o posiwiałych włosach. Starcy poruszali się z ogromną godnością, wspierając na długich laskach pokrytych skomplikowanymi ornamentami. Ci nie mieli żadnych ozdób, i spowijały ich obszerne szaty.

- Im wyższa szarża - zauważył Springald - tym mniej ozdób.

- I więcej ubrania - dodała Malia.

- Wojownicy mogą sobie pozwolić na taką próżność - wyjaśnił Goma - ale za to nie posiadają bydła. Jest ono własnością starszych. Stada to ich majątek i honor.

Z przybyciem naczelników zaczęły się negocjacje. Otworzono pakunki i wyłożono towary. Wojownicy przemieszali się z przybyszami. Do przywódców i żeglarzy odnosili się bardzo uprzejmie, ale tragarzy traktowali pogardliwie. Dla tych wojowników-pasterzy ludzie noszący ciężary dla innych nie byli lepsi od jucznych zwierząt.

- Nie wolno źle traktować moich tragarzy - upominał ich Ulfilo za pośrednictwem Gomy.

Starszy wojownik wzruszył ramionami.

- Czy możemy obrazić bydło drugiego człowieka? Oni są dla nas niczym. Nie spodziewajcie się, że będziemy traktować ich jak ludzi.

Fashoda najbardziej interesowali się sztabami żelaza, w której ekspedycja była zaopatrzona dość obficie. Chcieli też tkanin, paciorków oraz

miedzianego i brązowego drutu. Wojownicy otoczyli mniejszą skrzynkę z haczykami na ryby i pytali, co to takiego. Kiedy im wyjaśniono, wybuchnęli śmiechem. Jak się okazało, ryby były dla nich obrzydliwe i nigdy ich nie jadali.

Z niedalekiej wioski przyniesiono dzbany słabego piwa. Naczelnicy i biali kupcy usiedli, żeby przystąpić do targów. Starsi wioski byli nieco skrępowani, ponieważ plemię nie gromadziło dóbr na wymianę. Oczy im się świeciły na widok oglądanego bogactwa, a zwłaszcza żelaza, ale niewiele mogli dać w zamian.

- Ostatnie lata były dobre - wyjaśnił starzec o twarzy pokrytej bliznami.
- Trawa wyrosła wysoko, niewiele chorób nawiedziło ludzi czy bydło, i odparliśmy wszystkie ataki. Wielu chłopców czeka na wstąpienie w szeregi wojowników i musimy mieć dla nich włócznie.

- Jak to załatwimy? - zapytał pozostałych Wulfrede. - Nie potrzebujemy bydła, ale oni widzieli nasze towary i być może postanowią wziąć je siłą, jeżeli nie będzie innego wyjścia.

- Jesteśmy poszukiwaczami skarbów, nie handlarzami - podkreślił Conan. - Mamy tu kupić tylko pokój. Powiedz im, żeby brali, czego dusza zapagnie. Po naszym odejściu mogą zgromadzić skóry i kość słoniową, które zabierzemy w drodze powrotnej.

- Wyśmienicie! - zawołał Ulfilo. - Goma, przetłumacz im, co postanowiliśmy.

Naczelnicy byli ogromnie zadowoleni z rozwiązania, które pozwoliło im zachować twarz. Młodym wojownikom dosłownie ślina ciekła z ust na widok takiej ilości żelaza i brązu. Kobiety, które także przybyły z wioski, piszczały ze szczęścia na widok mnóstwa różnobarwnych paciorków.

- Mogło być paskudnie - powiedział wieczorem Ulfilo, gdy popijali piwo z drewnianych czarek i jedli pieczone dzikie ptactwo. - Ale wszystko poszło dobrze, droga stoi przed nami otworem i mamy zapewniony bezpieczny powrót.

- Ale najpierw musimy się dowiedzieć, czy ci ludzie nie widzieli Marandosa. Na pewno tędy przechodził - powiedziała Malia.

Ku jej zadowoleniu, kobiety przyniosły z wioski mleko, owoce i płaskie placki. Taka odmiana sprawiła jej ogromną przyjemność, którą przyćmiewała jedynie troska o męża.

- Równina jest szeroka - rzekł Goma - i grupa podobna do naszej mogłaby z powodzeniem przejść od urwiska do przełęczy bez zbliżania się do tego miejsca, ale zapytam.

Przez kilka minut przewodnik rozmawiał ze starszą, potem odwrócił się do Malii.

- Mówią, że przyszli tu dopiero jakieś sześć księżyców temu, a wcześniej koczowali na pastwiskach daleko na północy. Ci ludzie nigdy nie zatrzymują się w jednym miejscu na długo. Ale doszły ich słuchy, że mieszkańcy wioski leżącej trzy dni drogi stąd jakiś czas temu widzieli wędrowców białych jak duchy. Być może wywiązała się walka, ale to nic pewnego.

- To niewiele nam daje - powiedział z rozczarowaniem Ulfilo.

- Ale musi wystarczyć - zdecydował Conan.

IX

PRZEŁĘCZ

Podróż do podnóża gór przebiegała bez kłopotów, bowiem teraz mieli eskortę złożoną z młodych wojowników Fashoda, którzy uważali to zadanie za miłą przerwę w wypasie wioskowego bydła. Ale natura sprawiła im niezwykłą niespodziankę.

Wszystko zaczęło się od pojawienia dziwnego zwierzęcia. Biali wybuchnęli śmiechem na widok samotnego samca, za którym ciągnęło rozproszone stado krewniaków. Fashoda wskazali zwierzę włóczniami i zagadali coś z ożywieniem.

- O co chodzi? - zapytał Ulfilo.

- Wojownicy mówią, że musimy się zatrzymać - przetłumaczył Goma. -
Bowiem napotkaliśmy K'hnu. - Pierwsza głoska obcego słowa zabrzmiała jak trzask.

- Zatrzymać się? - powtórzył zaintrygowany Ulfilo. - Z powodu tego? -
Wskazał na stworzenie, które zbliżyło się ufnie i przyglądało im głupawymi ślepiami. Było bardziej śmieszne niż straszne. Wielkości dużej antylopy, miało łeb, brodę i rogi kozła, ale reszta ciała wydawała się krzyżówką innych zwierząt.

- Tak - powiedział Goma. - Możemy odpocząć. Mówi się, że kiedy Ngai stworzył świat, zostało mu jeszcze parę części, i z nich ulepił K'hnu: głowa kozła, przód topi, zad dzikiego konia, a rozum strusia. Ale by wynagrodzić brak urody czy pomysłu, Ngai podarował im coś, co wkrótce zobaczycie. Rozbijcie obozowisko, biali ludzie, gdyż dzisiaj nie ruszymy się dalej.

Zaintrygowani, mrucząc do siebie, przychyliłi się do jego rady. W ciągu godziny rozproszone stado otoczyło ich ze wszystkich stron. Kolumna zmierzała na północ. Przed zachodem słońca cała równina, jak tylko wzrokiem sięgnąć, zapełniła się dziwnymi zwierzętami. I, jak wspomniał Goma, zachowywały się one naprawdę bezrozumnie. Niektóre bez powodu zawracały i kierowały się na południe. Inne stawały w jednym miejscu, brykając i wierzgając niczym oszalałe. Jeszcze inne biegały w kółko, dopóki nie padły na ziemię z wyczerpania.

Podróżnicy zabili kilka na kolację, ale pozostałe zwierzęta nie zwróciły najmniejszej uwagi na śmierć swoich towarzyszy i nie- wzruszenie kontynuowały marsz na północ.

- Nie może żyć tyle zwierząt na całym świecie, to niemożliwe! -
zawołała Malia, której aż zakręciło się w głowie na widok niezliczonego stada.

- A jednak - powiedział Springald. - Goma mówi, że to stado nie jest jedyne. Są ich setki, i co roku wędrują z południa na północ, a potem wracają wraz z nastaniem pory deszczowej.

- Dobrze, że podróżujemy piechotą, a nie konno - stwierdził Ulfilo. -
Założę się, że wierzchowce padłyby z głodu po przejściu takiego stada.

Conan stanął blisko ogromnego stada i obserwował je. Wkrótce dołączył do niego Goma. Przez chwilę w milczeniu przyglądali się zwierzętom.

- Uważasz to za świetny widok, wojowniku? - zapytał Goma.

- Tak. Przez całe życie byłem włóczęgą, zawsze zmęczony miejscem, w którym byłem, i tęskniący do zobaczenia czegoś nowego. Na północy nużyły mnie niekończące się wojny, a jeszcze bardziej czas pokoju. Kiedy ci trzej szaleńcy zaproponowali mi udział w tej wariackiej misji i obiecali wielką nagrodę, zgodziłem się nie ze względu na zyski, ale żeby zobaczyć nowe miejsca i nowe dziwy. - Wskazał na antylopy. - Czegoś takiego w życiu nie widziałem. Ani takiej równiny pełnej dzikich zwierząt. Przed laty byłem bardzo blisko, ale nigdy nie znalazłem się w samym sercu tego łądu. Cokolwiek się stanie, nie będę żałował udziału w tej wyprawie.

Goma uśmiechnął się szeroko.

- Podejście wiecznego poszukiwacza przygód. Jako jedyny z mojego ludu jestem wędrowcem i odwiedziłem wiele krajów. Widziałem rzeczy dziwne, niektóre były straszne, ale cieszę się, że je zobaczyłem. Jednak po pewnym czasie człowiek musi wrócić do domu, prawda?

- Możliwe. Odwiedzam czasami swoją ojczyznę, ale nigdy nie zostawałem tam na długo. A ty, Goma? Wrócisz teraz do domu? - Popatrzył na wojownika, ale w odpowiedzi zobaczył tylko kolejny uśmiech.

- Jak mówisz, biały człowieku, możliwe.

Wędrowka K'hnu zatrzymała ich na dwa dni. Potok zwierząt zdawał się nie mieć końca, i po pewnym czasie zaczęli podejrzewać, że antylopy kręca się w kółko. Wreszcie jednak stado się przeredziło, zostały tylko stworzenia stare, chore i maruderzy. Te nieszczęsne zwierzęta słańiały się na nogach z głodu, gdyż idące przodem wyjadały trawę co do kępki. Kiedy podróżnicy ruszyli w drogę, równina przypominała trawnik starannie przystrzyżony przez ogrodnika, obficie usłany odchodami, które miały użyźnić ziemię. Tropem

stada podążały szakale, hieny, sępy i inne ścierwojady, żywiące się padliną.

Przed górami napotkali jeszcze jeden tubylczy lud. Jego przedstawiciele byli nieco niżsi niż Fashoda, ale za to bardziej muskularni. Mieli lśniąca skórę tak ciemną, że prawie czarną, nie zdobioną farbami. Nosili tarcze kryte krowią skórą, obrośniętą sierścią. Ubierali się w skórzane spódniczki, a ich ramiona i łydki zdobiły opaski z małego futra.

Ci groźni wojownicy wyszli z wioski złożonej z okrągłych chat i uformowali podwójny szereg, prawie stykając się tarczami.

Ulfilo westchnął.

- Musimy jeszcze raz przez to przechodzić?
- Na to wygląda - odparł Springald.
- Zatem wypakujcie podarki. Goma, o co im chodzi?

Posiwały wojownik o szczeciniastej brodzie mówił coś do przywódcy eskorty Fashoda.

- Przywódca Zumba pyta: „Przyszliście ukraść nasze bydło, nasze kobiety i nasze kozy?” Fashoda odpowiada: „Wasze bydło jest chude, kobiety brzydkie, a prawdziwy wojownik nie chce mieć do czynienia z kozami. Prowadzimy tych białych ludzi bezpiecznie w góry”.

Zumba popatrzył na obcych, potrójny rząd strusich piór zafalował na jego głowie. Przemówił Goma.

- Przywódca mówi: „Więcej białych ludzi?”

Malia złapała Ulfila za rękę.

- Widzieli Marandosa!
- Bądźcie w pogotowiu - rzekł Conan. - Może dojść do walki.

Ale Zumba nie wydawali się groźni. Bardziej bali się Fashoda niż białych cudzoziemców. Po wymianie zwyczajowych uwag zainteresowali się towarami i trzeba było przystąpić do negocjacji. Dzięki uprawie roli tubylcy mogli zaoferować swoim gościom urozmaicony i obfity posiłek. Jak wcześniej wspominał Goma, byli bardziej muzykalni od sąsiadów. Wieczorem ich pieśni wibrowały w powietrzu, przerywane szaleńczymi tańcami w rytm bębna i

fletu. Fashoda trzymali się na uboczu, wspierając na swoich włóczniach.

W środku uroczystości pojawiła się dziwaczna postać. Śpiew urwał się gwałtownie i zapadła cisza, tancerze się zatrzymali, ostatni bęben zamilkł w połowie uderzenia. Przybysz był raczej drobny, obwieszony sznurami kości, zębów, piór i drewnianych fetyszy. Niósł laskę, na której grzechotały podobne ozdoby. Wy- malowana na biało twarz z czarnymi kręgami wokół oczu przypominała trupa czaszkę. Zumba zrobili mu przejście, a on wskazał cudzoziemców laską.

- Idziecie przez góry! - powiedział w zrozumiałym dla nich handlowym języku. - Czeka was śmierć! Za górami jest święte miejsce bogów tej krainy. Nie wolno tam iść! Zakazałem Zumba wam towarzyszyć!

- Kto to jest? - zapytał Ulfilo.

- To Umbaso, czarownik wszystkich plemion Zumba. Żyje daleko stąd. Nie mam pojęcia, jak się dowiedział, że tu będziemy - odpowiedział Goma.

- Czy może zakazać tym ludziom, by dali nam tragarzy? - zapytał Ulfilo.

- Wkrótce się dowiemy.

Szaman przemówił do swego ludu. Tubylców ogarnął wyraźny strach.

- Z pewnością nie mają tutaj czarnoksiężników posługujących się prawdziwą mocą - zadrwił Springald. - No, ale przecież nie wiedzą, co to księgi. Jak ludzie, którzy nie znają liter, mogliby zbierać, przechowywać i przekazywać czarnoksięską wiedzę?

- Dopóki tubylcy boją się jego klątw - rzekł Conan z goryczą - dopóty są one dla nas groźne. Ich nie obchodzi, czy on może wezwać demony i odprawić czary. Jeżeli wierzą, że jest w stanie porazić ich ślepotą albo okulić, albo sprawić, żeby kończyny im uschły i odpadły, jego moc jest wystarczająco wielka.

Jeden z naczelników zagadał szybko do Górny, który przetłumaczył:

- Mówi, że z powodu Umbasa nijak nie może dać nam ludzi do niesienia pakunków. Nie będą nas zaczepiać ani powstrzymywać, możemy iść sami na

własne ryzyko.

Ulfilo spojrział groźnie na czarownika, zacisnął palce na rękojeści.

- Z wielką przyjemnością rozplatałbym tego szarlatana.

- Jak i ja - powiedział Conan. - Ale nie radzę. Możemy wyruszyć z lżejszym ekwipunkiem. Co myślisz, Goma? Czy to nie zaważy na losach podróży?

Zapytany wzruszył szerokimi ramionami.

- Prawdziwi mężczyźni zniosą wszystko. Ci, którzy nie potrafią radzić sobie w świecie bez wygod, nie powinni zaczynać przedsięwzięcia, stanowiącego wyzwanie dla wojownika.

- Wydaje mi się, że właśnie zostaliśmy wyzwani - powiedział Springald.

- Ja nie potrzebuję sług na wyprawie - powiedział urażony do żywego Ulfilo. - I potrafię znosić trudy jak każdy mężczyzna.

- A co z kobietą? - zapytał Wulfrede.

- Czy skarżyłam się do tej pory? - zapytała wyniośle Malia.

- Tak - przytaknął Conan. - Ale głównie na owady, przyznaję. Wulfrede, co z marynarzami?

- Będą mi posłuszni - zapewnił kapitan.

Cymmerianina nadal nękały wątpliwości. Jeżeli piracka załoga zgodzi się stawić czoło takim warunkom, będzie to oznaczać, że Wulfrede rozpuścił wieści o skarbie. Nie wróżyło to nic dobrego.

- Idziemy w góry - powiedział Conan do przywódcy Fashoda. - Pójdziecie z nami?

- Nie boimy się czarownika Zumba ani jego klątw - odparł wojownik, jednak Cymmerianin wyraźnie usłyszał niepokój w jego głosie. Inni zerkali koso na szamana. Nie chcieli okazywać strachu w obecności ludzi Zumba, lecz tym niemniej byli wystraszeni.

Conan podniósł się i podszedł do Umbasa.

- Dlaczego pragniesz powstrzymać nas od przejścia na drugą stronę gór?

Czarownik uśmiechnął się chytrze.

- Nie powiedziałem, że nie możecie tam iść. Co mnie obchodzi, co się stanie obcym? Bogowie nie potrzebują, żebym ich bronił. Sami narażą was na cierpienia, na jakie zechcą. - Jego oczy niesamowicie płonęły. - Ale nie pozwolę, by mój lud ich obraził.

- Dlaczego bogowie gór i kraju za górami mieliby różnić się od tych z równin, którzy byli nam przychylni?

- Tam rządzą moce obce tej krainie i jej ludom. - Zagrzecotał laską i śpiewnie wyrecytował: - Dawno, dawno temu przybyli do tego kraju ludzie i półludzie, którzy przeszli przez góry i podążyli dalej. Przynieśli z sobą nowego, zazdrosnego boga. Kiedy ci ludzie i półludzie pomarli, przemienili się w duchy strzeg^ozucili się w tłum i wyciągnęli trzęsącego się nieszczęśnika. Był to mężczyzna odziany w spódniczkę, nie nosił żadnych ozdób. Wnosząc z wiórów, jakie przywierały do jego włosów i ubrania, musiał być rzemieślnikiem.

Król skinął niedbale na kata, a ten z powagą podszedł do ofiary, którą strażnicy rzucili na kolana. Stosowanie siły nie wydawało się konieczne, mężczyzna bowiem nie walczył, ale z rezygnacją poddał się przeznaczeniu. Kat złapał oburącz długą rękojeść miecza i zawirował ostrzem wokół skazańca w takt bicia w bębny. Kreślił mieczem w powietrzu skomplikowane arabeski, od czasu do czasu przyskakując i muskając ostrzem kark ofiary.

Za każdym razem, gdy zimne żelazo dotykało skóry, skazaniec krzywił się w straszliwych katuszach. Twarz mu poszarzała, ślina skapywała z obwisłych ust. Już wyglądał na martwego.

- Dlaczego nie zabiją tego biednego durnia od razu? - warknął Conan.

Z obłąkańczym wyciem kat wyskoczył w powietrze, obrócił się dwa razy i wylądował na odległość ramienia od więźnia. Szerokie ostrze zatoczyło zamaszysty łuk i głowa ofiary, z rysami zakrzepłymi w wyrazie przerażenia, poszybowała w stronę platformy. Strażnicy puścili wstrząsany drgawkami i bryzgający krwią tułów.

Aghla z dziwacznym gulgotem złapała głowę w locie. Podniosła ją wysoko i zaczęła tańczyć, podobnie jak oprawca, nie zwracając uwagi na krew zalewającą jej brudne łachmany. Dotarła w podskokach do krawędzi podium i wbiła swoje trofeum na pusty pał, czemu towarzyszył śmiech i okrzyki zadowolenia zgromadzonego tłumu.

- Nie mam pojęcia, co to znaczy - rzekł Springald. - Wiem tylko jedno: kichanie w obecności króla jest niewskazane.

- Mam nadzieję, że mistrzowie etykiety na tym dworze nie są zbyt liczni - dodała Malia.

Król Nabo powiedział coś do tłumacza.

- Mój pan życzy sobie wiedzieć, kto was tu przyprowadził.

- Kierowaliśmy się zapiskami starożytnego podróżnika - wyjaśnił Springald. Podniósł jedną ze swoich ksiąg. Tłumacz wziął ją i podał królowi, pokazawszy uprzednio, jak się przewraca kartki. Nabo obejrzał parę stron, potem przemówił.

- Król nie wierzy, że znaczki na kartkach mogły przeprowadzić ludzi przez wielkie i nieznane krainy. Chce wiedzieć, kto był waszym przewodnikiem.

- Nie rozumiesz - zganił go uczony. - Ten, kto posiadał sztukę czytania, może poznać sekrety odległych krain.

- Ja to rozumiem - obruszył się tłumacz. - Widziałem wiele ksiąg i umiem czytać po stygijsku. Spróbuję wyjaśnić to Nabo. - Tłumacz i król pograżyli się w rozmowie, lecz po chwili monarcha zmarszczył brwi i pokręcił głową. Aghla, która przysłuchiwała się im zachłannie, wyskrzeczwała coś jękliwie.

- Król upiera się, że musieliście mieć przewodnika, który przeprowadził was przez pustynię i góry, a Aghla twierdzi, że twoje pismo to magia, która nie ma żadnej mocy w tej krainie.

- Nie przyszliśmy tutaj odprawiać czarów - rzucił niecierpliwie Ufilo - ale by odnaleźć mojego brata. Nie powiesz nam, co ci o nim wiadomo?

- Denerwowanie Nabo nie jest rozsądne - ostrzegł tłumacz, nieznacznym ruchem wskazując ściętą głowę.

- Zatem powiedz królowi, że nasze zamiary są całkowicie pokojowe - rzekł Springald - i że pragniemy ochrony i gościny w tym kraju na czas poszukiwania naszego zagubionego krajana.

Tłumacz przełożył słowa uczonego. Nabo skinął głową, jego usta skrzywiły się w uśmiechu. Aghla zachichotała, a ten dźwięk, o ile to w ogóle możliwe, był jeszcze bardziej odrażający niż jej piski wściekłości.

- Nie podoba mi się ten rechot - powiedziała z grymasem Malia.

- Kim jest ta pokraka? - mruknął Wulfrede. - Doradcą? Czarownicą? Błaznem?

Conan parsknął.

- Z tego, co widać, może być matką tego nadętego łajdaka.

- Potrafię w to uwierzyć, bo niedaleko pada jabłko od jabłoni - powiedziała Malia. - Oboje są potworami.

Zamilkli, gdy tłumacz przemówił do nich.

- Mój pan wita was i zaprasza. Zostaniecie tutaj, w jego królewskiej siedzibie, a dziś wieczorem odbędzie się wielka uczta na waszą cześć.

- Musimy zgodzić się bez zastrzeżeń - zdecydował Springald.

- Tak - potwierdził Conan po aquilońsku. - W tej chwili nasze życie wisi na włosku, a jeśli chcemy stąd odejść, ze skarbem albo i bez niego, trzeba dowiedzieć się czegoś więcej o tym kraju i jego mieszkańcach.

- Zgoda - powiedział Ulfilo, po czym zwrócił się do tłumacza: - Przekaż nasze najserdeczniejsze podziękowania swojemu panu i powiadom go, że jesteśmy wdzięczni za gościnę po długiej i obfitującej w trudy podróży.

Król wydawał się zadowolony z odpowiedzi. Przemówił do tłumacza i gromady stojących za nim sług, potem odwrócił się i zniknął w drzwiach wieży.

- Chodźcie ze mną - nakazał tłumacz. - W czasie waszego pobytu będziecie mieszkać w domu króla.

- Wolałbym gdzieś indziej - mruknął Ulfilo - ale nie ma rady. Chodźmy. Conanie, Wulfrede, zwracajcie uwagę na wszystkie wyjścia.

Van zachichotał.

- Zawsze tak robię, bo czyż nie jest powiedziane w *Poemacie o dobrej radzie*: „Przed wejściem do domostwa bacz na jego okna i drzwi, może bowiem się zdarzyć, iż będziesz musiał wyjść spiesznie, i to drogą inną od tej, którą wszedłeś”?

- Taki poemat mógł ułożyć tylko Van - skomentowała Malia ze śmiechem.

- Jesteśmy praktycznym ludem. Ten poemat jest pełen takich przykazań.

Podążyli za tłumaczem do wielkiej kamiennej wieży. Jej wnętrze było o wiele obszerniejsze, niż można by sądzić patrząc z zewnątrz, i niesamowite, gdyż ściany, sufity i podłogi stykały się pod dziwnymi kątami. Wokół wznosiły się liczne schody i podesty, które zdawały się prowadzić donikąd. Do starożytnej kamiennej konstrukcji krajowcy dodali przepierzenia i stropy z drewna, bambusa i palmowych liści.

- Co za szalenie to zbudował? - zapytał Conan.

- Nie... nie potrafię powiedzieć - wydukał Springald. - Konstrukcja murów jest bardzo podobna do wczesnostygijskiej, ale projekt - nigdy czegoś takiego nie widziałem, pomijając pewne bardzo dawne rysunki, zawsze uważane za prace obłąkanego artysty.

Król i jego świta zniknęli w jakiejś mrocznej części labiryntu.

Tłumacz poprowadził Conana i jego towarzyszy schodami i podestami do sąsiadujących z sobą komnat, oświetlonych przez wysokie, wąskie okna. Tutaj ściany i sufity też były krzywe. Pomieszczenia wysprzątało, a ich podłogi zasłano świeżym sitowiem.

- Patrzcie! - zawołała Malia, wskazując na okno.

Stłoczyli się przy nim i ze zdumieniem zobaczyli rozległe jezioro. Jego woda była dziwnie ciemna i wydawała się nienaturalnie spokojna.

- Teraz wiemy, skąd pochodzą ryby - stwierdził Wulfrede.

- Takie dziwadła faktycznie mogą pochodzić z takiego jeziora - rzekł Springald. - Nie podoba mi się ono.

- Tak - przyznał niespokojnie Conan. - Jest w nim coś niesamowitego.

Jezioro było prawie doskonale okrągłe i leżało w samym środku doliny, w jej najniższym punkcie. Najwidoczniej zasilają je wszystkie okoliczne strumienie.

- Musi być gdzieś odpływ, ale ja żadnego nie widzę.

- Może woda odpływa do podziemnych jaskiń - zaryzykował Springald.

- Na razie mamy do rozwiązania ważniejsze zagadki - przypomniał im Ulfilo. Odwrócił się od okna i usiadł na pęku sitowia. - Na przykład: Dlaczego ci ludzie nie powiedzieli nam nic o Marandosie? Możemy być pewni, że dotarł do tej doliny. Dlaczego ukrywają to przed nami?

- Może go zabili - podsunął Springald.

- Widziałeś, jak zarżnęli człowieka za kichnięcie - powiedział Conan. - Nie sadzę, żeby król Nabo zawracał sobie głowę ukrywaniem egzekucji.

- Może nic o nim nie wiedzą - rzekła Malia. Nadal stała przy oknie i patrzyła na jezioro.

Ulfilo miał wątpliwości.

- Jak mogliby nie wiedzieć?

- Popatrzcie na te niskie wzgórza. Czy mi się wydaje, czy też widać tam jeszcze jedno miasto?

Jeszcze raz zbliżyli się do okien. Palec Malii wskazywał skupisko budowli na drugim brzegu jeziora.

- Może on jest tam! - zawołała. - Być może tę dolinę zamieszkują dwa rywalizujące ze sobą plemiona.

Ulfilo podrapał się po brodzie.

- Tak, to możliwe. Ale nie mamy sposobu, żeby się dowiedzieć, czy ten stos kamieni jest zamieszkany.

- Nie widzę dymu - powiedział Wulfrede - ale z tej odległości może być

niewidoczny. Wieczorem powinniśmy zobaczyć światła pochodni.

Conan odwrócił się do tłumacza i przemówił doń po kushycku.

- Co to za miasto tam na wzgórzach?

- Nic takiego - zapewnił go pospiesznie doradca. - Tylko stare ruiny. -
Na jego twarzy odmalował się strach.

- Nie naciskaj go - poradził cicho Ulfilo.

- Jak się nazywasz? - zapytał Conan.

Mężczyzna się uspokoił.

- Jestem Khefi. Jak się domyśliłeś, mój ojciec był Stygijczykiem i prowadził interesy z kupcami i handlarzami niewolników nad rzeką Zarkheba. Matka, jego nałożnica, 9ce krainy nowego bóstwa. Jeżeli je napotkacie, zabijają was i pożrą wasze dusze. - Uśmiechnął się. - Ale kimże ja jestem, żeby odmawiać należnej im ofiary?

- A jednak ludzie biali jak my poszli tam i przeżyli. Niektórzy wrócili, i nawet wyprawili się ponownie. To nie wygląda na poczynania kogoś, kto się boi bogów i duchów.

Uśmiech przemienił się w szyderczy grymas.

- Tak, biali ludzie poszli za góry. Wrócili przetrzebieni, i nie byli już tacy, jacy byli przedtem. A teraz namówili innych swoich pobratymców do zapuszczenia się w zakazane krainy. Może duchom spodobał się smak białych dusz i łakną ich jeszcze więcej.

- A jakie jest imię tego obcego boga?

- Zwie się Ma'at - odrzekł Umbaso. Kiedy wymówił to słowo, Aquilończycy wzdrygnęli się nerwowo.

Conanowi nie podobała się rozmowa o bogach i duchach pożerających dusze. Ale pchało go przemożne pragnienie zobaczenia, co leży za górami. Gdy tylko nadarzyła się okazja, odciągnął Springalda od innych.

- Czarownik nazwał boga Ma'at. Słyszałeś o takim bóstwie?

- Ach... no... tak. Ma'at jest bogiem Stygii, uważanym za jednego z najstarszych w tej krainie. W przeciwieństwie do innych nie ma postaci.

pochodziła z Kushu. Gdy raz przeganiano stado bydła na targ na południe od Zarkheby, zostałem porwany przez łowców niewolników i przez prawie dwa lata sprzedawano mnie z jednego targowiska na drugie. Wreszcie kupili mnie niscy, skośnoocy ludzie nie znanej mi rasy. Przywiedli tutaj, przez jaskinię pod stromym pasmem górskim na północy. Sprzedali mnie ojcu króla Nabo. Początkowo byłem pasterzem, ale szybko awansowałem, jestem bowiem zdolny i znam języki inne niż te używane w dolinie.

- Przybyli tu handlarze, którzy cię sprzedali - powiedział Wulfrede - a ty tłumaczysz słowa cudzoziemców. Zatem wstęp do tej doliny nie jest zakazany dla obcych, jak mówiłeś.

Khefi wzruszył ramionami.

- Żaden lud nie pragnie całkowitego odcięcia od świata. Król Nabo potrzebuje stali i ubrań, a mieszkańcy cenią sobie kolorowe szklane paciorki i pstrokaty perkal. Ale cudzoziemcom nie wolno tu zostawać dłużej, niż na czas potrzebny na wymianę towarów.

- A jak my zostaniemy potraktowani? - zapytał Ulfilo.

- To zależy od mojego pana. Tutaj jest tylko jedno prawo: król Nabo. Dzisiaj was przyjmuje. Jeżeli będzie zadowolony, może odeśle was z podarkami. Jeżeli nie... - wzruszył ramionami - prawdopodobnie zabije.

XIII

KRÓL PRZEKLĘTEGO JEZIORA

Udało im się zasnąć, chociaż było dopiero popołudnie. Przebudził ich dźwięk bębnow. Służące przyniosły dzbany z wodą i szaty uszyte z materiału dostarczanego przez kupców. Wszyscy oprócz Conana zrzucili łańchmany, w które przemieniło się ich podróżne odzienie, i założyli barwne stroje, nie zapominając o przypasaniu broni.

- Jak na razie jesteśmy traktowani z należnym szacunkiem - rzekł z nadzieją Springald.

- W każdej chwili może to ulec zmianie - ostrzegł Ulfilo. - Władcy zawsze są kapryśni.

- Te kobiety nie zaliczają się do szpetnych - zauważył marynarz o twarzy przeciętej blizną. - Jak myślicie, co mieści się w granicach królewskiej gościnności?

- Trzymaj łapy z daleka od kobiet - warknął surowo Ulfilo. - Jeszcze za mało wiemy. Mógłby to uznać za śmiertelną obrazę. Zaczekaj, dopóki wyraźnie nie da do zrozumienia, że możesz sobie z nimi swobodnie poczynać.

- Trudno o coś takiego pytać. A od dawna obywamy się bez kobiecych wdzięków.

Jego słowa poparł zgodny pomruk pozostałych majtków.

- Ten król kazał ściąć głowę za kichnięcie w swojej obecności - przypomniał Conan z krzywym uśmiechem. - Jak myślicie, co obetnie za swawolenie z jego poddankami?

Marynarze szybko spowaźnieli i zostawili jego uwagę bez komentarzy.

Kiedy zachodzące słońce zabarwiło wody jeziora złowieszczą purpurą, do komnaty wszedł Khefi.

- Król wydaje ucztę na waszą cześć. Bądźcie uprzejmi podążyć za mną. Ulfilo zwrócił się do Springalda.

- Weź sakwę z prezentami. Mamy parę drobiazgów, których nawet król nie uzna za niestosowne. - Do innych powiedział: - Życzę sobie, żeby wszyscy zachowywali się przyzwoicie. Nie po to przedsięwzięliśmy tak długą podróż i narażaliśmy się na tyle niebezpieczeństw, by nasze kości zostały w tej obcej ziemi albo by wrócić do domu z pustymi rękoma.

- Pod tym względem w pełni się z tobą zgadzam - zapewnił gorąco Wulfrede.

- Mam nadzieję, że na ucztach nie podają dań rybnych - powiedziała Malia.

- Jedz, co ci dadzą, i to z uśmiechem - poradził Conan. - Istnieją rzeczy dużo gorsze od jedzenia odrażających ryb.

Wyszli z wieży na podest i zasiedli na wskazanych poduszkach ze skóry zebry. Za ich plecami stanęli służący, chłodząc ich usznię wachlarzami. Poprzebierani tancerze wirowali w takt muzyki bębnów i fletów. Mężczyźni w maskach demonów harcowali na szczudłach, uderzając jeden drugiego nadmuchanymi pęcherzami, a między nimi przewijały się prawie nagie kobiety, których ciała lśniły natarte oliwą. Dzieci klaskały w ręce i śpiewały do wtóru dziwnie urywaną pieśń.

Taniec i śpiew osiągnęły apogeum, gdy z wieży w towarzystwie orszaku wyłonił się król. Za nim podążała odrażająca Aghla.

- Kim jest ta wstrętna stara małpa? - zapytał Wulfrede.

- Uważaj, co mówisz - przestrzegł Khefi. - Ona potrafi czytać w sercach ludzi, nawet gdy nie rozumie ich języków. Jest członkiem królewskiej rodziny, być może praprababką króla. Podobno ma ponad dwieście lat i przedłużyła życie z pomocą niewyobrażalnych obrzędów. Broni Nabo przed czarnoksięskimi spiskami. Każdy, kto wzbudza jej podejrzenia, umiera okropną śmiercią.

- W takim razie wszyscy tutaj muszą być zagrożeni - powiedział Conan - bo chyba nikt nie myśli pochlebnie o tej pokrace.

Król usadowił się na swojej poduszce, z Aghlą u boku. Na jego znak cudzoziemcom podano tykwy z pianistym piwem. Wulfrede pociągnął długi łyk i z uznaniem oblizał wargi.

- Nie jest to piwo z północy - oświadczył tonem znawcy - ale da się wypić. Może ci ludzie nie są wcale takimi dzikusami, na jakich wyglądają.

Postawiono przed nimi misy z owocami, mięsiwem i płaskimi plackami. Podróżnicy rzucili się łapczywie na jedzenie. Z ulgą zauważyli, że nie podano ryby. Między jednym daniem a drugim Ulfilo ceremonialnie podarował królowi Nabo piękny naszyjnik ze srebrnych, emaliowanych płytek i sztylet z rękojeścią rzeźbioną w kryształ. Król zdawał się zadowolony, ale Aghla przypatrywała się im lśnącymi, czarnymi ślepkami, rozdziawiając bezzębne usta w złośliwym uśmiechu.

- Spojrzenie tej mały odbiera mi apetyt - burknął Wulfrede.

- Wydaje mi się, że i tak oddajesz potrawom należną sprawiedliwość - zauważyła Malia.

Van oderwał udziec gazeli.

- Miałbym obrazić gospodarza? Poza tym, kto wie, kiedy znów będziemy jedli? Trzeba się opchać, gdy jest okazja. - Wprowadzając słowa w czyn, zatopił zęby w aromatycznym mięsie.

Uczta trwała, dopóki wszyscy nie najedli się do syta i nie wypili tyle, ile uznali za stosowne. Conan pojadł sobie przyzwocie, ale powstrzymał się od nadużywania piwa i palmowego wina. Towarzystwo było zbyt mało znane, a okoliczności zbyt niepewne. Zauważył, że Ulfilo i Springald zachowują podobną wstrzemięźliwość. Wulfrede nie odczuwał takiego przymusu, ale mimo licznych wypitych tykw trzymał się całkiem nieźle.

Gdy tylko księżyc ukazał się nad wzgórzami na wschodzie, król Nabo wstał i klasnął w dłonie. Bębny umilkły, a niewolnicy uprzątnęli resztki po uczcie. Na tyłach zgromadzonego tłumu zaczęło się jakieś zamieszanie. Dwaj strażnicy przepchnęli się do przodu, wlokąc między sobą młodą kobietę w miedzianej obroży na szyi. Nieszczęsna różniła się od mieszkańców doliny. Twarz miała okrągłą, rysy niezbyt wyraziste i ciało bez tatuaży. Była wyraźnie przerażona. Król powiedział coś i jego poddani wybuchnęli śmiechem. Wyglądało na to, że strach kobiety nikogo nie wzrusza.

- Co ona zrobiła? - zapytał Wulfrede. - Nie słyszałem kichania.

- Nic nie zrobiła - odparł Khefi. - Po prostu jest niewolnicą. Dziś w nocy zostanie podarowana duchom rzeki.

Na te słowa włos zjeżył się na karku Conana.

- Złożona w ofierze?

- Tak. Tutaj głównie z tego powodu kupują niewolników. Ich duchy domagają się ludzkiej krwi, tubylcy wolą więc zabijać niewolników, niż wybierać spośród siebie. W czasie wielkich uroczystości w jeden dzień ginie mnóstwo ludzi.

- To nieludzkie! - oburzyła się Malia.

Wulfrede wzruszył ramionami.

- Mój lud też od czasu do czasu składa ofiary z ludzi. A ci mogą zażynać się do upojenia, niewiele mnie to obchodzi.

- Tak - mruknął szczerbaty marynarz. Z powodu wypitego wina seplenił bardziej niż zwykle. - Wiele razy woziłem niewolników z Czarnego Wybrzeża, i zazwyczaj więcej tego bydła zdychało, niż przeżywało podróż. To bezwartościowe stworzenia. Nie przejmujcie się losem tej baby.

Palce Conana zacisnęły się na rękojeści.

- Nie lubię niewolnictwa, i nie lubię składania ludzi w ofierze. A szczególnie nie lubię ohydnych demonów, które żądają ludzkiej krwi. To wstrętne.

- Przypominam ci - rzekł stanowczo Ulfilo - że jesteśmy nieliczni, a ich jest mnóstwo. Nasz gospodarz... - wymówił te słowa z najwyższą pogardą - nie podziela twoich uczuć.

Znów odezwały się bębny, tym razem wybijając powolny, hipnotyczny rytm. Niewiasty ozdobiły niewolnicę girlandami kolorowych, wonnych kwiatów. Kobieta, z rękoma związanymi za plecami, została otoczona przez wojowników. Król wstał i wziął z rąk sługi pochodnię. Wzniósł ją wysoko i przemówił do ludu.

- Król mówi: Dzięki żyznej ziemi i obfitym plonom mieliśmy bogatą ucztę. W podzięcie nakarmimy naszych bogów, którzy nie spożywają darów ziemi ani mięsa zwierząt, tylko ciało i krew mężczyzn i kobiet.

- Musimy iść? - zapytała Malia. Była jeszcze bledsza niż zwykle.

- Gdybyście tego nie zrobili, obrazilibyście duchy - ostrzegł ich Khemi. - Jeżeli chcecie żyć i nie wypaść z łask króla, musicie wziąć udział w obrzędzie.

Niechętnie przyłączyli się do procesji, która ruszyła naokoło wieży. Z drugiej strony zaczynał się długi kamienny pomost, który na sto kroków wżynał się w jezioro. Powietrze cuchnęło bagnem, gnijącymi resztkami roślin i zwierząt. Ofiara szła pokornie, z rezygnacją, niczym prowadzone na rzeź

ciele. Przed nią tańczyła Aghla. Wiedźma śmiała się obłąkańczo i wirowała na pałkowatych nogach z chyżością podlotka. Śpiewała, a raczej skrzypiała wysokim, zawodzącym głosem, i od czasu do czasu krzyczała w ekstazie.

- Nie powinno się wzywać bogów tak, jak wieprze do koryta z pomyjami - mruknął Springald.

- Obawiam się, że bogowie tej krainy mają niewielkie wyczucie smaku.

- Malia przywołała na pomoc całe swe opanowanie i robiła, co mogła, żeby na jej twarzy nie odbiły się prawdziwe uczucia: przerażenie i odraza.

Ludzie podjęli śpiew. Ich głosy wznosiły się i opadały przerywane klaskaniem i szaleńczym biciem w bębny. Mimo dziwacznych i okropnych okoliczności, pieśń była niepokojąco piękna.

Procesja dotarła do końca pomostu. Aghla stanęła na samym skraju, wzniosła laskę i zawołała do bogów Nigdy nie został opisany. Według starych tekstów Ma'at ma być sędzią zmarłych, decydującym o losie każdej osoby. Jeżeli bóg jest zadowolony ze zmarłego, pozwala mu na drugie życie podobne do poprzedniego, ale bez trosk i cierpień.

- A jeżeli Ma'at nie jest zadowolony?

- Cóż, dusze niegodne są rzucone potworowi zwanemu Pożeraczem Dusz. - Chrząknął. - No, ale nie możemy się przejmować słowami brudnego, obwieszanego kośćmi znachora, który zna prymitywne przesady plemienia i parę czarów pośledniej mocy. Wszystko to może być powiastką powtarzaną przez miejscowe ludy. Ostatecznie ci ludzie są na poły nomadami i bez wątplenia mieszkali daleko stąd w czasach upadku Pythonu.

- Może i tak. Ale nasza wyprawa stała się czymś innym niż poszukiwaniem człowieka i skarbu. Nie ścierpię więcej niespodzianek, molu książkowy!

- Doskonale rozumiem twoje oburzenie, przyjacielu, i zapewniam cię, że nie musisz się obawiać nieprzyjemnych nowin! Sam pomyśl, że jakieś starożytne przedstygijskie bóstwo mogłoby nadal strzec skarbu razem ze swoimi sługami, jest absurdem w świetle naszej wiedzy i nauki!

- Springaldzie - rzekł złowieszczo Conan - gdybym cię nie lubił, mógłbym zatłuc cię za . Początkowo kontynuowała pieśń, która stopniowo przechodziła w nieludzkie dźwięki. Jej usta obryzgane śliną wydawały dziwaczne i odrażające odgłosy. Jakby w odpowiedzi, w wodzie coś zaczęło się zmieniać.

- Co to jest? - syknęła Malia.

Wskazywała na purpurową plamę, która pojawiła się na powierzchni jeziora i pulsowała niepokojąco. Potem zobaczyli, że plama nie znajduje się wcale na powierzchni, ale raczej wynurza się z głębi jeziora. Powoli stawała się coraz większa. Cokolwiek to było, zbliżało się.

Wynurzyło się tak niespodziewanie, że cudzoziemcy drgnęli przestraszeni. Po chwili coś wystrzeliło z wody i opadło. Zobaczyli ogromne, zdeformowane ryby, które wyskakiwały z toni niczym ławica w ucieczce przed rekinem. Słabe światło ograniczało widoczność, ale przybysze z północy dostrzegli, że stworzenia nie przypominają niczego, co zwykle zamieszkuje słodkowodne zbiorniki. Niektóre młóciły powietrze długimi mackami, inne rozpościerały skrzydła podobne do nietoperzych. Ze zgrozą zobaczyli mnóstwo ryb wielkości kałamarnicy, które miały coś w rodzaju rąk i używały ich do upychania różnych paskudztw w pyskach.

- To sprzeczne z naturą! - zawołałagadatliwość.

Kiedy następnego ranka ruszyli w dalszą drogę, wszyscy byli przygaszeni z wyjątkiem tragarzy z nadmorskiej niziny, którzy wiedzieli, że już niedługo wrócą do domów. Inni wyglądali na przybitych, z wyjątkiem zawsze radosnego Wulfrede'a. Conan był ponury, Aquilończycy niespokojni, marynarze bardzo zdenerwowani. Znowu patrzyli spode łba i mruzcili coś między sobą. Conan zastanawiał się, czy znów będzie musiał dać im nauczkę.

Dwa dni później stanęli u podnóża gór. Wielki, skalny grzbiet piętrzył się wysoko w górę. Niższe partie były gęsto porośnięte drzewami, wyższe tworzyły ciąg nagich turni. Tragarze wykopali dół, by schować w nim towar, którego nie miał kto ponieść dalej. Po wykonaniu zadania odeszli do swoich

domów w towarzystwie Fashoda, którzy, acz niechętnie, zgodzili się im towarzyszyć do granic swojego terytorium.

Pozostali patrzyli na góry z ponurą determinacją.

- Nic tu po nas - powiedział Ulfilo. - Idziemy.

- Tak - zgodził się Wulfrede. - Czy ludzie tacy jak my potrzebują namiotów i tym podobnych drobiazgów? Zawsze nosimy broń, możemy też nieść rzeczy niezbędne w czasie wyprawy. Wszystko inne powinniśmy znaleźć po drodze. Malia.

- A myślałaś, że będzie inaczej? - zapytał Springald.

Cymmerianin siłą woli powstrzymywał się od odejścia. Czary i inne plugastwa zawsze budziły w nim wstręt.

Gdy śpiew Aghli osiągnął apogeum, woda w jeziorze wyrzuciła się i zapłonęła krwawym blaskiem. Pod powierzchnią można było dostrzec ohydny stwór złożony z macek, galaretowatego mięsa i niezliczonych wytrzeszczonych ślepi, w których płonęło czyste zło.

- Co to jest? - wrzasnął jeden z marynarzy. Jego towarzysze zadygotali z przerażenia i wlepili oczy w potwora.

- Zostać na miejscach! - warknął Wulfrede.

- Ikhatun! - zawyła Aghla. - Ikhatun! Ikhatun!

Woda rozstała się, spływając kaskadami po ogromnych bokach potwornego „boga”. Czerwone płomienie pełgały po chropawej czarnej skórze, od której bił niewiarygodny smród. Aghla usunęła się na bok, a król Nabo pchnął do przodu niewolnicę. Na widok szkarady z dna jeziora kobieta otrząsnęła się z otępienia i jej twarz wykrzywił grymas przerażenia. Stwór wlepił w ofiarę liczne ślepia. Od bezkształtnego korpusu oderwała się długa, pokryta śluzem, rozdygotana macka i powoli skierowała się w stronę niewolnicy. Kobieta zaczęła się szamotać, ale król trzymał ją mocno za związane ręce.

Ofiara wrzasnęła obłąkańczo, gdy poczuła oślizgły dotyk potwornej macki, zakończonej przyssawką z szeregiem ostrych kłów. Gdy król się

odsunął, stwór schwycił kobietę i uniósł wysoko. Niewolnica zawyła w krańcowym przerażeniu, gdy macka zaczęła się zaciskać. Wrzask wibrował w powietrzu zdawałoby się w nieskończoność.

Jeden z marynarzy wybełkotał coś niezrozumiale i rzucił się do ucieczki. Wulfrede chciał go zatrzymać, ale nie zdążył. Oko potwora wyśledziło ruch na pomoście i z tułowia wystrzeliła kolejna macka. Jej najeżony zębami koniec owinął się wokół przerażonego marynarza. Stwór wzniósł wysoko wyjącego mężczyznę. Macki zacisnęły się na ciałach ofiar i grube strumienie krwi polały się w ohydną jamę. Krwistoczerwone iskry zamigotały i zaskwierczały na czarnej skórze ze zdwojoną furją. Wreszcie potwór rozluźnił uchwyt. Z marynarza i niewolnicy pozostały strzępy mięsa i zdruzgotane kości. Szczątki wpadły do pyska, który zamknął się z obleśnym mlaśnięciem. Potwór zagulgotał i zahukał, potem zaczął się zanurzać. Kiedy zniknął w głębi jeziora, podążyły za nim mniejsze stworzenia.

Krajowcy odwrócili się i odeszli do swoich domostw. Goście stali wstrząśnięci, ale opanowani, jedynie czterej pozostali przy życiu marynarze wyglądali tak, jakby zaraz mieli odejść od zmysłów ze strachu. Aghla zaszczyciła ich milczącym uśmiechem, jakby wiedziała, że będą następnymi ofiarami i uznała to za niezwykle zabawne.

W milczeniu wrócili do swoich kwater. Malia odezwała się pierwsza, gdy szykowali sobie pośłania ze słomy.

- Co to było? Czy był to prawdziwy bóg?

- Nie sądzę - odparł Springald, zzuwając połataną buty.

- Co masz na myśli? - zapytał Ulfilo.

- Kształt i ogólny wygląd sugerują, że to coś nie pochodzi z tego świata. - Głos miał ściszony i pozbawiony zwykłej jowialności.

- Ale czy to bóg? - zapytał Wulfrede.

Uczony wzruszył ramionami.

- Wiemy, że jest potężny. Dzierży wielką władzę nad tutejszym ludem. Myślę, że odmienił naturę wszystkiego, co żyje w jeziorze. Bóg czy nie,

posiada boską moc.

- Nie obchodzi mnie, czym jest to obrzydlistwo - powiedział Conan. - I nie dbam o ludzi, którzy je czczą. Chyba powinniśmy wynieść się stąd jak najszybciej.

- Nie będę się kłócił - poparł go Ulfilo - bo nie znaleźliśmy tutaj ani mojego brata, ani skarbu. Ale dokąd moglibyśmy pójść?

Conan stanął przy oknie i wskazał na drugą stronę jeziora.

- Patrzcie.

Wstali i stłoczyli się przy parapecie. Na wzgórzach za jeziorem, gdzie wcześniej widzieli drugie miasto, mrugały liczne ognie.

Następnego dnia poprosili o pozwolenie udania się na polowanie.

- A po co? - zapytał król. - Czyż nie macie mięsa pod dostatkiem?

- Królu - rzekł Ulfilo - twoja gościnność i hojność nie ma sobie równych, ale w naszym kraju łowy są główną rozrywką szlachetnie urodzonych i nie znajdujemy niczego przyjemniejszego.

- Aha, lubicie zabijać! - zawołał Nabo z domyślnym uśmiechem. Coś takiego potrafił zrozumieć. - Zatem idźcie i polujcie. Przydzielę wam eskortę wojowników.

- Nie potrzebujemy straży - sprzeciwił się Conan.

- Ale ja nalegam - powiedział król z uśmiechem.

- W takim razie oczywiście czujemy się zaszczytzeni - wtrącił gładko Springald. - Czy w swej łaskawości, panie, pozwolisz nam korzystać z usług twojego sługi, Khefięgo? Z jego pomocą w razie konieczności będziemy mogli porozumieć się z eskortą i innymi poddanymi.

Nabo ruchem ręki wyraził zgodę.

- Udanych łowów, przyjaciele - rzekł na odchodnym i roześmiał się serdecznie.

- Nie podoba mi się sposób, w jaki ten dzikus bawi się z nami - powiedziała Malia, gdy z włóczniami na ramionach opuścili mury miasta.

Czterej marynarze szli za swoimi przywódcami, a za nimi maszerowało dwójkami dwudziestu wojowników w białych pióropuszech.

- Ale o co chodzi w tej grze? - spytał Wulfrede. - Nie wysunął żadnych żądań, nawet nas nie wypytywał. Ciekawiło go tylko, kto nas tu przyprowadził.

Conan odwrócił się do Khefiego.

- Dlaczego król uznał, że potrzebna nam eskorta? - Wskazał kciukiem przez ramię na wojowników o kamiennych twarzach.

- Mój pan boi się, że możecie zostać zaatakowani.

- Zaatakowani? - powtórzył Ulfilo. - Przez kogo? Czy są tu bandyci?

- Bandyci - tak, i... i... buntownicy. - Khefi wyszeptał ostatnie słowo i zerknął nerwowo w stronę eskorty, mimo że wojownicy nie rozumieli kushyckiego.

- Wreszcie do czegoś dochodzimy - podsumował Conan. - Opowiedz nam o buntownikach. Zapomnij o tych psach z białymi piórami. Zabiję każdego, który okaże, że zrozumiał choć jedno słowo.

- Dobrze. Jeżeli ktoś mnie zapyta, powiem, że opowiadam wam o kraju i zwierzynie, jaką można tu znaleźć.

- To powinno wystarczyć - rzekł Ulfilo. - Teraz mów.

- Król Nabo miał starszego brata, Cha'aka, który kilka lat temu, po śmierci ich ojca, zasiadł na tronie. Cha'ak zaniedbał obrzędy ku czci boga jeziora, co bardzo rozzłościło Aghlę.

- Dlaczego nie zabił tej ohydnej staruchy? - zapytał Springald.

- Nawet królowie boją się Aghli, jej magia bowiem jest potężna, a klątwy niezwykle skuteczne. W każdym razie wiedźma głosiła wśród ludzi, że bezbożność króla ściągnie na ich głowy wielkie nieszczęście. Podjudzała zwłaszcza wojowników z białymi piórami.

- A kto był ich dowódcą? - zapytał Ulfilo, jak zwykle w lot chwytający sprawy wojskowe i polityczne.

- Zgodnie z tradycją na czele tego oddziału zawsze staje młodszy brat

króla.

- Czyli Nabo - stwierdził Wulfrede.

- Właśnie.

- Mów dalej - poprosiła Malia.

- Aghla wychwalała Naba jako pobożnego i obowiązkowego księcia, człowieka odpowiedniego do przejęcia władzy i przywrócenia starożytnych obrzędów. Ten wywołał rebelię i z poparciem swoich wojowników wypędził prawowitego króla z miasta. Ci z błękitnymi piórami też stanęli po jego stronie, ale bez większego przekonania.

- A były król nie miał żadnych popleczników? - zapytał Ulfilo.

- Większość z jego klanu pozostała mu wierna, poza tym wojownicy z zielonymi piórami z jego straży przybocznej. W całej dolinie toczono walki. Rozstrzygająca bitwa miała miejsce w pobliżu zakazanej przełęczy, którą weszliście do doliny.

- Król zginął? - zapytał Conan.

- Tak. Również jego syna uznano za poległego, chociaż nigdy nie znaleziono ciała.

- Nie widzieliśmy w dolinie innych wojowników prócz tych, którzy noszą białe albo błękitne pióra. Co się stało z tamtymi? - dociekał Springald.

- Uciekli. A reszta... - urwał i znów niespokojnie rzucił okiem przez ramię.

- A reszta zamieszkuje miasto na wzgórzach za jeziorem? - dokończył za niego Conan.

- Tak. Tamto miasto jest dużo mniejsze, ale jego mury są wysokie. Przypomina warownię, podobną do fortec na wybrzeżu Stygii. Buntownicy urządzają stamtąd wypadki na królewskie stada i spichlerze.

- A mój mąż Marandos? - zapytała Malia. - Powiedz mi szczerze, czy Nabo go zabił?

- Przysięgam ci, nie widziałem tego człowieka ani o nim nie słyszałem. Z pewnością gdyby tu przybył, król kazałby mi tłumaczyć.

Polowali przez cały ranek na małe, tłuste gazy. Przed południem Ulfilo zarządził odpoczynek, w czasie którego oprawiono zwierzynę i upieczono mięso nad dymiącymi węglami. Przy jedzeniu przywódcy przystąpili do omówienia planów.

- Musimy uciec - oznajmił Conan. - A warownia na wzgórzach jest jedynym miejscem, w którym moglibyśmy szukać schronienia. - Cymmerianin wolałby opuścić dolinę na dobre, ale dał słowo, że pomoże odnaleźć Marandosa i chciał dotrzymać obietnicy, Aquilończycy zaś byli zdecydowani kontynuować poszukiwania.

- Jeżeli mój brat przebył przełęcz - powiedział Ulfilo - tylko tam możemy go znaleźć.

- Poza tym nie założono warowni bez powodu - dodał Wulfrede.

- Co masz na myśli? - zapytała Malia.

- Pomyśl tylko, starożytni Pythończycy, albo może ktoś inny, zbudowali miasto w najdogodniejszym miejscu w dolinie. Leży pośrodku żyznych ziem, nad jeziorem, gdzie zbiegają się wszystkie strumienie. Jest doskonale zlokalizowane pod względem sprawowania władzy nad okolicą, wymiany towarów i dostarczania płodów z okolicznych wiosek. Ale po co ten fort na wzgórzach? Bardziej pasowałby na granicy lub przełęczy, gdzie można się spodziewać najazdu wroga.

- No to dlaczego go wybudowano? - zapytała zaintrygowana Malia.

- Ze względu na skarb! - zawołał Springald z błyskiem w oku.

- Tak - potwierdził Van. - Czy nie widzieliście podobnych budowli w innych krajach? Królowie lubią trzymać skarby w pobliżu, ale zarazem bezpiecznie, żeby nie wpadły w ręce chciwych baronów czy niełojalnych rajców miejskich.

- To ma sens - przyznał Conan. - W Nemedii i w Koryntii, w Zamorze, w Turanie i w wielu innych krajach widziałem królewskie skarbcze ulokowane w warowniach w pobliżu stolicy. Te zamki w czasie zamieszek często służą królowi za azyl.

- Tym razem, jak się wydaje, stało się na odwrót - powiedział Ulfilo. - Jeśli Marandos spotkał buntowników po przebyciu przełęczy, prawdopodobnie powędrował właśnie do warowni.

- I być może znalazł skarb! - zakrzyknął Wulfrede.

Springald zwrócił się do Khefiego po kushycku:

- Czy ktoś mieszkał w tej warowni, zanim zajęli ją buntownicy?

Tłumacz pokręcił głową.

- Nie. Warownia była opuszczona i nie sądzę, żeby ktoś z niej korzystał od najdawniejszych czasów.

- Tak myślałem. Przez wieki wielu ludzi wędrowało przez tę dolinę, i niektórzy zatrzymywali się w ruinach nad jeziorem. Ale nikt nie zajmował warowni. Być może stoi opuszczona od czasu, gdy przed tysiącami lat umarł ostatni Pythończyk.

- W takim razie skarb może być nietknięty! - zawołał triumfalnie Wulfrede.

- Jeżeli tak - zaczął Springald - zatem najprawdopodobniej jest ukryty w zapieczętowanych lochach. Być może czekają nas długie poszukiwania.

- Jakie to ma znaczenie po tym wszystkim, przez co przeszliśmy?

- Wieczny optymista! - skarciła go gniewnie Malia. - Przypominam ci, że towarzyszy nam dwudziestu wojowników. Popatrz na nich! - Skinęła głową w stronę strażników. Podczas gdy połowa z nich jadła, z włóczniami wbitymi w ziemię w zasięgu ręki, druga połowa stała czujnie, z orężem w dłoniach. - A teraz popatrz na nas. - Siedzieli w szóstkę przy ogniu. Cztery marynarze, z pełnymi brzuchami i lekko podchmieleni winem, chrapali błogo w promieniach słońca.

- Ci chłopcy są niezłymi zabijakami, kiedy nie śpią - powiedział Wulfrede. - A z takimi dzielnymi szermierzami jak nasza czwórka... - zamaszystym ruchem ręki wskazał swoich towarzyszy - chyba poradzilibyśmy sobie w tych czarnych łajdakami. Musimy tylko starannie obmyślić plan i zaatakować nagle, kiedy nie będą się tego spodziewali.

- Ale mają swoje obozy rozsiane po całej dolinie - przypomniał Ulfilo. - Założę się, że do wszystkich wysłano gońców z przykazaniem, by mieli nas na oku.

- Walka mogłaby obrócić się w ucieczkę - powiedział Van z niewzruszonym spojrzeniem. - Ale nie powinno nas to zniechęcać. Pomyślcie o nagrodzie, która czeka nas w razie powodzenia!

- Kiedy byłoby najlepiej spróbować? - zapytał Springald.

Ulfilo zastanawiał się przez chwilę.

- O zmierzchu. Po południu ruszymy w kierunku warowni. Gdy zawrócimy, powinni stać się nieco mniej czujni. To będzie najwłaściwsza pora na atak. W gasnącym świetle mamy większe szansę na niezauważalne dotarcie do fortu.

- To rozsądny plan - pochwalił Conan. - Wojownicy mają długie włócznie i duże tarcze, ale nie noszą zbroi. Rudobrody, powiedz marynarzom, że szybko muszą rzucić włócznie, potem wyciągnąć miecze i natychmiast dążyć do walki wręcz. W ten sposób zapewnią sobie przewagę.

- Powiem im. A co z nim? - Skinął w stronę Khefiego. Tłumacz drzemał, zmęczony przysłuchiwaniami się rozmowie prowadzonej w niezrozumiałym języku.

- Musi iść z nami - zdecydował Springald. - Będziemy go potrzebowali, żeby porozumieć się z buntownikami.

- Wszyscy jesteście pewni, że plan jest dobry? - zapytała Malia, którą ogarnęły wątpliwości.

- Musimy coś zrobić, i to szybko - powiedział Conan - bo inaczej wszyscy staniemy się obiadem tego ohydneho rybiego boga. - Pozostali skinęli na zgodę.

- Zatem postanowione - zakończył Ulfilo. - Zrobimy, jak zaplanowano.

Po południu dalej polowali, ale bez zbytniego zaangażowania. Rozmawiali i śmiali się, żeby uśpić czujność strażników. Wulfrede udawał rozczarowanie myśliwskim pechem, w tym samym czasie wprowadzając

marynarzy w desperacki plan. Żeglarze szczyrzyli zęby jak wilki na myśl o ataku. Dużo bardziej bali się potwora niż walki jeden na dwóch.

Gdy skraj słonecznej tarczy dotknął grzbietu wzgórz na zachodzie, Ulfilo kazał się zatrzymać.

- Powiedz im, że zawracamy - rzekł do tłumacza. Khefi rzucił parę słów i wojownicy zawrócili w stronę miasta.

Przez kilka minut szli powoli, markując zmęczenie polowaniem. Gdy znaleźli się w dolince między wzgórzami, w znacznej odległości od najbliższej wioski, Ulfilo zawołał:

- Teraz!

W jednej chwili podróżnicy zawirowali i z półobrotu cisnęli krótkie, myśliwskie dzidy. Trzech krajowców padło na ziemię, inni albo zostali ranni, albo przyjęli ciężkie drzewca na tarcze. Dowódca straży krzyknął coś i rozpoczęła się walka.

Conan zatoczył mieczem zamaszty łuk i odrąbał rękę wysokiemu strażnikowi, jednocześnie uskakując przed ostrzem długiej, ciężkiej bojowej włóczni. Wokół słyszał głośny stukot mieczy o obciążone skórą tarcze i cichsze, ale złowieszcze mlaskanie stali, gdy trafiała w ciało. Zobaczył, że jeden z marynarzy padł przeszyty włócznią w chwili, gdy próbował wyszarpnąć kordelas z brzucha wojownika.

Zaskoczenie wyrównało szansę, lecz brak tarcz przy walce wręcz był bardzo niekorzystny. Wędrowcy musieli robić zręczne uniki i szybko machać mieczem, żeby uniknąć zranienia i śmierci. Wulfrede rozplątał przeciwnika od ramienia po pas, a Aquilończycy siali spustoszenie swoimi ostrzami, lecz czarni wojownicy walczyli zajadle i po mistrzowsku posługiwali się bronią.

Raptem rozległ się krzyk Malii, która miała trzymać się z dala od walki. Cymmerianin szybko zerknął w jej stronę, aby sprawdzić, czy nie spotkało jej coś złego. Zobaczył, że otaczają ją kudłate postacie, i że więcej tych istot zmierza ku walczącym.

- Bumbana! - ryknął, tnąc wojownika przez pierś. Większość strażników

nie żyła, ale teraz ich miejsce zajęli półludzie. Cymmerianin przebił jednego mieczem, ale zobaczył, że Springald został powalony przez trzech następnych, a Ulfilo i Van, wsparci o siebie plecami, bronili się przed dziesięcioma.

Potem Conan nie miał czasu, by patrzeć na innych. Przed jego oczyma wirowały warczące pyski, potężnie umięśnione nogi i bezkształtne łapy, które zaciskały się na prymitywnej broni. Małpoludy były niezdarne w porównaniu z Cymmerianinem, ale nie brakowało im szybkości i siły. Conan wiedział, że musi ustąpić i uciec, jednak w chwili, gdy podjął tę decyzję, nabijana krzemieniami maczuga spadła na tył jego głowy. Setki gwiazd rozbłysło mu w oczach i runął na trawę. Potem broń opadła po raz drugi i gwiazdy zgasty.

XIV

WPŁAW PRZEZ JEZIORO

Conan przebudził się z okrutnym bólem głowy i wrażeniem, że się kołysze. Powieki miał lepkie i nim cokolwiek zobaczył, musiał zamrugać oczami, żeby pozbyć się z rzęs zaschniętej krwi. Stwierdził, że jest związany i zwisa z drąga niesionego przez dwóch wojowników.

Nieśli ich ludzie, chociaż zwierzęce chrząkanie i posapywanie powiedziały mu, że bumbana nie odeszli.

- Puśćcie mnie, wieprze! - wrzasnął ktoś wściekle. - Puśćcie mnie albo zabijcie! Aquilońskiego szlachcica nie można nosić jak zarżniętą kozę!

Conan uśmiechnął się mimo tak trudnego położenia.

- Zaklinam cię, zamilknij, przyjacielu - odezwał się ktoś cicho. - Daremnie krzyczysz na ludzi, którzy nie rozumieją ani słowa, a nawet gdyby było inaczej, i tak by cię nie posłuchali. - A więc Springald też przeżył, i był wymowny jak zawsze.

- Spokój, obaj - przemówiła Malia.

- Ty przynajmniej idziesz na własnych nogach - mruknął Ulfilo.

- Myślisz, że mam z tego wielką satysfakcję? Rada bym zginąć. Ciekawe, dlaczego zachowali nas przy życiu.

- Mogę ci podać parę powodów - rzekł Springald. - Ale obawiam się, że żaden nie przypadłby ci do gustu.

- Daruj sobie zatem. Własna wyobraźnia podsuwa mi wystarczająco straszne obrazy, bez twoich podpowiedzi.

- *Poemat o dobrej radzie* - wtrącił kolejny głos - mówi: „Tylko głupcy strzegą sobie języki, gdy najlepszym wyjściem jest trzymanie ich za zębami”.

- Zatem Conan jest albo mądry, albo nieprzytomny - doszła do wniosku Malia - milczy bowiem.

- Może nie żyje - przypuścił Springald.

- Gdyby czarnowłosa rozstał się z życiem - powiedział Wulfrede - zabraliby go bumbana, jak moich biednych marynarzy.

Od czoła kolumny zbliżył się wojownik, machając rękoma i warcząc coś rozkazująco.

- Kapitan mówi, żebyście przestali gadać - przetłumaczył Khefi.

- Powiedz mu, żeby używał innego tonu, gdy zwraca się do lepszych od siebie - nakazał Ulfilo.

- Coś takiego nie byłoby rozsądne - ostrzegł Khefi.

Dalszą rozmowę uniemożliwiła pieśń, która z każdym krokiem stawała się coraz głośniejsza. Potem znaleźli się w tłumie tubylców z pochodniami w dłoniach. Krajowcy tańczyli i drwili z jeńców, przybliżali płomienie do ich twarzy, na migi pokazywali, jakie tortury ich czekają.

- Wesoły ludek - skomentował z odrazą Wulfrede. - Godny swojego króla.

- Wszystko w pobliżu tego jeziora jest skażone - stwierdził tajemniczo Springald.

Kolumna minęła bramę miasta i szła ulicami, powiększając się o nowych wesołków. Mieszkańcy pili i świętowali z o wiele większym

entuzjazmem niż poprzedniej nocy. Bezbronnych jeńców obrzucano cuchnącymi odpadkami i poszturchiwano kijami, jednak nikt nie użył broni. W świetle pochodni Conan ze zdziwieniem zauważył, że Malia, otoczona strażnikami, nie jest narażona na podobne przykrości.

Hałas przybrał na sile, gdy weszli na otwarty plac przed wieżą. Cymmerianin zobaczył tubylców stłoczonych na podium, ale nie potrafił nikogo rozpoznać. Wokół panował ogłuszający harmider. Wojownicy rzucili związanych jeńców na bruk i zabrali drągi. Conan niezauważalnie poruszał rękami i nogami, żeby przywrócić w nich krążenie. Na znak króla bębny umilkły i na placu zapadła cisza. Wojownicy złapali Cymmerianina i posadzili go na kamieniach. On bezwładnie opuścił głowę na piersi, jakby jeszcze nie odzyskał przytomności. Wylano na niego dzban wody, która zmyła mu lepka krew z twarzy i oczu. Conan spojrzął na podium, nadal udając zdezorientowanego i półprzytomnego.

Nabo zasiadał na barbarzyńskim tronie okrytym lamparcią skórą. Obok zajmował miejsce mężczyzna, który mimo niskiego zydła górował nad wysokim królem. Między nimi przycupnęła Aghla, z twarzą pomarszczoną w szyderczym uśmiechu. Wysoki mężczyzna wstał.

- Witam, przyjaciele - rzekł Sethmes, arcykapłan Ma'ata.

- Stygijczyk! - sapnął Ulfilo. - Co to znaczy? Zostawiliśmy cię w Khemi, całe miesiące temu! Jak się tu znalazłeś?

- Ten czarny okręt, który nas śledził - domyślił się poniewczasie Wulfrede. - Założę się, że ten łajdak nie spuszczał z nas oka od dnia opuszczenia Khemi.

- Ale nasza umowa! - oburzył się Springald.

Kapłan roześmiał się pełną piersią.

- Jesteście dziećmi? Naprawdę wierzycie, że pakt zawarty z cudzoziemcami liczy się wśród kapłanów Stygii? Wasze przeznaczenie zostało przypieczętowane w chwili, gdy weszliście do mojej świątyni, chociaż niewiele dla mnie znaczyliście, podobnie jak ten błędny rycerz, Marandos. Moja

wyprawa została przepowiedziana wiele lat temu, i barbarzyńskie szumowiny mogą w niej uczestniczyć jedynie jako niewolnicy.

- Twój wywód jest niejasny - zaprotestował Springald.

Stygijczyk odpowiedział ze śmiechem.

- Wieczny uczony, nawet w opałach, co, Aquiińczyku? Nie ma obawy, wyjaśnię ci wszystko. Mój nowy przyjaciel, król Nabo, zgodził się złożyć wasz los w moje ręce.

- Jak dogadałeś się z tym podłym psem? - zapytał bełkotliwie Conan. - Przecież jego tłumacz był z nami.

- Znalazłem z tą kobietą... - wskazał na Aghlę - wspólny język. Jest on dużo starszy od waszej hyboriańskiej mowy, starszy nawet od stygijskiej. - Odwrócił się do wiedźmy i wypowiedział parę słów. Dźwięki brzmiały całkowicie obco. Conan poznał, że w tym samym języku Aghla wzywała potwora z jeziora. Starucha odpowiedziała kapłanowi, wskazując na więźniów i śmiejąc się przeraźliwie.

- Widzicie? - Sethmes z powrotem zwrócił się do jeńców. - Jesteśmy w jak najlepszej komitywie.

W trakcie dalszej wymiany zdań Conan uważnie obserwował króla. Mimo ironicznej deklaracji przyjaźni ze strony Stygijczyka, Cymmerianin dostrzegł na okrutnym obliczu Naba niewątpliwe oznaki niezadowolenia. Władca nie był zachwycony pojawieniem się tego cudzoziemca w swoim królestwie.

Conan przekręcił głowę, jakby próbował rozruszać zeszywniały kark. W rzeczywistości oceniał szansę. Poza zwyczajnymi mieszkańcami, w mieście roiło się od wojowników z białymi i niebieskimi piórami. Po jednej stronie placu stali żołnierze, których Cymmerianin poprzednio widział na pustyni. Oglądając ich po raz pierwszy w pełnym świetle, stwierdził, że to zbieranina złożona ze Stygijczyków, Keshkańczyków i ludzi z różnych pustynnych szczepów. Nosili pstrokate mundury i różnorodną broń, ale zachowywali się jak doświadczeni żołnierze. Przed nimi stali ich stygijscy oficerowie:

czarwonobrody Khopshef i czarnobrody Gęb. Nigdzie nie było śladu bumbana.

- Czego więc od nas chcesz? - zapytał Ulfilo. - Jestem aquilońskim szlachcicem i nie będę niczym niewolnikiem.

- Och, przydacie się jeszcze, a ty z pewnością marnowałbyś się przy noszeniu wody czy wyrywaniu zielska ze zboża! Przykładowo, na dnie jeziora spoczywa wygłodniałe bóstwo. Po tylu stuleciach monotonnego jadła, z pewnością tęsknie wyczekuje zmiany w diecie.

Te słowa zjeżyły Conanowi włosy na głowie, a Malia pobladła jak sama śmierć.

- Stygijska świnią! - ryknął Ulfilo.

Sethmes zignorował go i zwrócił się do kobiety.

- Ty, moja droga, nie musisz się obawiać, że zostaniesz złożona w ofierze. Masz do odegrania dużo ważniejszą rolę.

- Nie jestem zainteresowana twoimi planami, kapłanie. Wolałabym podzielić los moich przyjaciół.

- Twoje życzenia nie mają znaczenia. Tysiące lat temu przepowiedziano, że tutaj przybędziesz. - Ironiczny uśmiech Sethmesa przygaś na chwilę i na jego twarzy pojawił się czysty fanatyzm. - Jesteś znana pod wieloma imionami: jako Alabastrowa Kobieta, Królowa Kości Słoniowej, Kobieta Śniegu i tak dalej. Położysz podwaliny, na których powstanie z prochu imperialny Python, a na jego tronie zasiądzie potomek starożytnej dynastii!

- Jesteś obłąkany! Jestem córką hyperborejskiej damy, pozbawionej dachu nad głową przez wojny, poślubioną kapitanowi najemników bez grosza przy duszy, i przybyła tutaj w wyniku czystego zbiegu okoliczności. Gdyby mój mąż i ten uczone nie spotkali się w tawernie, nic by się nie stało!

- Tam, gdzie chodzi o bogów - rzeki kapłan - nie ma czegoś takiego jak przypadek, traf czy zbieg okoliczności. Wszystko jest z góry zaplanowane, i wszystko przebiega zgodnie z prorocstwem. Kiedy bogowie chcą, by ktoś

znalazł się w pewnym miejscu, mogą w tym celu wywołać wojny. Mogą też sprawić, by ludzie, których na pozór nic nie łączy, spotkali się w stosownym miejscu i czasie.

Kapłan popatrzył wściekle na Springalda.

- Czy myślisz, że te starożytne tomy przypadkiem znalazły się w bibliotece króla Aquilonii, albo że przypadkiem zostały wysłane do Stygii, gdzie przeczytali je moi poprzednicy?

Przeszkodziła mu Aghla, która wyskrzeczwała coś do strażników trzymających Cymmerianina. Jeden z nich pochylił się i przeciął pęta na jego kostkach i nadgarstkach. Conan zobaczył, że wojownik posłużył się jego własnym sztyletem, i że przez ramię przerzucił pas z mieczem. Drugi strażnik trzymał tylko włócznię.

Tubylec schował sztylet do pochwy i z pomocą kamrata dźwignął Cymmerianina na nogi. Conan odchylił głowę w tył, jakby znów tracił przytomność. Sethmes zszedł z podium i z rozmachem trzepnął go w czoło.

- Zbudź się, barbarzyńco! - warknął. - Chcę, żebyś widział, co cię czeka!

Conan plunął krwawą pianą w twarz Stygijczyka.

- To dla ciebie i twoich ohydnych bogów! - wymamrotał.

Potem pozwolił, by głowa opadła mu na piersi. Słyszał, jak jego towarzysze zachichotali z zadowolenia.

- Ten już jest na wpół martwy - stwierdził Sethmes. - Ale na początek będzie dobry.

Wulfrede roześmiał się urywanie.

- Nawet połowa Cymmerianina pokazuje rogi.

Odezwały się bębny i strażnicy powiedli Conana naokoło wieży. Za nimi ruszyła cała procesja. Jeniec śłaniał się i potykał, wpadając na obu strażników. Tubylcy, mrużąc pod nosem przekleństwa, z trudem wprowadzili go na kamienny pomost.

Cymmerianin nie zwracał uwagi na radosne okrzyki świętującego

tłumu, koncentrował się na najbliższym otoczeniu. Aghla zatrzymała się na krawędzi pomostu, odwróciła i spojrzała na niego z plugawym zadowoleniem. Potem zaczęła wzywać boga. Conan słyszał, jak Sethmes mówi, prawdopodobnie do Springalda.

- Piekielny stwór z jeziora! - Po raz pierwszy w jego głosie pobrzmiwała groza. - Przybył tutaj z miejsca tak odległego, że nawet najwięksi stygijscy czarnoksiężnicy nie znają jego nazwy. Pokonał niezmiernie odległe przestrzenie i na koniec osiedlił się w tym jeziorze. Widzisz, jakie jest okrągłe? To krater, który powstał w chwili, gdy potwór runął z gwiazd, bezradny i wyczerpany długą podróżą. Miliony lat leżał na dnie uczynionego przez siebie dołu, słaby i niezdolny się ruszyć. Po pewnym czasie woda wypełniła zagłębienie, ryby i inne zwierzęta zamieszkały jezioro, ale przybysz z innego świata posiada moc, która zmienia całe znajdujące się w pobliżu życie, i wszystko staje się dziwaczne i zdeformowane.

Prehistoryczni ludzie-węże przybyli do tej doliny i wzniesli miasto na brzegu jeziora. Potwór pożerał ich i przez tysiące lat czerpał z nich siłę, przemieniał w stwory, a w końcu wyniszczył. Znowu przyszło mu czekać długie stulecia. Wtedy pojawili się ludzie z upadłego Pythonu, ze skarbem i czarami. Znaleźli ruiny pozostawione przez ludzi-węży i odbudowali je, zakładając własne miasto i skarbiec. Potem czekali, prowadząc przez lata korespondencje z czcigodnymi uciekinierami z Pythonu, którzy osiedli w Stygii.

Rozwinęli magię ludzi-węży i wzmocnili czary, które strzegły przełęczy i innych wejść do doliny, żeby mogli z nich korzystać tylko członkowie królewskiego rodu. Ale dał o sobie znać bóg z jeziora, i kolonia Pythończyków stopniowo ulegała unicestwieniu. Czas mijał, korespondencja z doliną urwała się, a członkowie królewskiego rodu w Stygii stracili siłę i bogactwo. Ostatni zostali kapłanami starożytnego pythońskiego bóstwa, Ma'ata.

Na powierzchnię wypłynęły wodne stworzenia. Conan zmuszał się, aby wyglądać na półprzytomnego, ale przepełniało go nieznanym uczuciem -

strach. Pomost i miasto były pełne zbrojnych. Kapłan podjął opowieść, z każdą chwilą coraz bardziej podniecony.

- Zanim zostali przemienieni w nieludzkie istoty, Pythończycy porozumieli się z potworem. Z tych pierwszych kontaktów narodziło się proroctwo o Nowym Pythonie. Przez sto pokoleń kapłani Ma'ata w Stygii, odbierając wizje wysyłane przez Ma'ata i innych bogów, rozprawiali nad proroctwem i stworzyli nową naukę dotyczącą ustanowienia Purpurowego Tronu, na którym zasiądzie ostatni potomek starożytnych władców Pythonu. Ja, Sethmes, jestem jedynym spadkobiercą dynastii, i ja jestem spełnieniem proroctwa!

Potwór był już widoczny, jego macki zaczęły się rozwijać. Aghla wybuchnęła obłąkańczym śmiechem, a Sethmes wrzasnął coś po stygijsku w ekstazie. Bębny huczały szaleńczo. Tłum zawył, gdy szkarada zachłannie wyciągnęła macki. Conan wiedział, że w tej chwili ważą się jego losy. Przystąpił więc do działania.

Lewą ręką podniósł strażnika i cisnął do wody. W chwili, gdy najbliższa macka owijała się wokół ciała tubylca, Conan trzasnął pięścią w twarz drugiego wojownika. Zerwał mu pas z mieczem i zepchnął z pomostu. Oślizłe ramię potwora złapało drugiego nieszczęśnika, nim doleciał do wody.

Aghla wydała przeraźliwy wrzask i Conan pożałował, że nie ma czasu, by rozprawić się z odrażającą wiedźmą. Za jego plecami kłębił się rozwścieczony tłum, mógł więc uciekać tylko w jedną stronę. Zaczerpnął potężny haust powietrza i skoczył w czarne wody przeklętego jeziora.

Przeciął powierzchnię i zanurkował głęboko. Zatrzymał się na chwilę, by przerzucić pas z mieczem przez bark, potem wyciągnął sztylet i popłynął jeszcze głębiej, by jak najbardziej oddalić się od miasta. Z przerażeniem w sercu zbliżał się do budzącego grozę potwora. W pewnej chwili złapał go stwór podobny do ryby o ludzkich rękach i rozdziawił paszczę, ukazując ostre jak brzytwa zęby. Cymmerianin pchnął go sztyletem w ślepie. Buchająca posoka ściągnęła inne zmutowane stworzenia, które rozdarły zranionego

stwora na strzepy i pożarły w mgnieniu oka.

Conan czuł już ogień w płucach, lecz nieugięcie płynął dalej. Wiedział, że bestia znajduje się na wprost niego, ale nie miał pojęcia, jak głęboko jest zanurzona. Jeżeli nie zdoła pod nią przepłynąć, będzie zgubiony.

Cymmerianin zbliżał się do potwora. Krwawy żar boleśnie raził go w oczy. W tej nieziemskiej poświacie dostrzegł masę splątanych wici, które kołysały się lekko niczym wodorosty. Wśród nich przemykały jakieś maleńkie stworzenia. Wodorosty okazały się długimi, cienkimi mackami pokrytymi kolczastymi wyrostkami. Conan był pewien, że znajduje się pod potworem. Miał wrażenie, że płuca zaraz mu pękną, lecz mimo to zanurkował jeszcze głębiej, żeby ominąć końce macek.

Gdy przepływał pod masywnym cielskiem, z przerażeniem zobaczył, że małe stworzenia pływające wśród węzowych wici są miniaturami potwora. Czy były to jego młode? Czy ten stwór wykorzystał jeziorne życie, przemieniając je na swoje podobieństwo?

Conan ominął kolczaste ramiona i zaczął płynąć ku powierzchni. Nie miał pojęcia, na jakiej jest głębokości, ale wiedział, że szybko musi zaczerpnąć powietrza, bo inaczej utonie. Już czarne kręgi tańczyły mu przed oczami i lada chwila mógł stracić przytomność.

Wynurzył się gwałtownie i łapczywie wciągnął do obolałych płuc haust powietrza. Przez dłuższą chwilę mógł tylko oddychać i rozkoszować się uczuciem odzyskiwania sił i kontroli nad własnym ciałem. Potem odwrócił się, aby sprawdzić, co jest z tyłu.

Najpierw zobaczył wodnego potwora, o wiele za blisko. Czerwone iskry pełgały po chropowatej skórze dużo gwałtowniej niż poprzedniej nocy. W ich blasku dostrzegł aż sześć macek wzniesionych nad rozwartą paszczą. Ramiona stwora zaciskały się na ciałach i wyciskały je niczym dojrzałe owoce. Najwidoczniej potwór się rozochocił i na chybił trafił wybierał sobie ofiary spośród tłumu zebranego na brzegu. Conan przez chwilę łudził się, że wśród ludzkich strzępów wyżymanych z krwi są Sethmes, Aghla i Nabo.

Cymmerianin usłyszał wrzaski uciekającej w popłochu tłuszczy. Roześmiał się chrapliwie na myśl o przerażeniu tubylców. Miał nadzieję, że towarzysze potrafili zadbać o własną skórę.

Przeklinając się za zmarnowanie czasu, Conan odwrócił się i skierował do brzegu. Początkowo płynął powoli, żeby nie przyciągnąć uwagi potwora. Stwór wyglądał na zajętego, ale należało zachować ostrożność. Kiedy Cymmerianin uznał, że znajduje się w bezpiecznej odległości, zaczął szybko płynąć.

Od czasu do czasu czuł muśnięcie łuskowatej albo oślizgłej skóry. Za każdym razem wyjmował sztylet z zębów, ale nic go nie atakowało. Wreszcie usłyszał cichy chlupot wody na żwirze. Zbyt zmęczony, by stanąć na nogach, wypełził na brzeg na czworakach. Odetchnął głęboko i otrząsnął się niczym mokry pies.

Znieruchomiał nagle, gdy zobaczył parę brązowych stóp. Obok spoczywało ostrze bojowego topora, na którym wspierał się właściciel. Conan podniósł głowę i zobaczył znajomą twarz wyszczerzoną w równie znajomym uśmiechu.

- Witamy po zbuntowanej stronie jeziora - powiedział Goma.

XV

BUNTOWNICY

Cymmerianin zerwał się na nogi.

- Myślałem, że mogę cię tu spotkać.

- I spotkałeś. - Goma nie był sam. Stało za nim co najmniej dwunastu wojowników; polerowana stal grotów ich włóczni błyszczała w poświacie księżyca. - Zobaczyliśmy wielkie zamieszanie z murów naszej warowni i przyszliśmy tutaj, aby przyjrzeć się z bliska. Bóg jeziora tej nocy ucztuje na całego.

- Jest rozczarowany, bo miałem być jego kolacją i nie chciałem

współpracować.

Goma roześmiał się pełną piersią.

- Nawet bóg jeziora by uznał, że jesteś niestrawny! Chodź, wracamy do twierdzy. Chciałbym dowiedzieć się pewnych rzeczy.

- Ja też - rzekł z naciskiem Conan.

- Uważaj, co mówisz - ostrzegł go Goma. - Jestem tu wodzem, i jeśli ktokolwiek może domagać się odpowiedzi, to tylko ja. Ci wojownicy przysięgli mi wierność. - Faktycznie, Cymmerianin widział szacunek, z jakim krajowcy odnosili się do jego towarzysza.

- Tak. I domyślam się, kim naprawdę jesteś. Ale co z tego? Byliśmy towarzyszami, a opuściłeś nas bez słowa.

Mężczyzna zaśmiał się pod nosem.

- Niełatwo cię zastraszyć, ale z drugiej strony ten, kto okpił boga jeziora, nie jest zwyczajnym człowiekiem. Dobrze, wyjaśnię ci wszystko, lecz potem nie wolno ci wysuwać w stosunku do mnie żadnych żądań. - Tutaj, w dolinie, Goma zachowywał się jeszcze bardziej wyniośle.

- Kiedy zaciągnąłem się do was na służbę, zgodziłem się doprowadzić was do Rogów. Zrobiłem to. Nie miałem dalszych zobowiązań. Tak jak wy, nie wiedziałem, co czeka za Rogami. Przed przystąpieniem do jakiegokolwiek działania musiałem się zorientować w sytuacji. Przeczuwałem, że gdyby zobaczono was w moim towarzystwie, spotkałaby was pewna śmierć.

Szli stromą ścieżką, która kończyła się przy murach zbudowanych z ciężkich, z grubsza ociosanych głazów. Były one równie masywne jak w mieście, ale nie zdobione. Cymmerianin przypuszczał, że wzniesli je Pythończycy, zanim ulegli wpływowi potwora z przeklętego jeziora. Wrota były nowe, sporządzone z grubych belek. Strażnicy przy bramie oddali honory Górnice i zaczęli zamykać ciężkie wierzeje, następnie zabezpieczyli je długą kłodą.

W obrębie murów zbudowano gliniane chaty kryte strzechą. Mężczyźni i kobiety wspięli się na blanki, żeby zobaczyć, co się dzieje po drugiej stronie

jeziora. Teraz schodzili, aby przyrzeć się przybyszowi. Goma powiedział coś i mieszkańcy rozeszli się do domów.

- Kazałem im iść spać - poinformował Conana. - Będą mieli mnóstwo czasu, żeby obejrzeć cię po wschodzie słońca, w lepszym świetle.

Na środku fortu stał kwadratowy, niski blokhauz, ale gospodarz ominął go i powiódł Conana do obszernej chaty, trzy czy cztery razy większej od innych. Tam usiadł na poduszkach ze skór i ruchem ręki kazał Cymmerianinowi zająć miejsce obok siebie.

- To była wyczerpująca noc, przybyszu z Północy - rzekł Goma. - Chcesz coś do jedzenia czy picia?

- Na Croma, od południa nie miałem nic w ustach, i przez cały czas tylko walczyłem, obrywałem po łbie albo uciekałem. Konam z głodu.

Goma klasnął w ręce. Na ten znak służące przyniosły jadło na palmowych liściach i tykwy z pianistym piwem. Mężczyzna odprawił je ruchem ręki. Jego gość tymczasem posilał się mięsem, owocami i chlebem, splukując jedzenie trunkiem. Gdy się nasycił, otarł usta grzbietem dłoni i rozparł się na poduszkach.

- Kiedyśmy stanęli przed królem Nabo - powiedział - nade wszystko pragnął on wiedzieć, kto nas tu sprowadził, ł był wielce niezadowolony z naszych odpowiedzi. Potem przycisnęliśmy do muru tłumacza i od niego uzyskaliśmy pewne informacje.

- Tłumacza? Czy mówisz o tym niewolniku Khefim? Był pasterzem u mego ojca, ale potem został przy dworze, gdyż umiał się porozumieć z cudzoziemskimi kupcami.

- To ten sam. Wspomniał o wojnie domowej, ale bał się mówić, mimo że strażnicy nie mogli go zrozumieć. Powiedział, że w dolinie nadal są buntownicy. Napomknął też, że po bitwie, w której zginął stary król, nie znaleziono ciała jego syna.

Goma uśmiechnął się lekko.

- To prawda, przyjacielu. Tak, ja jestem tym synem, i byłem w stanie

udowodnić to buntownikom. Wiele lat spędziłem na włóczędze, poznając inne ludy, ucząc się różnych sposobów walki i dając moim poddanym dużo czasu, by obrzydło im panowanie mojego wuja Naba.

- Nie sądzę, żeby go kochali. Ale boją się go i tej wstrętnej staruchy, Aghli.

- Aghla! - Goma splunął. - Ta złośliwa wiedźma od pokoleń jest przekleństwem mojego rodu. Nie chce umrzeć, i to ona wyznacza ludzi na ofiary dla boga jeziora. Wszyscy myślą, że w jakiś sposób dzieli jego moc.

- Wierzysz w to?

- Wierzyłem, gdy byłem chłopcem. Wędrując spotkałem wielu czarowników i widziałem, jak łatwo potrafią omamić ludzi i wmówić im, że posiadają wielką moc. Niektórzy z nich władali magią, niektórzy potrafili wzywać duchy dżungli, ale większość stosowała tylko kuglarskie sztuczki. Już nie wierzę, że ten potwór w jeziorze jest bogiem. Widziałem morze i wielkie stworzenia, które w nim pływają. Być może potwór z jeziora nawet nie myśli. Jeśli jest bogiem, dlaczego siedzi w jeziorze jak więzień? Dlaczego ludzie muszą go karmić krwią ofiar?

- Zdobyłeś wiedzę w czasie swoich podróży - skomentował Conan.

- Kiedy człowiek żyje na własną rękę, musi się nauczyć samodzielnego myślenia. Zostałem oderwany od plemienia i jego tradycji, nie wierzyłem nikomu na słowo, póki nie ujrzałem prawdy na własne o- Jego ludziom chyba brakowało takiej optymistycznej pewności siebie, ale ostrzegawcze spojrzenie kapitana uciszyło wszelkie sprzeciwy.

- Prowadź, Goma - powiedział Conan.

Przewodnik wyszczerzył zęby.

- Poprowadzę. Pożegnajcie dni przyjemnej wędrówki, tutaj zaczyna się droga dla mężczyzn. - Z tymi słowy ruszył w górę zbocza.

Trawiasta równina zmieniła się nagle w zalesione zbocza. Drzewa nie dorównywały olbrzymom z nadmorskiej niziny, ale rosły gęsto i licznie. Zwierzęta też były mniejsze; małpy, jelenie i wiele odmian dzikich świń.

Obfitość roślinożerców gwarantowała występowanie licznych drapieżców. Łaciate, cętkowane i pręgowane koty skrywały się w cieniach drzew, a wielkie węże połykiwały wśród opadłych liści i w konarach.

Podążali starym łożyskiem potoku, i wspinaczka z jednego głazu na drugi przypominała wchodzenie po gigantycznych schodach. Po godzinie nogi zaczęły odmawiać im posłuszeństwa i Ulfilo zarządził odpoczynek.

- Nie ma lepszej drogi? - zapytał Gome.

- Nie jest to szlak często uczęszczany - odparł przewodnik. - Nawet przez zwierzęta. Ludzie korzystający z tej drogi zostawili niewiele śladów. Ale czyż nie jest oczywiste dla każdego wędrowca, że woda wyszukuje sobie najłatwiejszą drogę?

- Generalnie to prawda - wysapał Springald, któremu nogi dygotały z wysiłku. - Lecz taka ścieżka, choćby najbardziej odpowiednia, nie zawsze jest najwygodniejsza.

- A jednak musimy iść tędy, nie ma bowiem innej drogi w dolnej partii zbocza. Pod drzewami grunt jest zbyt stromy i oparcie dla nóg zdradliwe. Ludzie ślizgaliby się i ranili. I jest tam mnóstwo jadowitych węży.

- Zatrudniłszy go, bo zna drogę, Ulfilo - przypomniała Malia. - Jak dotąd nie prowadził nas źle. - Ze względu na płęć i urodzenie, dźwigała najłżejszy pakunek i nie była tak zmęczona jak inni. Ale jej skórę znaczyły liczne zadrapania i siniaki.

- Co myślisz, Conanie? - zapytał Ulfilo.

W przeciwieństwie do innych Cymmerianin był tak rześki, jakby dopiero co wstał po nocy niosącej wypoczynek.

- Wychowałem się w górach równie stromych, choć nie tak zalesionych. Goma mówi prawdę, wspinanie się łożyskiem jest najłatwiejsze. Ja mimo to będę krążył z przodu i po bokach, jak na nizinie i w lesie nad urwiskiem. Może znajdę jakieś ślady, bo nawet nie wiemy, czy Marandos podążał tym szlakiem. - Jego przenikliwe spojrzenie omiotło Aquilończyków. - A może wiemy?

- Marandos pisze o górach - powiedział Ulfilo - ale nie o tym, jak się na nie wspinał.

- Dobrze. Po tym odpoczynku będę szedł przodem. - Conan odwrócił się do Gomy. - Są dobre miejsca na obozowiska na stoku?

- Żadnego nie uznałbyś za wygodne, ale można wytrzymać.

- Nie przejmujemy się niewygodami - powiedziała Malia. - Najważniejsze, żebyśmy dotarli do celu.

Jej słowa dały Conanowi do myślenia. Mówiła o celu, nie o mężu. Czy było to zwykłe przejęzyczenie, czy też bardziej interesował ją skarb niż mężczyzna? Jeżeli tak, nie byłaby pierwszą żoną, która w ten sposób szeregowała wartości.

Nie czekając, aż inni odzyskają siły, Conan zostawił towarzyszy i zniknął w lesie. Stosunkowo niewielkie drzewa pozwalały słońcu przenikać w głąb, co przyczyniało się do bujnego rozrostu roślinności. Gęste poszycie zmuszało Cymmerianina do nadzwyczajnej ostrożności, gdyż wszędzie mogła się czaić śmierć.

Dwa razy zobaczył goryle, ogromne, człekokształtne małpy. Wbrew legendom, które opisywały je jako dzikie i krwiożercze, okazały się płochliwe i skore do ucieczki. Za każdym razem, gdy Cymmerianin spotykał grupę, ogromny samiec patrzył na niego groźnie spod ciężkich brwi, dopóki jego rodzina nie zniknęła w krzakach, a potem odwracał się i odchodził. Conan nie utożsamiał tego odwrotu ze słabością zwierzęcia. Wiedział, że nawet najmniejsza samica jest mocniejsza od człowieka, a jeden taki olbrzym ma więcej siły w ramieniu niż on w całym ciele.

W koronach drzew przemykały mniejsze małpy. Różniły się od kuzynów z niziny brakiem ogonów i wyglądem podobnym do człowieka. Hukały i jazgotały na przybysza, ale bez strachu, jakby wiedziały, że to dwunożne stworzenie nie może zrobić im krzywdy.

Wokół żerowały dzikie świnie. Conan wiedział, że przestraszone potrafią być niebezpieczne jak lew. Zakrzywione szable dzika mogły w jednej chwili

rozplątać brzuch człowieka, a niewielkie rozmiary przydawały zwierzętom szybkości i zwrotności. Raz zniecka Cymmerianin natknął się na grupkę nosorożców. Nie miał pojęcia, skąd wzięli się w górach mieszkańcy równin, ale znalazł też ślady przechodzących słoń, więc najwidoczniej większe zwierzęta nie unikały stromych zboczy.

Conana bardziej interesowały świadectwa ludzkiej obecności. Wiedział, że w lesistych górach żyją niewysocy myśliwi, polujący przy pomocy zatrutych strzał, wypędzeni tutaj przez silniejsze, wojownicze ludy. Dużo bardziej niebezpieczni byli banici, wyrzuceni z równinnych plemion za pogwałcenie praw i wiodący rozpaczliwą, zwierzęcą egzystencję na lesistych zboczach. Poradzenie sobie z nimi mogło okazać się trudne, gdyż nie wiązały ich plemienne obyczaje i nie kontrolowali naczelnicy, których cudzoziemscy przybysze ugłaskiwali podarkami. Conan sam był wyrzutkiem i dobrze znał ten rodzaj ludzi.

W trakcie zwiadu nie dostrzegł śladów bytności większych zorganizowanych grup. Natknął się na resztki wielu myśliwskich obozowisk, w większości nie używanych od lat; znalazł też złamaną strzałę z krzemiennym grotem, ale ani śladu ekspedycji Marandosa.

Pod koniec dnia zawrócił i znalazł uczestników wyprawy niedaleko punktu wyjścia. Wspinaczka po stromym stoku okazała się gorsza, niż wszystko, co mieli już za sobą. Nawet Wulfrede siedział zmordowany na ziemi i z grymasem bólu masował grube jak konary uda.

- Ty cymmeriański górski koźle! - zawołał. - Jak śmiesz wyglądać świeżo niczym chłopiec po ranku spędzonym na wybieraniu piór z gniazd dzikich kaczek!

- Kiedyś Vanirowie słynęli jako wspinacze - rzekł Conan. - Na klifach Vanaheimu pełno było ludzi, którzy polowali na ptaki oraz szukali jaj i puchu.

- Tak, ale dwadzieścia lat spędzonych na pokładzie okrętu pozbawiło mnie wiewiórczej zwinności.

- Widziałeś coś, Conanie? - zapytała Malia. Była zmęczona, ale mimo

wszystko trzymała się nieźle.

- To samo, co tutaj - skały. Ani śladu ludzi, poza myśliwymi.

- W dolnych partiach zbocza polują tylko pół-ludzie z zatrutymi strzałami - powiedział Goma. - Dalej może być inaczej.

- Czy wyżej mieszkają wyjęci spod prawa? - zapytał Springald.

- Tak, możemy tam spotkać banitów. Albo coś dużo gorszego - mruknął ponuro Goma.

Wieczorem ułożyli się do snu na stoku. Przebudzili się po niespokojnej nocy zeszywniali i w podłym nastroju. Tego dnia szli jeszcze wolniej, ale na trzeci dzień przywykli już trochę do karkołomnej wspinaczki i nawet marynarze zaczęli nabierać animuszu.

W miarę posuwania się w górę, zmieniała się roślinność. Drzewa liściaste stopniowo ustępowały ogromnym paprociom, wśród których kwitły wielkie, różnobarwne kwiaty. Niesamowity krajobraz przypominał świat w trakcie tworzenia; poszczególne elementy były pomieszane. Kwiaty zczy. Po powrocie uznałem, że wiele rzeczy, w jakie mój lud zawsze wierzył bez zastrzeżeń, to czcze wymysły. Nie sądzę, by zabicie tego potwora było możliwe, ale z drugiej strony nie widzę powodu, by go dokarmiać.

- Khefi wspomniał, że twój ojciec przestał składać ofiary.

- I tym samym uczynił sobie wroga z Aghli. - Goma znowu splunął.

- Zabij ją i połowa problemu zostanie rozwiązana.

- Tak zamierzam. Uśmiercę też wuja i odzyskam królestwo.

- Możesz na mnie liczyć - obiecał Cymmerianin.

- To nie twoja walka.

- Jestem wojownikiem. Poza tym Nabo nadal więzi moich towarzyszy, jeśli nie zostali zabici dzisiejszej nocy. Zobowiązałem się im służyć, dopóki nie znajdę Marandosa, a skoro to się nie stało, muszę walczyć o ich wolność.

- Masz silne poczucie obowiązku - rzekł Goma. - To dobra i rzadka cecha.

- Może być brzemieniem. Wolałbym wziąć włócznię i miecz i wynieść się

stąd jak najszybciej. Ale podjąłem się tej misji i chcę zobaczyć jej zakończenie.

- Dobrze. Kiedy pomaszerujemy na Naba, będziesz u mego boku.

- Doskonale. Mówiąc o tajemniczym Marandosie, masz pojęcie, gdzie on może być?

- Zobaczysz rano. Tymczasem kładź się spać.

- Skorzystam z dobrej rady - powiedział Conan. - Długi dzień zwieńczony jadłem i piwem jest męczący nawet dla wojownika z Cymmerii. Dobrze, że cię spotkałem, przyjacielu. Inaczej miałbym kłopoty z dogadaniem się z buntownikami.

Goma klasnął w ręce i wydał rozkazy żołnierzowi.

- Ten młody człowiek zaprowadzi cię do wolnej chaty. Śpij dobrze, przyjacielu. W nadchodzące dni czeka nas wiele pracy.

Conan podążył za młodzieńcem, który przypatrywał mu się ze zdumieniem. Gościnna chata była taka sama jak inne, maleńka i okrągła, ze szczelinami w ścianach, które pozwalały na wymianę powietrza. Z mieczem na podorędziu, Cymmerianin zapadł w kamienny sen.

Poranek był rześki i jasny, jedynie nad jeziorem wznosiły się rzadkie opary mgły. Conan wyszedł z chaty i przeciągnął się potężnie. Wioska też się budziła, mieszkańcy mrugali oczami w słońcu, najpierw porażeni jego blaskiem, a potem na widok Cymmerianina. Paplając i wymachując rękoma, stłoczyli się wokół cudzoziemca. Dzieci z niedowierzaniem dotykały jego dziwnie jasnej skóry, a kobiety długich, prostych włosów. Ich ciekawość nie była zabarwiona wrogością i okrucieństwem cechującym mieszkańców miasta. Skoro należeli do tego samego plemienia, Conan przypisał różnicę zgubnemu wpływowi jeziora.

Kiedy zbliżył się do wejścia wielkiej chaty, wojownik stojący na straży uprzedził wodza. Goma wyszedł i przemówił do zgromadzonych, którzy następnie na jego znak odeszli do swoich zajęć.

- Powiedziałem im, że jesteś moim przyjacielem zza gór - poinformował

Conana - i że walczyliśmy ramię w ramię z wrogami. A także, że pochodzisz z dalekiej Północy, z zimnego, pochmurnego kraju, gdzie brak słońca wybiela ludziom skórę i sprawia, że mają błękitne oczy. Będą cię traktować z szacunkiem przynależnym dowódcy.

- Dziękuję.

- A teraz chodź za mną. Muszę sprawdzić posterunki; porozmawiamy po drodze.

Gdy zbuntowany król sprawdzał warty i koszary, Conan wyjaśnił, jaką sytuację zostawił w mieście. Goma syknął, gdy wspomniał o Sethmesie i jego małej armii.

- Stygijczyk! Myślisz, że naprawdę włada czarnoksiężskimi mocami?

- Magowie Stygii uchodzą za najpotężniejszych w świecie, a ja mam powody, by wierzyć, że to prawda. Ale ten kapłan jest kimś niezwykłym, potomkiem starożytnych królów Pythonu. Nie wiem, czy czyni go to bardziej, czy mniej potężnym. Z tego, co dotychczas mi wiadomo, widać, że jest intrygantem i spiskowcem, nie czarnoksiężnikiem.

- A jego ludzie? Jacy są w polu?

- Według mnie wyglądają na doświadczonych żołnierzy. Nie wolno ich nie doceniać. Będą walczyć w zwartych szeregach, włócznią, tarczą i mieczem.

- Też mi walka! - prychnął lekceważąco Goma. - Moi wojownicy runą na nich i skąpią włócznie w stygijskiej krwi.

- Zaciekłość może wziąć górę nad dyscypliną, ale w ten sposób stracisz wielu ludzi.

- Wojownicy rodzą się po to, aby ginąć w boju. Taka jest kolej rzeczy.

- Nie widziałem bumbana w mieście - podjął Conan. - Prawdopodobnie będą walczyć jak ci, których spotkaliśmy na pustyni - zajadle i bezmyślnie.

- Mój wuj prawdopodobnie nie pozwolił im wejść do miasta.

- Zabrali naszych poległych - mruknął ponuro Conan. - Myślę, że zjedli ich na kolację.

- Zabijemy wszystkich - zapewnił Goma z przekonaniem.

Na posterunkach stali wojownicy z żółtymi, czerwonymi i zielonymi pióropuszcami. Byli odważni i rwali się do walki. Po latach życia jako uciekinierzy i bandyci, łaknęli krwi wrogów. Goma przebywał wśród nich nie dłużej niż trzy dni, a jednak wydawało się, iż darzą go bezgranicznym zaufaniem. Cymmerianin zwrócił na to uwagę.

- Przez wszystkie te lata - zaczął wyjaśniać wódz - hołubili w sobie nadzieję na mój powrót. Dowódcy pułków początkowo patrzyli na mnie podejrzliwie, lecz zabiłem tego, który śmiał mi się sprzeciwić i pozostali uznali mnie za swojego prawowitego władcę.

- To prosty sposób rozwiązywania kwestii spornych - podsumował Conan. - Ilu was jest w porównaniu z siłami Naba?

- On ma więcej ludzi, może o czwartą część. Ale nie może całkowicie polegać na wojownikach z błękitnymi pióropuszcami. Jeżeli zyskamy przewagę na początku bitwy, chyba przejdą na naszą stronę.

- A wieśniacy?

Goma wzruszył ramionami.

- Nieważne. Chłopi będą harować bez względu na to, kto nimi rządzi. Liczą się tylko wojownicy.

Cymmerianin nie zgadzał się z tym prymitywnym porządkiem, który przeważał w większej części świata. Ci, którzy nie walczyli, na nic nie zasługiwali. Powinni być wdzięczni, że wolno im oddychać i jeść. Syn wielkiej wojowniczej rasy żywił niewiele współczucia dla tych, którzy wybrali takie życie.

- Zeszłej nocy obiecałeś opowiedzieć mi o Marandosie - przypomniał.

- Tak, zrobię to. Chodź ze mną.

Cymmerianin wszedł za Goma do kamiennego blokhauzu. Podobnie jak mury, budowla była prosta, pozbawiona ozdób i funkcjonalna. Miała jedno wejście, niskie i wąskie, którego drzwi zniknęły przed laty. Prawdę mówiąc, był to tunel w grubym murze, prowadzący do małej komory o boku nie

dłuższym niż sześć kroków. Na wysokości około dziesięciu stóp mieściło się sześć małych okien. Kamienne schody wiodły do pomieszczeń na górze. Na środku komory, na grubej kamiennej płycie, siedział mężczyzna. Okrywały go łachmany, był chudy niczym szkielet, lecz w jego oczach gorzał ogień. Gdy weszli, zmierzył ich ponurym spojrzeniem.

- Pochodzisz z północy! - zawołał na widok Conana.

- Nie jesteś ślepy - powiedział Cymmerianin. - To dobry znak.

- Przyszedłeś z moim bratem? Przyprowadziliście ludzi, którzy zabiorą skarb? - Na jego wymizerowanej twarzy widać było zapał i chciwość. Conan dostrzegł, że niegdyś mężczyzna był przystojny, podobny do Ulfila.

- Tak, z nim przyszedłem. Co do skarbu, musi poczekać.

Na te słowa mężczyzna popadł w przygnębienie.

- Jak długo przebywa tutaj ten więzień? - zapytał Conan.

- Więzień? Nikt go tu nie trzyma. Sam widziałeś, że nie ma ani drzwi, ani straży na zewnątrz. Przybył parę miesięcy temu, chory na umyśle. Wszedł prosto do tej budowli i objął tę płytę niczym rodzoną matkę. Mój lud szanuje obłąkanych. Wydawał się nieszkodliwy, więc tylko zabrali mu broń i zostawili samemu sobie. Kobiety stawiają mu przy wejściu jedzenie i picie, ale on bierze niewiele. Ludzie słyszeli, jak bredzi coś w szaleństwie, lecz nikt nie rozumie jego słów. Nie mam czasu, by się nim zająć. Musi być mężem tej białej kobiety, jednak nie sądzę, że będzie ona zadowolona z jego odnalezienia.

- Co się stało? - spytał Conan upiora, który niegdyś był kapitanem najemników. - Gdzie są ludzie, których przywiodłeś tutaj z drugą ekspedycją?

Mężczyzna z wysiłkiem zebrał myśli.

- Ludzie? Tak, miałem ludzi. Ludzi i półludzi, tych ludzi z dżungli zwanych bumbana. Mieli mi pomóc dźwigać skarb, ale nic z tego. - Uśmiechnął się przebiegle. - Zniknęli, i teraz wszystko należy do mnie. - Poklepał płytę, na której siedział.

- A co się z nimi stało? - dopytywał cierpliwie Conan.

- Och, niektórzy pomarli w dżungli, paru w górach. Wielu straciliśmy w walce z dzikimi bumbana. Potem była pustynia... - Obłąd w jego oczach zapłonął ze zdwojoną siłą. - Wielu tam zginęło. Bumbana nie widzieli powodu, by umierać z głodu i pragnienia, gdy mieli pod ręką ludzkie ciała i krew. - Na chwilę pogrążył się w milczeniu. - Ale mnie nigdy nie zagrozili.

- A klątwy przy Rogach? - zapytał Conan, z trudem opanowując obrzydzenie.

- Rozszalała się burza. Błyskawice zabijały ludzi i bumbana. Był ze mną już tylko jeden człowiek, gdy spadł wielki kamień. - Skierował na Conana oczy przepełnione żalem. - A przecież czar powinien temu zapobiec! Czy to możliwe, że kapłan mnie okłamał?

- Czy człowiek przy zdrowych zmysłach obdarzyłby go zaufaniem?

Szaleniec zignorował te słowa.

- Ale teraz mam skarb. - Znowu poklepał kamień.

- Pod tym kamieniem?

- Tak, ale płyta jest zbyt ciężka i nie mogę jej podnieść.

- Czy to znaczy, że go nie widziałeś? - zdumiał się Conan.

- Ale przecież nie może być nigdzie indziej! - wrzasnął Marandos.

- Od Asgalunu przebywałem w towarzystwie wariatów - mruknął Cymmerianin, odwracając się od szaleńca. - Powinienem był wiedzieć, że u kresu podróży znajdę jeszcze jednego.

- Sam widzisz, że ma pomieszane w głowie. Tracimy czas, Conanie. Jest wiele do zrobienia. Moja obecność tutaj nie na długo pozostanie w tajemnicy, i kiedy Nabo się dowie, będzie chciał mnie zniszczyć.

Odwrócili się i wyszli z komory. Za nimi obłąkany nucił piosenki swojemu domniemanemu skarbowi.

- Dlaczego Nabo jeszcze nie stłumił powstania? - zapytał Conan, gdy znaleźli się na zewnątrz.

- Ponieważ buntownicy zajmują tę warownię. Mój lud nie przywykł do obrony murów, ale z drugiej strony wojownicy uzurpatora nie potrafią ich

zdobywać. Umocnienia umożliwiają walkę z liczniejszymi oddziałami. Nabo może zdobyć warownię, ale poniósłby zbyt wielkie straty. Jakiś pomniejszy naczelnik mógłby wykorzystać przewagę wynikającą z powszechnego niezadowolenia i zrzucić go z tronu. Ten uzurpator lubi boga jeziora, lecz nie do tego stopnia, żeby pragnął zostać przez niego zjedzony. Ludzie gotowi są złożyć wielkie ofiary dla swego prawdziwego króla. Ale Nabo jest tyranem. Musi odnosić szybkie, łatwe i nie okupione stratami zwycięstwa, bo inaczej zwolennicy odwrócą się od niego.

- Tak jest wszędzie, gdzie bywałem, a podróżowałem więcej niż większość ludzi. Będziesz z nim walczył na otwartym polu, poza warownią?

- Muszę. Serce wojownika jest chore, gdy musi on walczyć zza murów. I aby zasłużyć na wierność, trzeba wykazać się czymś więcej niż królewską krwią. Muszę stanąć na czele swojej armii i wyzwąć uzurpatora, a potem zmiażdżyć go w walce.

- Będzie to kosztowne zwycięstwo - uprzedził Conan.

- Wiem o tym dobrze. W ciągu lat tułaczki brałem udział w wielu wojnach. Wiem o walce dużo więcej niż Nabo, tyle że mógłbym zmiażdżyć go tu, w warowni, bez większych trudności. Ale wtedy zostałaby splamiona moja królewska godność. Zawsze znaleźliby się tacy, którzy by szeptali, że król Goma nie jest prawdziwym wojownikiem, że pokonał przeciwnika podstępem, nie odwagą. Takie słowa po pewnym czasie spełniłyby swoje zadanie i przez całe panowanie musiałbym tłumić rebelie.

- Podchodzisz poważnie do sprawowania władzy - podsumował Conan.

- Ja nie wzbraniam się przed żadną bitwą. Kiedy wyruszamy?

- Najpierw oceńmy dokładnie sytuację. Ale nie możemy zwlekać. Chodź, zwołałem naradę naczelników. Musimy wiedzieć, jakie są siły mego wuja. Tylko głupiec walczy na ślepo.

Ruszyli na otwarty plac przed chatą Gomy. Zastali tam czterdziestu ludzi, którzy wyglądali na starszyznę. Mieli liczne blizny, niektórzy posiwiawe włosy i brody, i wszyscy swoją postawą przypominali dumne lwy. Poza

kolorowymi pióropuszcami oznaczającymi pułki, nosili na ramionach i pod kolanami barwne opaski z długiego futra. Ich tarcze były białe jak śnieg. Naczelnicy podnieśli ramiona i pozdrowili króla gromko.

- Stań przy mnie - powiedział Conanowi Goma, gdy usadowił się na zydlu okrytym lamparcią skórą. Wokół stanęli wojownicy, którzy nosili pióropusze z czarnych strusich piór. Cymmerianin przypuszczał, że czarne pióra oznaczają przyboczną straż króla.

Goma wypowiedział szybko parę słów i ludzie zręcznie ułożyli mapę doliny. Czaszka krowy oznaczała miasto przy jeziorze, lwia - fortecę, garść muszelek - jezioro. Czarne kamienie posłużyły na oznaczenie wioski, a żebra antylopy - obozowiska wojowników Naba. Rzekę i strumienie zaznaczono niebieskim piaskiem, włącznie wbite drzewcami w ziemię symbolizowały góry. Nemedyski generał nie mógłby wymagać niczego lepszego.

Przez ponad godzinę Goma naradzał się z naczelnikami w nie znanym Cymmerianinowi języku. Z ich tonów i gestykulacji domyślał się, że niektórzy nalegają na natychmiastowe działanie, inni zaś opowiadają się za zachowaniem większej ostrożności. Conan zauważył, że młodszym wojownikom nie udzielano głosu.

W czasie narady Cymmerianin wnikliwie studiował mapę. Widział wiele świetnych armii startych na proch, ponieważ ich dowódcy nie znali terenu, na którym przyszło im walczyć. Zobaczył, że miasto nad jeziorem jest usytuowane blisko południowego krańca doliny, i że tam koncentrują się główne siły Naba. Reszta wojska była rozszana na północy w małych wojskowych obozach. On i inni cudzoziemcy mijali ich wiele w trakcie marszu do jeziora.

Goma zwrócił się do Conana.

- Wiem, że nie rozumiesz. Masz jakieś pytania?
- Czy zadaniem tych obozów po północnej stronie jest tylko obrona przed najezdami buntowników?
- Częściowo służą do obrony przed złodziejami bydła. - Ostatnie słowa

wypowiedział ze znaczącym naciskiem. - A po części taka jest nasza odwieczna tradycja. Wysyłamy młodych wojowników do takich obozów, gdzie przez wiele lat są zdani wyłącznie na siebie, zajmują się wypasem bydła i odwiedzają miasto i wioski tylko w czasie uroczystości. Jednakże głównym powodem jest trzymanie w ryzach mieszkańców wsi.

- Nabo nie ściągnie ich, żeby skoncentrować siły w pobliżu miasta?

- Jeszcze nie. Między innymi dlatego musimy szybko przystąpić do ataku.

Conan się uśmiechnął.

- Co byś powiedział, gdyby jednocześnie zapewnić twoim ludziom szybkie, łatwe zwycięstwo i znacząco nadwątlić armię Naba?

- Wysłucham takiego planu.

Conan wyjął włócznię z kręgu oznaczającego góry i tępym końcem wyrysował na ziemi plan bitwy. Goma tłumaczył jego słowa wojownikom.

- Najpierw musicie się rozdzielić. Zawsze jest to ryzykowne, ale może się opłacić. Zatrzymaj przy sobie większość; mniejszy oddział, stanowiący może trzecią albo czwartą część twoich ludzi, ruszy szybkim marszem na północ, wzdłuż podnóża gór na wschodzie.

- Aby zachować tajemnicę, przemarsz winien odbywać się nocą. Trzeba zabrać suchy prowiant. Ludzie muszą być młodzi i silni, prawie bowiem nie będą spać. O świcie ruszą na południe. Zaatakują z marszu, nie dając nieprzyjacielowi szansy na zebranie sił czy przesłanie wieści. Z tego powodu przed oddziałem muszą biec wybrani zwiadowcy, którzy będą zabijać posłańców próbujących ostrzec inne obozy.

- Brzmi to doskonale - pochwalił Goma. - Mów dalej.

- Rankiem wybranego dnia - kontynuował Conan - ale nie za wcześnie, ruszycie głównymi siłami na Naba. Jeżeli będziecie rozproszeni i będziecie czynić wiele hałasu, uzurpator powinien dojść do przekonania, że idzie cała armia. Gdy zajmiecie pozycje przed miastem... - narysował serię kresek przed krowią czaszką - wróg uciekający z obozów znajdzie się na waszych

tyłach. Wtedy proponuję zrobić w tył zwrot, a wówczas uciekający wojownicy zostaną wzięci w dwa ognie. - Conan przykląkł i dramatycznym gestem złączył dłonie, mieszając kości i kamyki. Podniósł się.

- Potem, wzmocnieni przez resztę armii, znów zawróćcie, podejdziecie pod miasto i rzucicie wyzwanie. Jeżeli dobrze oceniłem siły Naba, będziecie mieli równe szansę. Być może nawet niewielką przewagę. Poza tym twoi ludzie będą podniesieni na duchu łatwym zwycięstwem, podczas gdy morale w oddziałach przeciwnika osłabnie. Do tego czasu wojownicy z błękitnymi piórami powinni zdecydować, po czyjej stronie stanąć.

Naczelnicy słuchali uważnie. Niektórzy okazywali entuzjazm, inni powątpiewanie, ale kiedy Conan skończył, nikt nie wystąpił przeciw niemu. Wszyscy patrzyli na króla, od którego zależało podjęcie decyzji.

- To dobry plan i skorzystam z niego - zdecydował w końcu Goma. - Ale wprowadzę jedną zmianę: osobiście stanę na czele oddziału, który będzie rozbijać obozy w dolinie.

Conan ściągnął brwi.

- To niemądre. Król nie powinien narażać się w bitwie prowadzonej w jego imieniu.

- Być może tak jest na północy, przyjacielu, ale nie tutaj. Moi wojownicy oczekują takiej postawy. Poza tym żaden ze starszych wojowników nie jest w stanie pokierować większą armią.

- Jak chcesz. Kiedy proponujesz wykonać pierwszy ruch?

- Przez czekanie niczego nie zyskujemy. Wyruszymy dziś wieczorem!

- Szybko podejmujesz decyzje - pochwalił Conan. - A jakie zadanie masz dla mnie?

Górna wyszczerzył zęby.

- Chcesz mi towarzyszyć? My, stare psy wojny, możemy pokazać młodym wojownikom, na czym polega prawdziwa walka.

- Dobrze, pójdę z tobą.

- Doskonale. Zatrzymaj włócznię. Będzie ci potrzebna. I mam dla ciebie

coś jeszcze. - Zawołał przez ramię i z jego chaty wyszła kobieta. Podała coś królowi, a ten przekazał to Conanowi. Cymmerianin obejrzał podarunek. Był to miedziany diadem z trzema pękami lśniących, czarnych strusich piór.

- Oznaczają, że jesteś jednym z zaufanych towarzyszy króla - wyjaśnił Goma. - Gdy założysz tę opaskę, wszyscy wojownicy będą ci schodzić z drogi.

Conan założył opaskę.

- Jutro będzie dobry dzień do skapania włóczni we krwi - powiedział.

Król przetłumaczył. Jego słowa wywołały burzliwą owację.

XVI

KREW W DOLINIE

Purpurowy zmierzch zapadł w dolinie, gdy wojownicy lotnego oddziału przygotowali się do wymarszu. Do tej misji Goma wybrał pułk noszący czerwone pióropusze. Składał się on przede wszystkim z młodych wojowników, żądnych sławy i dość silnych, by znieść trudy wyczerpującego zadania. Goma zarządził, że przez cały dzień mają odpoczywać, czemu podporządkowali się z trudem, ponieważ większość szła w bój po raz pierwszy w życiu. Wszyscy najedli się porządnie, gdyż z sobą mieli zabrać tylko broń, i do chwili, gdy ich król zasiądzie na tronie - albo wraz z nimi zostanie zabity - czekał ich tylko szybki marsz i walka.

Gdy na niebie zamigotały pierwsze gwiazdy, Goma wydał ostatnie rozkazy i przetłumaczył je Conanowi:

- Idziemy bez śpiewu i głośnego nucenia. Jeżeli ktoś upadnie, ma to zrobić po cichu, a potem się podnieść i jeśli zdoła, maszerować dalej. Jeżeli kogoś ukąsi wąż, będzie cierpiał i umrze w milczeniu. - Wojownicy przyjęli surowe rozkazy bez szemrania.

- Pora ruszać - oznajmił Goma.

Conan stanął w szyku. Miał na sobie przepaskę z lamparczej skóry,

ozdobne opaski z długiego małego futra i diadem ze strusimi piórami. Od pozostałych wojowników odróżniała go twarz i długi miecz. Nie zabrał tarczy, gdyż wiedział, że zawsze może podnieść tarczę poległego.

Długi szereg wojowników w czerwonych pióropuszcach ruszył wzdłuż szpaleru utworzonego przez mieszkańców. Na rozkaz króla nie wznoszono okrzyków. Słowa otuchy wypowiedziano po cichu - przypominały zwierzęce warczenie i bardziej podnosiły na duchu niż głośne wiwaty.

Kiedy znaleźli się na otwartej przestrzeni, przyspieszyli, a w końcu ruszyli truchtem, szybko pozerając odległość. Na czele biegli najmłodszy wojownicy, którzy, często biorąc udział w licznych wyprawach po bydło, znali okolicę lepiej od innych. Za nimi ciągnął król Goma, straż przyboczna z czarnymi piórami oraz Conan, a dalej główna siła wojowników, którzy nucili cicho pieśń bojową.

Wszedł księżyc, zalewając dolinę bladą poświatą. Dla młodych ludzi, którzy większą część życia pilnowali bydła po nocach, było widno prawie jak w dzień. Wielkie drapieżniki trzymały się z dala. Czaiły się w krzakach, gdy dziwny pochód zmierzał doliną. Instynktownie wiedziały, że nie mają szans z tą chmarą zbrojnych ludzi. Głupawe, prawie ślepe nosorożce, które nie lubiły niczego nieznanego, z parskaniem usuwały się z drogi.

Goma nie zarządził żadnego odpoczynku. Pomimo chłodnej nocy wkrótce wszyscy byli złani potem i zaczęli głośno dyszeć. Nikt jednak nie zrezygnował. Właśnie dlatego Goma wybrał pułk złożony z najmłodszych wojowników. Gdy księżyc osiągnął szczyt swojej wędrówki na niebie, niektórzy zaczęli się zataczać, sapali niczym miechy, z charkotem wciągali powietrze do płuc.

Nawet najbardziej wytrzymali byli u kresu sił, gdy dotarli do północnego krańca doliny. Na rozległej łące król zarządził postój i zasapani ludzie rzucili się pokotem na trawę. Ani Conan, ani Goma nie byli szczególnie zmęczeni, ich umięśnione ciała lśniły od potu. Król nie założył żadnych ozdób. W lewej ręce trzymał małą, okrągłą tarczę ze skóry hipopotama, w prawej

nieodłączny topór.

- Słońce wstaje - powiedział, wpatrując się w cienką smugę bladego światła nad pasmem górskim. - Wkrótce ukaże swoje oblicze. Nim to się stanie, zaczniemy zabijać. To ostatni dzień panowania Naba. Przed zachodem na tronie zasiądzie prawowity władca.

- Nie chciałbym być królem takiej doliny - powiedział Conan. - To piękny i bogaty kraj, ale tamto jezioro rzuca na niego cień.

- Niestety. W czasie wędrówki widziałem wiele krain, i mam zamiar wyprowadzić swój lud daleko stąd, daleko od tego stwora w jeziorze. Możemy znaleźć ziemię równie dobrą i żyzną, nadającą się pod uprawy i na pastwiska, na których nasze bydło stanie się tłuste.

- Takie tereny zazwyczaj są zajęte.

- Taka jest kolej rzeczy. W czasie tułaczki nie spotkałem wojowników równie dobrych jak moi. Kiedy znajdziemy odpowiednią ziemię, wypędzimy jej mieszkańców i zajmiemy ją dla siebie. Bogactwa są nagrodą za siłę i odwagę. Zawsze tak było.

- Zgadza się. No, już czas. Widzę już prawie na tysiąc kroków.

- Tak. Zaczynamy. - Goma wykrzyknął komendę i młodzi wojownicy zerwali się na nogi. Zęby błyszcząły w wykrzywionych twarzach, gdy szykowali się do bitwy. Z wojennym okrzykiem Goma wskazał toporem na dolinę i ruszył. Wrzeszcząc, wojownicy popędzili za królem.

Conan biegł obok Gomy z lekkością wyścigowego rumaka, długie nogi niosły go bez wysiłku. Po paru minutach zobaczyli pierwszy obóz, usytuowany nad małym strumieniem. Paru mieszkańców już nie spało, zajmowali się rozpalaniem ognisk. Przeraził ich widok, który zdawał się wywodzić z krainy koszmarów. Zerwali się i wrzasnęli. Ich pobratymcy niemrawo wyskakiwali z chat i na oślep chwyтали broń, ale wojownicy w czerwonych pióropuszcach runęli na nich jak nawałnica.

Nie była to bitwa, a istna rzeź. Król nie zniżył się do brania w niej udziału. Stanął z boku i pozwolił, by jego wojownicy nurzali włócznie we krwi.

Conan postąpił podobnie. Wycięcie obozu było konieczne, ale wolał nie brać w tym udziału. Kiedy wszyscy wrogowie polegli, ruszono dalej. Młodzi ludzie szaleli, podnieceni rozlewem krwi. Ci, którzy nie mieli szansy w nim uczestniczyć, płonęli żądzą zabicia wroga.

W następnym obozie wojownicy już nie spali i zauważyli napastników na czas, żeby się uzbroić i ustawić w szyku. Szybko ich pokonano, ale bronili się zaciekle. Conan widział, jak Goma zabił dwóch szybkimi ciosami topora.

Na Conana rzucił się wysoki wojownik z białymi piórami, ledwie widoczny za długą tarczą. Cymmerianin trzymał miecz w prawej ręce, włócznię w lewej. Drzewcem sparował cios przeciwnika, mieczem zmiotł na bok jego tarczę. Błyskawicznym ruchem wbił włócznię w odsłonięte ciało. Rozejrzał się za następnym nieprzyjacielem, lecz już było po walce. Wojownicy z białymi piórami zostali rozgromieni, ale poległo lub zostało rannych również paru czerwonych.

- Idziemy - nakazał Goma, oczyszczając topór z krwi. - Dzień się dopiero zaczyna.

- I to dobrze - dodał Conan.

Następny obóz zajmowali ludzie z pułku niebieskich piór, którzy z wyraźnym ociąganiem ustawili się do walki. Goma wstrzymał wojowników i przemówił do błękitnych.

- Dałem im wybór - powiedział Conanowi. - Albo przyłączą się do mnie i będą zabijać białych, albo umrą. Mają dwadzieścia oddechów na podjęcie decyzji.

Błękitni pogadali między sobą, potem wrzasnęli radośnie. Odwrócili włócznie ostrzami w dół i przyłączyli się do czerwonych i ich nowego króla, zastępując poległych w ostatniej bitwie. Razem ruszyli w dół doliny.

I tak mijał poranek. Staczali krótkie, zażarte potyczki i rozgramiali obozy białych. Kiedy błękitni dostrzegali swoich towarzyszy walczących po stronie Gomy, bez wahania przyłączali się do przeciwnika. Wśród bojowych okrzyków, oddział przybierał na sile, siejąc spustoszenie.

Nim znaleźli się w pobliżu miasta, każda włócznia była zboczona krwią. Ponieśli niewielkie straty, wymierzając zdrajcom surową karę. Mieszkańcy ostatnich obozów na widok idącej na nich armii brali nogi za pas, przyłączając się do tłumu wojowników w białych pióropuszech. Uciekinierzy jęknęli z rozpacz, gdy zobaczyli, że wróg oddziela ich od bezpiecznego miasta.

Królewskie wojska zwrócone w stronę murów odwróciły się jak jeden mąż tarczami i szpicami włóczni ku przerażonym wojownikom z obozowisk. Biali z rozpaczą ustawili się w szyku, a w chwilę później zostali zaatakowani od tyłu przez żądny krwi pościg. Dzidy wzniosły się do zadania ciosów i krew zabarwiła równinę przed miastem.

Conan ciął mieczem i dźgał włócznią, jednakowo traktując tych, którzy stawiali mu czoło i tych, którzy rzucali się do ucieczki. Po paru minutach szaleńcza walka zaczęła przypominać krwawą jatkę. Kiedy wybito wroga do nogi, Goma wydał rozkazy i armia stanęła w szyku.

- Ustawiłem żółte pióra na przedzie - wyjaśnił Conanowi. - Stanowią najsilniejszy pułk. Po nich idzie zielony. Jest mniejszy, ale w jego skład wchodzi wielu doświadczonych wojowników, którzy nie wpadną w popłoch, nawet gdyby pierwsza linia musiała się cofnąć. Za nimi czerwoni, gdyż są bliscy wyczerpania. Niebieskich ustawiłem daleko na lewej flance. Mają ściągnąć do nas swoich pobratymców.

Conan przyjrzał się fortyfikacjom miasta. Tłum oblegał mury, ale Cymmerianin nie dostrzegł swoich towarzyszy. Wyglądało na to, że Nabo nie zamierza bronić miasta, bowiem nie było widać wojowników, i nikt nie zabarykadował wejścia. Znad bramy sam Nabo obserwował nieoczekiwane widowisko. Po jego prawej stronie stała przygarbiona Aghla. Starucha miotała przekleństwa, które było słychać mimo panującego harmideru. Po lewej stronie Naba stał wysoki Sethmes.

Kiedy zakończono przygotowania, Goma zwrócił się do Conana.

- Rzucę teraz wyzwanie wujowi. Powie, że jestem oszustem, a ja

udowodnię, że nie. Powołam się na prawo jednej bitwy i on się zgodzi. Gdy dojdzie do starcia, musimy zetrzeć jego armię na proch. Zabijaj każdego. Nie może przeżyć nikt, kto walczy dla Naba. Ale nie wolno ci zaatakować jego samego. Tylko król może pokonać króla.

- Ale on nie jest królem - zauważył Gonan. - Jest uzurpatorem.

- Tym niemniej należy do mnie. Muszę go zabić i wszyscy muszą zobaczyć, że to zrobiłem.

- Jak chcesz, ale jeżeli mnie zaatakuje, to nie odpowiadam za siebie. Nikt, kto rzuca się na mnie z bronią, nie uchodzi z życiem.

- No to go unikaj - poradził ponuro Goma.

Kiedy wszystko było gotowe, król Goma przemaszerował przed armią. Wojownicy wzniesli okrzyk, od którego zadrżała ziemia. Zaczęli tłuc w tarcze włóczniami, a ich wrzaski zlały się w ekstatyczną pieśń oddania. Żołnierze z białymi piórami wyszli za bramę i uformowali szyk przed miastem. Za nimi ukazał się pułk błękitnych. Conan szybko ocenił stosunek sił. Biali i niebiescy, z żołnierzami Sethmesa licznie dorównywali wojsku Gomy. Dużo zależało od tego, po której stronie opowiedzą się błękitni. Ci z lewej flanki Gomy już pokrzykiwali do swoich byłych towarzyszy, którzy stali z kamiennymi twarzami.

Goma wzniosł topór i w szeregach zapadła cisza. Król zbliżył się do armii wroga na odległość rzutu włócznią i przemówił. Nabo milczał, ale Aghla zawołała coś, co wywołało śmiech wśród ludzi zebranych na murach. Wtedy Goma zdjął swoją czerwoną szatę i obnażył się do pasa. Conan nie mógł zobaczyć, co pokazał, ale ludzie na murach sapnęli i śmiech urwał się jak ucięty nożem. Król potrząsnął toporem i zawołał do Naba. Ten odpowiedział coś wyniośle. Cymmerianin domyślił się, że uzurpator nie przyjął wyzwania. Widział, że zwróceni w jego stronę wojownicy mają nieszczęśliwe miny, szczególnie ci z błękitnego pułku, i domyślił się, że Nabo powinien być przyjąć wyzwanie na pojedynek o tron. Odmowa władcy nadszarpnęła ich morale, co działało na korzyść Gomy.

Przed bramą miasta stanęli stygijscy żołnierze. Conan nie widział śladu bumbana. Wszyscy czekali w nerwowym milczeniu na początek krwawej bitwy.

Goma odwrócił się plecami do króla i ruszył do swoich szeregów. W tej samej chwili stygijski żołnierz podniósł coś do ramienia. Conan ruszył biegiem, nim kusznik zdążył wypuścić strzałę. Cymmerianin szarpnął króla za ramię, odciągając go na bok, gdy bełt przemknął obok nich z furkotem. Rozległ się głuchy odgłos uderzenia i głośny jęk. Stojący w pierwszym szeregu wojownik szarpnął pierzasty pocisk, który utkwiał mu w piersi. Niewielki otwór znaczył miejsce, w którym bełt przeszył skórzaną tarczę.

Goma zmarszczył czoło.

- Używają broni tchórzki przeciwko pomazańcowi?

- To najemnicy - powiedział Conan. - Jeden z nich dostrzegł szansę zabicia przywódcy wroga. - Obdarzył Gome wilczym uśmiechem. - Też byłem najemnikiem. Sam bym tak postąpił.

Nabo wrzasnął coś i jeden z jego wojowników odwrócił się i przebił włócznią kusznika. Sethmes spochmurniał, gdy uzurpator go skarcił.

- Swary między sprzymierzeńcami - zauważył Conan. - Tym lepiej dla nas.

- Dość tego - zdecydował Goma. - Pora zaczynać. Pragnę zasiąść na tronie moich przodków. - Zamachnął się toporem i zwrócił ostrze w stronę wroga. Żółci wojownicy z wyciem skoczyli do przodu. Conan i król pędzili razem z nimi. Zaczęła się bitwa o dolinę.

Walka była bezpardonowa, jedna bezlitosna siła mierzyła się z drugą równie bezlitosną. Włócznie trafiały w tarcze albo wchodziły w ciało. Maczugi wojenne miażdżyły czaszki, a krótkie miecze odrąbywały kończyny. W powietrzu czuć było odór świeżo rozlanej krwi. Niektórzy ludzie śpiewali, inni wyli, wielu jęczało z bólu. Mieszkańcy zebrani na murach rzucali przekleństwa albo słowa zachęty. Na sąsiednich wzgórzach zgromadzili się przybysze z okolicznych wiosek, aby obserwować niecodzienne widowisko.

Conan ciął i rąbał, szal bitewny narastał w nim jak przypływ. Po zabiciu wielu nieprzyjaciół drzewce jego włóczni pękło na ciężkiej tarczy. Chwyciwszy miecz oburącz, zamachnął się ze zdwojoną siłą i jednym ciosem przeciął tarczę, a drugim rozplątał jej właściciela.

W pobliżu Cymmerianina Goma kreślił toporem dzikie łuki, osłaniając się skutecznie niewielką tarczą. Wojownicy stawiający mu czoło jeszcze przed przystąpieniem do walki byli na wpeł przegrani, taką grozę budziło w nich jego królewskie pochodzenie. Wokół Conana i króla elitarni wojownicy z czarnymi piórami uwijali się niczym w ukropie.

Kiedy złamano szyki nieprzyjaciela, dowódcy Gomy wykrzyknęli rozkazy i do walki przystąpił zielony pułk. Biali byli bez szans, ale żaden wojownik nie próbował się poddać. Tego dnia nie było miłosierdzia.

Wtedy dowódca błękitnych podjął decyzję. Okazał się przemyślnym człowiekiem, gdyż nie kazał swoim ruszać do bitwy, gdzie w zamieszaniu obrywaliby od obu stron. Zamiast tego na jego komendę błękitni odwrócili się i przypuścili gwałtowny atak na stygijskich najemników, którzy blokowali bramę. Wyjąc z radości, błękitni z flanki Gomy skoczyli im z pomocą.

Tak więc toczyły się dwie niezależne bitwy: białych z pułkami Gomy i błękitnych ze Stygijczykami. Błękitni zaczęli ponosić ogromne straty. Dzięki zapał wojowników spotkał się z zimną, metodyczną dyscypliną doświadczonych żołnierzy. Jak zwykle dzieje się w takich sytuacjach, dyscyplina żołnierzy znaczyła więcej niż ich liczba. W walce najemników chroniły nie tylko tarcze, ale i walczący po obu stronach kompani, dzięki czemu mogli się skupić na ataku. Błękitnym trudno było wyrządzić przeciwnikowi poważne szkody z powodu zbroi, które nosili Stygijczycy. Brama i mur uniemożliwiały okrążenie oddziału najemników. Starcie tych dwóch wojsk przypominało maszynę do mielenia mięsa: bezlitosna stal cięła na strzępy nagie ciała. Błękitni stracili po pięciu wojowników za każdego zabitego Stygijczyka.

Tymczasem porzuceni przez błękitnych, pozbawieni wsparcia

Stygijczyków, biali zdecydowanie przegrywali. Niektórzy rzucali się do ucieczki, lecz czerwoni, którzy już nieco wypoczęli, dopędzali ich i zabijali bez odrobiny litości.

Zadowolony z przebiegu wydarzeń Goma wycofał się z walki. Odszukał Conana, który wspierał się na głowicy miecza wbitego w ziemię. Ręce i ciało miał złane krwią. Nadal nosił miedziany diadem, ale z trzech czarnych pióropuszy zostały żałosne strzępy. Odpoczywał, przypatrując się posępnie walce przy bramie.

- Widzę, żeś nie próżnował - rzekł Goma.

- Chyba nie, ale bitwa jeszcze nie jest skończona. Tamci dostają ciężkie baty.

- Tak, błękitni płacą krwią za popieranie Naba. To wystarczy. Ci, którzy przeżyją, zostaną hojnie nagrodzeni. - Potrząsnął głową. - Prawdziwi wojownicy nie powinni tak walczyć.

- Oni nie są wojownikami, a żołnierzami, wiernymi nie królowi czy generałowi, lecz żołdowi. Nieprzyjaciel nie zawsze wyświadcza grzeczność i walczy wedle twego upodobania.

- Jaka na to rada?

- Wstrzymaj walkę. Jak na razie tylko marnujesz siły. Zbierz ludzi i uderz dokładnie w środek szeregu najemników. Ludzie na przedzie ucierpią, ale w ten sposób złamiesz stygijskie szyki. Potem rozniesiesz ich na grotach włóczni.

- Rada brzmi rozsądnie. Zobaczmy, czy się sprawdzi. - Goma wezwał oficerów i razem z Cymmerianinem wdarli się między błękitnych. Oderwanie dzikich wojowników od walki nie było zadaniem łatwym, od czasu do czasu król musiał przylać jednemu czy drugiemu płazem topora, lecz wkrótce błękitni zostali odciągnięci i na polu bitwy chwilowo zapanował spokój.

Pod kierunkiem Conana Goma uformował oddział w klin, który skierował prosto w Stygijczyków.

Błękitni stali na przedzie, aby jeszcze raz udowodnić swoją lojalność.

Pomieszane pułki żółtych i czerwonych tworzyły resztę, czekała je bowiem nie bitwa w szeregach, ale wściekła walka na ograniczonej przestrzeni, mająca na celu rozbić ostatniego ogniska oporu.

Na murze mieszkańcy miasta zamarli w milczeniu. Nabo z furią patrzył na pocięte ciała swoich wojowników, a Aghla miotała się z przeraźliwym wrzaskiem, bliska apopleksji. Po Sethmesie nie został nawet ślad.

Conan i Goma stanęli z boku. Wnieśli do walki wkład większy od innych i ten ostatni etap miał się rozegrać bez ich udziału. Zwycięstwo zależało od siły i szybkości, nie od umiejętności. Cymmerianin popatrzył na stygijskich oficerów. Byli ponurzy, ale zdeterminowani. Przeżyli wiele ciężkich bitew i nie zamierzali poddać się rozpacz, kiedy przeciwko sobie mieli tylko dzikusów.

Na komendę Gomy wojownicy rzucili się do przodu. Szereg najemników cofnął się pod naporem przeciwnika. Ludzie padali po obu stronach, atakujący przeskakiwali nad ich ciałami. W środku powstał okropny zamęt, gdyż trawa zrobiła się śliska od przelewanej krwi i łatwo się było poślizgnąć. Pierwsi wojownicy zostali wycięci w jednej chwili, gdyż w takim szyku nie miał kto bronić ich boków. Gdy więcej ludzi wdarło się w utworzony wyłom, mogli się odwrócić i zaatakować wroga z boku. Zwarta obrona stygijska załamywała się. Dyscyplina straciła znaczenie i żołnierze, niezależnie jak doświadczeni, nie mogli się równać z hordą rozszalałych włóczników. Niedobitki stygijskiej formacji zostały zmiecione spod bramy i zwycięzcy wdarli się do miasta.

Za nimi podążyli Conan i król. Wojownicy ogarnięci szalem bitewnym siali spustoszenie i mieszkańcy umykali przed nimi w popłochu. Ludzie Gomy zabijali zarówno walczących, jak i cywilów.

- Lepiej weź swoich ludzi w garść - poradził Conan - bo nie będziesz miał kim władać.

Goma wzruszył ramionami.

- Mieszczuchy popierały Naba. Zabijanie wkrótce się skończy. Każdy władca, przyjacielu, uczy się jednej rzeczy: Zabici nie są niezastąpieni.

Codziennie rodzi się wielu ludzi.

Conan nie znalazł odpowiedzi na tę brutalną filozofię.

Prawdę mówiąc, po paru minutach szaleństwa zwycięzcy wojownicy ochłonęli i mordercza furia wygasła. Goma nakazał dowódcom systematyczne przeczesanie miasta. Chciał dostać w swoje ręce Naba, Aghlę i Sethmesa, najlepiej żywych. Zwłaszcza należało oszczędzić Naba.

Conan obejrzał poległych najemników i nie znalazł wśród nich oficerów: rudobrodego Khopshefa i czarnobrodego Gęba. Jakoś udało im się uciec z miasta. Czy towarzyszyli Sethmesowi, gdziekolwiek on był?

Podczas przeczesywania miasta ludzie króla znaleźli paru stygijskich najemników i wielu popleczników Naba, którzy czerpali zyski z jego rządów i skorzystali na śmierci ojca Gomy. Zostali zabici bez cienia litości. Wreszcie wszyscy stłoczyli się na placu przed kamienną wieżą. Gdy zwycięzcy wojownicy wznosili triumfalne okrzyki, Goma wysunął się do przodu. Wspiął się na podium i skinął głową zebrany. Krzyknął coś, potem ponownie się obnażył do pasa. Znowu zapadła nabożna cisza, ludzie skłonili się i wzniesli ręce, skierowane wnętrzem dłoni w stronę króla.

Tym razem Cymmerianin zobaczył, co pokazał Goma. Była to lśniaca, czarna blizna: trójzęb o falistych szpicach wpisany w półksiężyc. Wódz ruchem ręki wezwał Conana na podium.

- Pokazałem swemu ludowi oznakę prawa do tronu. Przez sto pokoleń następcom króla wycinano na piersiach znak starożytnego strażnika przełęczcy.

- Widziałem już taki - przyznał Cymmerianin.

- Teraz rzucę Nabowi ponowne wyzwanie. Tym razem musi je przyjąć, bo nie ma nic do stracenia. Chcę, żebyś pilnował, aby walka odbyła się uczciwie.

- Jak sobie życzysz. Ale zdobyłeś tron w bitwie. Dlaczego ryzykujesz jego utratę?

- Nabo, chociaż uzurpator, był jednak królem. Tylko król może zabić

króla.

- Zatem każ swoim ludziom przywlec go tutaj, żebyś mógł mu ściąć głowę - podpowiedział Conan. - Bądź rozsądny, człowieku! Nie spałeś. Maszerowałeś całą noc i walczyłeś przez cały ranek, a potem brałeś udział w bitwie przed miastem. W tym czasie on tylko przyglądał się śmierci innych.

- Nieważne, taki jest obyczaj. Ludzie muszą zobaczyć, jak zwyciężam i zabijam Naba, bo inaczej moje panowanie nie będzie łatwe. - Goma wypowiedział te słowa zdecydowanie, równie stanowczo rzucił wyzwanie człowiekowi w wieży. Zapadła długa, pełna napięcia cisza, potem w budynku zaczął się jakiś ruch. Ukazał się sznur sług królewskich: tancerzy, służących i artystów, których Conan oglądał wcześniej, potem z mroku wyłonił się kat z twarzą wymalowaną na podobieństwo trupiej czaszki. Ostatni wyszedł sam Nabo, kroczący z dumą pokonanego lwa. Nigdzie nie było widać Aghli. Conan ujrzał Khefię i skinął, by niewolnik stanął u jego boku.

- Musisz mi tłumaczyć, co mówią - rozkazał.

- A wstawisz się za mną u nowego króla? - zapytał Khefi z przerażeniem w głosie.

- Tak, służyłeś mi dobrze. Rób tak dalej, a przekonam Gome, żeś spełniał tylko swój obowiązek. Myślę, że nagrodzi cię za twoje usługi.

- Dzięki ci, panie - rzekł Khefi z ulgą.

- A teraz powiedz mi, co z moimi przyjaciółmi?

- Sethmes i król wpadli w wielki gniew, gdy tak przemyślnie uciekłeś. Aghla wrzeszczała, że przybyszów z północy trzeba natychmiast rzucić bogu jeziora, lecz stygijski kapłan powiedział, że należy oszczędzić przynajmniej białą kobietę. Nabo też się sprzeciwił. Oznajmił, że nie panują już nad bogiem jeziora i że trzeba mu pozwolić się zanurzyć i uspokoić.

Zeszłej nocy przyprowadzono trzech białych mężczyzn, aby złożyć ich w ofierze, lecz bóg jeziora nie pojawił się, mimo wezwań Aghli. To bardzo rozwścieczyły się wyrastać z nagiej skały, a krystaliczne formacje wyglądały jak rośliny. Widzieli niby-drzewo, które miało pień, wysoki niczym

maszt i okryty korą, ale koronę tworzyły mięsiste i kolczaste łodygi kaktusa.

Niskie chmury spowiły okolicę, zraszając wszystko mżawką. Wystrzępione już ubrania wędrowców zaczęły się rozpadać, i stale trzeba było pilnować, żeby rdza nie pokryła broni. Na pewnej wysokości w końcu mogli porzucić łożysko. Grunt między dziwnymi roślinami i skałami był porośnięty miękkim mchem, na którym wypoczywały stopy poobcierane w trakcie wspinaczki po głazach.

- Jak ty to znosisz, Conanie? - zapytała Malia. Trzęsa się w chłodnej mgie poranka, ale do niego ziaęb jakby nie miał dostępu. - Jesteś ubrany bardziej skąpo od tancerki z Shadizaru, ale zachowujesz się tak, jakby było letnie popołudnie w Tarancii. Podczas gdy my jęczymy przez całą noc z braku wygodnego posłania, ty zwijasz się na skale i zasypiasz niczym dwuletnie dziecko. Jesteśmy zmordowani, a jednak ty wyglądasz lepiej niż w Asgalunie!

- Pochodzę z dzikiego kraju i z twardej rasy. To, co jest ciężkie dla ciebie, w Cymmerii jest na porządku dziennym.

Zadrzała.

- Widziałam w życiu paru twardych mężczyzn, żołnierzy, awanturników i wodzów, ale żaden nie może się równać z tobą. - Przyglądała mu się otwarcie i w jej oczach zobaczył podziw.

Musiała wyęteżać wszystkie siły, żeby za nim nadążyć. Jego długi krok zmuszał ją prawie do biegu. Cymmerianin poruszał się z gracją, do której nie umywał się wdzięk rasowego wierzchowca. Kiedy Malia patrzyła na innych, widziała tylko sapiące usta i strudzone nogi, przenoszące z miejsca na miejsce bezwładne ciała. Conan poruszał się zupełnie inaczej, płynnie i harmonijnie. Wysiłek fizyczny usunął ostatnie ślady tłuszczu i pod brązową skórą grały potężne mięśnie. Nawet jego długie włosy lekko falowały na wietrze. Skóra, z wyjątkiem licznych blizn, była lśniąca i gładka. W spalonej słońcem twarzy błyskały niebieskie oczy, przenikliwe niczym ślepie orła.

Z pozostałych podróżników tylko Goma mógł się równać z Conanem pod względem budowy, ale ciemnoskóry przewodnik zwykle był tak

pogrążony w myślach, że przez większość czasu wydawał się nieobecny. Conana zauważało się natychmiast. Jego zainteresowanie wszystkim, co się działo, i nigdy nie słabnąca czujność sprawiły, że był żywotniejszy od innych.

Kiedyś Malia zobaczyła, jak stado podobnych do bażantów ptaków wyfrunęło nagle spod nóg Cymmerianina. Conan złapał ptaka z szybkością stalowego potrzasku, uśmiercając go w jednej chwili. Kobieta przyglądała się w zadumie, jak barbarzyńca wiesza ptaka u pasa, żeby go później oskubać i oczyścić. Gdyby nie widziała tego wyczynu na własne oczy, nigdy nie uwierzyłaby, iż człowiek może być taki szybki. A jednak, kiedy Cymmerianin odpoczywał, trwał w całkowitym bezruchu, nigdy nie wiercił się ani nie przewracał z boku na bok jak inni.

Została wyrwana z tych przyjemnych rozmyślań, gdy Conan podniósł rękę.

- Stój - nakazał cicho.

- O co chodzi?

Znieruchomiał, jego nozdrza rozdymały się, oczy omiały teren. Inni zrównali się z nimi.

- Co się stało? - zapytał Ulfilo. Szybko przyzwyczał się do wspinaczki i oddychał regularnie, bez wysiłku. Springald i Wulfrede przybyli razem z Goma.

- Widzisz to? - powiedział Conan do przewodnika.

- Tak.

- Co ma widzieć? - zapytał Springald z rozdrażnieniem.

- Znak, że możemy nie być sami - odparł Cymmerianin. - Idziemy powoli, z bronią w pogotowiu.

- Trzymaj się za nami, Malio - nakazał Ulfilo. Stał zaszemrała o drewno, gdy dobywał wielki miecz.

Conan i Goma szli dwadzieścia kroków przed innymi. Ich głowy obracały się na wszystkie strony, wyglądali jak psy myśliwskie na tropie. Zatrzymali się przy czymś, co wyglądało jak palenisko ułożone z kamieni i

zaczekali na pozostałych.

- Schowajcie broń - powiedział Cymmerianin. - Nie było ich tu od dawna.

- Nie było ich? Kogo? - zapytał Ulfilo. - Na Mitrę!

Kamienie otaczały ogromne zagłębienie. W dole, wśród węgla i popiołu, leżały ogryzione do. czysta kości. Ludzkie kości. Inne były rozrzucone dookoła.

- Najpierw zobaczyłem błysk kości - wyjaśnił Conan. - Potem kamienie.

- Długie kości zostały rozłupane, żeby wysać szpik - rzekł poblady Springald. - Ucztowali tu ludożercy.

- Nie ludożercy - poprawił Goma. - Bumbana.

- Co to są bumbana? - zapytał Wulfrede.

- Pół ludzie, pół małpy. Grasują w tych górach, szukając ofiar. Znają ogień, ale nie posługują się mową zrozumiałą dla człowieka.

- Wiadomo więc, kto ucztował - powiedział Springald, odzyskując powoli zimną krew. - Ale kto służył za danie?

- Poszukajmy czegoś, co pomoże nam odpowiedzieć na to pytanie - zaproponował Conan. - Te szczątki leżą tu od wielu miesięcy. Zachowały się tylko dzięki temu, że na tej wysokości nie ma hien ani innych wielkich padlinożerców. Drewno i materiały zgniły, ale być może został metal.

Wszyscy poza Springaldem, który zaczął oglądać kości, przystąpili do poszukiwań.

- Patrzcie! - krzyknął jeden z marynarzy, podnosząc coś błyszczącego. Stłoczyli się wokół niego i przekazywali sobie znalezisko z ręki do ręki. Była to brosza, wysadzana szlachetnymi kamieniami i ozdobiona dziwnymi wzorami.

- Pochodzi z nie znanej mi części świata - oświadczył Wulfrede z podnieceniem. - A przez moje ręce przeszły skarby z wielu krajów.

- Ci ludzie musieli przybyć tu zza gór - dodał Ulfilo.

- Być może - powiedział Springald. - Nie ma mowy, żeby pochodzili

stąd. Chodźcie i popatrzcie.

Podeszli do uczonego, który siedział na skraju kamiennego kręgu z kolekcją kości u stóp, i trzymał czaszkę. Widniały na niej cztery głębokie rowki tworzące kwadrat. Wokół nich kość była cienka i porowata.

- Jak widzicie, to fragment czaszki, usunięty bez wątpienia po to, by dostać się do mózgu. Widocznie wśród bumbana mózg uchodzi za przysmak.

- Malia zaczęła się krztusić, ale Springald kontynuował niewzruszenie: - Ten człowiek był niegdyś poddany trepanacji. To oznacza, że jego czaszka została otwarta z powodu choroby lub rany. Takie operacje wykonują tylko najbardziej doświadczeni chirurdzy w Nemedii. Używają jedwabnego sznura, którym po zanurzeniu w pyle diamentowym przeciągają po czaszce jak giętką piłą. Ta operacja się udała, i kość zrosła się wiele lat temu. I spójrzcie tutaj. - Podniósł żuchwę. Przy jednym zębem błysnęło złoto. - Ten człowiek stracił trzy zęby, które uzupełniono, stosując metodę Stygijczyków. Polega ona na tym, że wyrywa się niewolnikowi zęby i odpiłowuje korzenie. Potem wiąże się je cieniutkim złotym drucikiem i przymocowuje do zdrowych zębów. Myślę, że mamy przed sobą szczątki członków ekspedycji Marandos.

- Ale której ekspedycji? - zapytał Ulfilo.

- I kogo? - dodała Malia bez tchu. - Czy mój mąż mógł być wśród nich?

- Trudno powiedzieć - mruknął Springald, patrząc na ogryzione kości. - Czy Marandos miał jakieś złamania albo czy może przechodził operacje, które mogłyby zostawić znaki na kościach?

- Żadnych - odparła żałośnie.

- To głupie pytania! - zawołał jeden z marynarzy, szczerbaty wilk morski z chustką na głowie, kolczykami w uszach i rubinem w nosie. Szyderczy grymas wykrzywił jego paskudną twarz. - Kogo obchodzi, kim byli? Nie pisaliśmy się na tę wyprawę, żeby mieć do czynienia z pożerającymi ludzi małpami!

Poparli go inni żeglarze. Conan i Ulfilo mieli zamiar wyciągnąć miecze, ale przemknął obok nich Wulfrede.

- Ja to załatwię - mruknął. Podszedł do pyskacza, zły jak stary basior, którego przywództwo zostało wystawione na próbę.

- Co jest, Blamath? Chciałbyś być kapitanem, ty bękarcu synu zarażonej matki? Myślisz, że potrafisz sam pokierować takim statkiem jak „Tygrys”? - Roześmiał się głośno i z pogardą. - Nie odpłynąłbyś o rzut włócznią od brzegu! Poszedłbyś na dno i twoi kumple staliby się żarciem dla ryb!

- Słuchaj, kapitanie - warknął majtek. - Nie mówię o żadnym buncie, ale jesteśmy żeglarzami, a nie włóczącymi się na piechotę żołnierzami. Jaki mamy interes, by obijać się po tych górach, w dodatku na rozkaz tych aquilońskich paniątek?

- Jaki interes? - ryknął Wulfrede. - Jaki interes, pytasz? - Podsunął błyszczącą broszę pod nos mężczyzny. - Taki interes ci nie starczy? Nie chciałbyś znaleźć tego więcej? Ta błyskotka jest warta dwóch lat marynarskiej harówki! Parę takich świecidełek i, człowieku, już nigdy nie będziesz musiał służyć na statku! Nie warto trochę pocierpieć? Czy życie na morzu jest tak łatwe i bezpieczne, że przeraża was ta wycieczka i być może bijatyka? Nigdy wcześniej na moim okręcie nie pływały takie tchórzliwe psy, dlaczego bogowie morza teraz tak mnie przekleli? - zakończył. Jego ludzie rzucili się z zapewnieniami, że pójdą za nim choćby do piekła.

- Prowadź nas, kapitanie! - zawołał kościsty Zingarańczyk o pokiereszowanej twarzy. - Prowadź nas do skarbów!

- Tak! - krzyknął Kushyta z rekinimi zębami we włosach. - Wiedź nas do złota i klejnotów, a zabijemy twoich wrogów i wypijemy ich krew!

Marynarz imieniem Blamath skulił się, żałując nieopatrnych słów.

- Tak jest lepiej - oświadczył wylewnie Wulfrede. - Myślę, że znowu mam za sobą ludzi! Dalej, wracajcie do poszukiwań i przynoscie wszystko, co mogłoby nam powiedzieć, kim byli ci nieszczęśnicy. A zedrę skórę z każdego, kto spróbuje schować jakieś cenne przedmioty! To nie po marynarzku! Ruszać!

Ludzie skoczyli z takim wigorem, jak do trymowania żagli na morzu.

Kapitan wrócił do grupy zebranej wokół paleniska.

- Posuniecie godne mistrza - pochwalił z podziwem Springald.

- Nieźle poszło - przyznał Wulfrede. - Ale ci chłopcy są kapryśni jak dzieci. Niedługo trzeba będzie powtórzyć lekcję.

- Wydaje się, że z każdym dniem podróży skarb rozpada się na coraz więcej części - stwierdził kwaśno Ulfilo.

Wulfrede wyszczerzył zęby.

- Słuchaj, przyjacielu, chyba się nie spodziewałeś, że za darmo poprowadzę te psy morskie do skarbu i każę im nieść go dla ciebie na plecach? Jeżeli tak, jesteś durniem, jakiego nikt nigdy nie widział.

Ulfilo poczerwieniał, ale zbyt zniewagę milczeniem.

- On ma rację - powiedziała Malia. - Musimy dopuścić ich do udziału albo walczyć z nimi o wszystko. A ktoś musi obsadzić statek!

Poszukiwania nie przyniosły efektów i w ciągu godziny wznowili wędrówkę. Marynarze, którzy wcześniej szli rozciągnięci, teraz zbili się w ciasną grupę, mając zawsze pod ręką broń. Dobrze pamiętali upiorne resztki uczty ludożerców.

Tej nocy wszyscy skupili się wokół ognisk, a marynarze podskakiwali trwożliwie na każdy odgłos. Jeśli Aquilończycy odczuwali podobny niepokój, dobrze ukrywali swoje obawy. Conan patrolował otoczenie obozu, lecz nie znalazł ani nie usłyszał niczego podejrzanego. Mimo wszystko tej nocy spał czujniej niż zazwyczaj.

Następnego dnia wspięli się na szczyt góry i zobaczyli przełęcz. Nie było to zwyczajne obniżenie grzbietu. W odległych czasach góra pękła i powstało wąskie przejście ograniczone stromymi, prawie pionowymi ścianami. Podłoże przełęczą pokrywała cienka warstwa gleby, ale niewiele na niej rosło, gdyż urwiska odcinały dopływ życiodajnego słońca.

- Nareszcie! - zawołał Wulfrede. - Jeszcze tylko spacerem tym wygodnym korytarzem i ruszymy na dół!

Marynarze roześmieli się i w lepszych nastrojach skierowali ku

przełęcz. Conana i Goma wyprzedzili ich, ostrożni jak zawsze. Twarde i awanturnicze życie nauczyło Cymmerianina, że nie wszystko bywa tak łatwe, jak wygląda. Okolica budziła jego niepokój.

- Jak każdy inny lubię prostą drogę bez przeszkód - rzekł do swojego towarzysza - ale nigdy nie podobały mi się przejścia ciasne i wąskie, gdzie brak miejsca na manewry i gdzie człowiekowi pozostaje niewielki wybór - albowiem ja, i starucha chciała zabić więźniów na miejscu, ale Nabo kazał oszczędzić ich na następny wieczór. Teraz myślę, że nie doczeka zachodu słońca.

- Też tak sądzę - mruknął Conan. - Gdzie jest Aghla?

- Nie wiem. Kiedy król zszedł z murów, wszyscy słudzy zebrali się w wielkiej sali, żeby poznać swój los. Wiedźma wróciła razem z królem, a potem zniknęła gdzieś w wieży.

- A kapłan?

- Przyszedł jeszcze przed królem. Byli z nim jego dwaj oficerowie. Ostatni raz widziałem ich, gdy biegli w kierunku lochów, w których są trzymani więźniowie.

- Oby Crom przeklął tego człowieka! Co on zamierza? - Cymmerianin był ogromnie ciekaw, co się stało z jego towarzyszami, ale najpierw musiał się zorientować, co się dzieje tutaj. Dwaj królowie uczestniczyli w skomplikowanym rytuale, który wyglądał prawie jak taniec, gdy przeciwnicy ze śpiewem krążyli wokół siebie. Conan zapytał, o co chodzi.

- Królowie rzucają sobie wyzwania i śpiewnie recytują imiona przodków. Skoro są krewnymi, ich pochodzenie jest dokładnie takie samo. Nabo twierdzi, że tron należy do niego, Goma utrzymuje podobnie. Ceremonia jest czystą formalnością, skoro wszyscy wiedzą, że to Goma j przedzierać się do przodu, albo zawrócić i zmykać.

- Tak, mądre słowa - przyznał Goma - lecz mogłoby być gorzej. Wystarczy miejsca, aby się zamachnąć mieczem lub toporem.

- Tak... a cóż to takiego? - Conan wskazał coś wysoko na skalnej

ścianie. Wyglądało to na płaskorzeźbę, zniszczoną przez wodę skapującą z urwistych ścian.

- Znak na kamieniu. - Goma wzruszył ramionami. - Co z tego?

Stanąwszy na palcach, Cymmerianin sięgnął do znaku. Porastał go mech, a niezliczone lata zatarły niegdyś wyraźne kontury, jednak był dość czytelny: owalna rama, a w niej trójzęb o falistych ostrzach zamknięty w sierpie księżycy.

- Coście znaleźli? - zawołał Springald.

- Coś, co wymaga wyjaśnienia - odburknął zezłoszczony Conan. - Powiedz mi, co wasza trójka robi... - Jego słowa ucięło dzikie, nieludzkie wycie. Pochłonięty znaleziskiem, nie zauważył nadejścia wroga.

- Bumbana! - krzyknął Goma.

Ze wschodniego krańca przełęcz runęła ku nim masa kudłatych stworów. Miały ludzkie kształty, jednak były potężniej zbudowane.

- Nadchodzą pożeracze ludzi! - wrzasnął jeden z marynarzy. - Uciekać!

- Nie, za nami jest więcej tych diabłów! - ryknął Wulfrede. - Wytniemy sobie drogę albo zginiemy tutaj! Do broni, psy!

Conan zatoczył mieczem krótki łuk, tnąc przez pierś jedno ze stworzeń. Miał wrażenie, że składa się ono jedynie z mięśni, kłów i cuchnącego oddechu. Małpolud atakował z tak wielkim impetem, że jego martwe już cielsko popchnęło Cymmerianina w tył kilka kroków, gdy ten próbował wyszarpnąć głownię.

Goma zabił dwa małpoludy szybkimi ciosami siekiery. Ulfilo miał spustoszenie utrzymanym oburącz mieczem. Wulfrede zaczął śpiewać vanirską pieśń bojową. Od czasu do czasu łapał jakiegoś marynarza i wypychał na pierwszą linię, aby odciążyć walczących zażarcie przywódców. Pozostali majtkowie dźgali z drugiego szeregu dzidami. Wszyscy byli doświadczonymi zabijakami, ale nie obyło się bez ofiar. Posiadający nadludzką siłę i żywotność bumbana zdołali wyciągnąć paru nieszczęśników i rozerwać na strzępy gołymi łapami. Ich jedyną bronią stanowiły prymitywne maczugi. Nieliczni w łapach

ściskali ostre odłamki skał.

Stopniowo, krok po kroku, ludzie spychali bumbana w stronę wylotu przełęczy. Mdląca woń krwi i wnętrzności tłumiła nawet odrażający smród prawowitym władcą.

- A jeśli Nabo wygra? Co wtedy?

- Wówczas ludzie muszą mu złożyć przysięgę wierności.

- Co? - zapytał wzburzony Conan. - Po całym tym rozlewie krwi Nabo mógłby odzyskać tron dzięki wygraniu jednego pojedyńku?

- Oczywiście. To oznaczałoby, że bogowie chcą, aby był królem. Wcześniej buntownicy wierzyli, że syn starego króla żyje i wyczekiwali jego powrotu. Jeżeli teraz Goma zginie, nie będą mieli nikogo, kto mógłby go zastąpić.

Conan potrząsnął głową.

- Nigdy nie zrozumieję tego ludu.

Rytuał dobiegł końca i sługa podał Nabowi oręż: małą tarczę i krótką włócznię. Jej drzewce mierzyło mniej niż dwie stopy, ostrze zaś, ostre niczym igła, było długie jak męskie przedramię i szerokie jak dwie złożone dłonie.

Na placu zapadła cisza. Przeciwnicy stanęli naprzeciw siebie, potem podnieśli tarcze. Na ten znak rozległo się bicie w bębny. Dwaj mężczyźni krążyli czujnie, osłaniając się małymi tarczami. Nabo trzymał włócznię nisko, mierząc w brzuch przeciwnika. Wydawało się, że Goma niedbale zarzucił topór na ramię, ale Cymmerianin widział, że broń nie dotyka skóry, i że król jest napięty jak cięciwa.

Nabo z wyciem zaatakował. Goma zasłonił się tarczą i zadał trzy szybkie ciosy. Siekiera śmigła w powietrzu z niewiarygodną szybkością, przy czym król zdawał się poruszać jedynie nadgarstkiem. Uskakując i zręcznie osłaniając się tarczą, Nabo zdołał uratować skórę. Pot zrosił jego ozdobione tatuażami czoło, twarz wykrzywiła się we wściekłym grymasie.

Wyrzuciwszy tarczę w stronę twarzy przeciwnika, Nabo wycelował broń w jego nogi, posługując się włócznią jak krótkim mieczem. Goma uskoczył

przed pierwszym cięciem, ale ostrze rozorało mu prawe udo. Nabo wyszczerzył zęby i krzyknął.

- Już głosi zwycięstwo - wyszeptał Khefi.
- Za szybko - odmruknął Conan. - To draśnięcie.

Król nie zwrócił uwagi na zranienie. Wyprowadził kolejną serię błyskawicznych ciosów, mierząc raz w głowę, raz w kolana przeciwnika. Po jednym niecelnym ciosie Goma nieoczekiwanie zaatakował drugim ostrzem topora. Uzurpator w ostatniej chwili nadstawił tarczę i broń wgrzyła się głęboko w skórę hipopotama. Król chwycił stylisko oburącz i szarpnął ze wszystkich sił. Mało brakowało, a Nabo runąłby jak długi, ale Goma musiał uwolnić broń, co dało uzurpatorowi chwilę na odzyskanie równowagi.

Nabo ujął włócznię w obie ręce i rzucił się na przeciwnika, nie dając mu czasu na przystąpienie do ataku. Conan wiedział, że Goma ma przewagę, walcząc toporem o długim stylisku, i Nabo równie dobrze zdawał sobie z tego sprawę. Uzurpator z wrzaskiem zacisnął lewą rękę na prawym nadgarstku przeciwnika i wymierzył zdradliwy cios w brzuch.

Goma w ostatniej chwili zdążył obniżyć tarczę, potem odrzucił ją, żeby zwrzeć się z Nabem. Teraz trzymali się za nadgarstki i próbowali odsunąć broń przeciwnika jak najdalej od siebie. Conan bał się, że król jest bliski wyczerpania. Potem jego uwagę przyciągnął jakiś ruch. Za plecami Górny dyskretnie ustawiał się kat.

Cymmerianin zobaczył, że Nabo, świadom tego manewru, kieruje walką tak, by kark przeciwnika był zwrócony w stronę oprawcy. Conan widział, że uzurpator traci siły. Ten desperacki krok musiał być zaplanowany wcześniej. Najwyraźniej Nabo nie do końca szanował tradycję.

Kat skoczył i wzniósł broń. Był szybki, ale Conan dorównywał szybkością atakującemu tygrysowi. Jego miecz zakreślił łuk, odrąbując po drodze ramię oprawcy wzniesione do ciosu. Drugi cios ściał głowę, która poleciała w tłum. Złapał ją jakiś wojownik i z szerokim uśmiechem podrzucił wysoko. Zebrani głośnym sapnięciem wyrazili niezadowolenie z podstępem

Naba.

Teraz Goma wyszczerzył zęby w uśmiechu, gdy spychał przeciwnika w kierunku skraju podium. Twarz uzurpatora wyrażała najpierw wściekłość, potem niepokój, wreszcie bezbrzeżne przerażenie; przewracał oczyma i bryzgał śliną. Goma zebrał resztę sił i wykręcił do środka jego prawą rękę. Rozległ się głośny trzask pękającej kości. Uzurpator został przeszyty własną włócznią.

Goma rozluźnił uchwyt i się cofnął. Nabo stał jeszcze, z twarzą skurczoną w agonii. Z wyciem triumfalnej wściekłości Goma złapał topór oburącz, zatoczył w powietrzu wielki krąg i rozplatał pierś uzurpatora. Ciało chwiało się przez chwilę, po czym runęło na podium, bluzgając naokoło krwią i wnętrznościami.

Goma wzniosł wysoko zakrwawiony oręż. Tłum wpadł w szal. Tancerze rzucili się do spontanicznego tańca, a muzycy zaczęli naraz grać. Naczelnicy i kapitanowie padli do stóp Górny i bili czołami w skrwawione kamienie, okazując swoje posłuszeństwo.

Dolina miała nowego króla.

XVII

SKARB PYTHONU

- A niech to Crom! - zaklął Conan. Sprawdził wewnątrz całej wieży i nie znalazł swoich towarzyszy. - Gdzie oni są?

Na zewnątrz Goma nadal przyjmował hołdy swoich poddanych. Cymmerianin, klnąc niecierpliwie, wybiegł na taras wychodzący na jezioro. Daleko na powierzchni wody zobaczył niewielki obiekt. Bystre oczy powiedziały mu, że to rybacka łódka. Kierowała się prosto ku warowni po drugiej stronie jeziora. Cymmerianin rozejrzał się i stwierdził, że Stygijczyk nie pomyślał o zniszczeniu innych łodzi.

Wrócił spieszenie do wieży, gdzie panowało wielkie zamieszanie.

Przyszedł Goma, a z nim wiwatujący tłum. Kobiety przyniosły czyste szaty i dzbany wody. Gdy król rozmawiał z naczelnikami, zmywały z niego pot i krew. Goma podniósł głowę i uśmiechnął się szeroko do Conana.

- Czyż nie była to świetna walka, przyjacielu?

- Oczywiście.

- Powiedziano mi, jak zabiłeś kata, bo ja sam nie miałem czasu się temu przyglądać. Był to tchórzliwy podstęp ze strony Naba. Spodziewałem się czegoś takiego, dlatego chciałem, żebyś strzegł moich tyłów. Jestem ci wdzięczny. Powiedz, czego chcesz w nagrodę.

- Nie czas na to. Stygijczyk uciekł i teraz jest na jeziorze, zmierzając ku warowni i skarbowi. Zabrał z sobą moich towarzyszy.

Goma wzruszył ramionami.

- Niebawem pošlę ludzi, żeby ich otoczyli. Teraz odpocznijmy i napawajmy się zwycięstwem.

- Nie, dopóki ta sprawa nie zostanie zakończona - powiedział Conan. - Aghla jest z nimi, i kto wie, jaki podstęp planuje ta stara wiedźma?

Goma ściągnął brwi.

- Aghla! Pragnąłem jej śmierci równie mocno, jak i zgonu Naba! Tak, musimy coś z tym zrobić.

- Kto teraz strzeże warowni?

- Wszyscy wojownicy, od czternastoletnich chłopców, są tutaj. Zostawiliśmy tylko kobiety, dzieci oraz starców, i większość z nich zapewne jest teraz w drodze do miasta. Przypuszczam, że warownia jest wyludniona. A ja muszę się zająć pewnymi sprawami na miejscu.

- Zatem daj mi silnych wioślarzy, a popędzę za Stygijczykami.

- Doskonale. - Goma wydał rozkaz i z tłumu wysunęło się dwudziestu ludzi.

Conan wybrał sześciu, potem zwrócił się do Khefiego.

- Pójdiesz ze mną. Być może będę potrzebował twoich umiejętności.

- Na jezioro? - zapytał niespokojnie niewolnik.

- Tak. Ten potwór pojawia się tylko w nocy, prawda? Gdyby było inaczej, jak ludzie mogliby wypływać na połowy? - Za pośrednictwem Khefięgo wydał rozkazy sześciu młodym wojownikom.

- Dobrych łowów, Conanie - powiedział nowy król. - Przywieź mi głowę wstrętnej Aghli, a twoja nagroda będzie jeszcze większa.

Cymmerianin wybiegł i pospieszył długimi schodami nad jezioro. Przy pomocy stało dziesięć smukłych rybackich łodzi. Conan wskazał tę, która wyglądała na najmocniejszą. Wojownicy zepchnęli ją na wodę, potem wskoczyli do środka i chwycili za wiosła. Conan i Khefi zajęli miejsca na rufie. Pomknęli ku środkowi jeziora.

Mimo pewności, z jaką wcześniej przemawiał do tłumacza, Cymmerianin z niepokojem wypływał na jezioro. W dzień czy w nocy, było to złe miejsce i gdzieś w toni czyhał potwór. Tylko konieczność pośpiechu zmusiła go do wypuszczenia się na terytorium potwora w kruchej rybackiej łódce. Chcąc opłukać miecz, zamierzał zanurzyć go w wodę. Powstrzymał się w ostatniej chwili. Z tego, co wiedział, smak krwi mógł zwabić potwora.

Cymmerianin próbował wypatrzeć wyprzedzającą ich łódź, ale z jeziora zaczęły się podnosić mleczne opary, skrywając ją przed wzrokiem Conana. Pojawienie się mgły o tej porze dnia zwiększyło obawy Cymmerianina. Na powierzchnię zaczęły wypływać różne stworzenia. Wodę przed dziobem przecięły splątane macki.

- To nie w porządku - rzekł Khefi, wybałuszając oczy na wypływające ze wszystkich stron stworzenia. - O tej porze jezioro powinno być spokojne. - Wojownicy wyraźnie byli poruszeni. Nie brakowało im odwagi, ale tutaj, na koszmarnym jeziorze, strach nie przynosił wstydu.

- Szybciej wiosłować! - rozkazał Conan. - Im szybciej dotrzemy do brzegu, tym szybciej będziemy bezpieczni!

Kolor wody stał się intensywniejszy, ale brzeg na szczęście był już niedaleko. Wioślarze pracowali jak szaleni, zostawiając za rufą łodzi spieniony kilwater. Conan zobaczył przyczynę nie- bezpieczeństwa. Na brzegu tańczyła i

wrzeszczała pokraczna Aghla. Wzywała mieszkańców jeziora, aby rozprawili się z jej wrogami.

Wojownicy wrzasnęli, gdy w pobliżu łodzi, nieomal ją wywracając, wynurzył się stwór podobny do ośmiornicy. Od tułowia oderwała się tłusta macka, śmignęła w powietrzu i porwała jednego z wioślarzy. W cielsku otworzył się papuzi dziób. Gdy zamknął się na wrzeszczącym człowieku, wojownicy cisnęli włócznie. Dziób rozwarł się, a potwór z sykiem, rzygając cuchnącą posoką, zniknął pod powierzchnią.

Khefi złapał wiosło pechowego krajowca i zaczął wywijać nim co prawda z niewielką wprawą, ale za to wielką energią. Wokół nich pojawiały się inne koszmarnie dziwolągi. Podobny do rekina stwór wybił się w powietrze i przeskakując nad łodzią, pochwycił następną ofiarę. Zniknął po drugiej stronie, zaciskając zębate szczęki na ciele szamocącego się wioślarza.

Dziób zazgrzytał o piasek i Cymmerianin jednym skokiem pokonał odległość dzielącą go od suchego gruntu. Pozostali spieszenie poszli w jego ślady, niemal pochlipując z przerażenia. Odrażające stworzenia kłębiły się przy brzegu i wyskakiwały za nimi z wody, ale nie były już groźne. Wojownicy dźgali je włóczniami, dając upust zrodzonej ze strachu wściekłości.

Conan zobaczył, że Aghla czmycha spieszenie w bezpieczne miejsce. Cymmerianin rzucił się w pościg, pragnąc rozplatać na dwoje złą, starą jędzę. Miał za sobą dwa długie, ciężkie dni bez snu, ale w swoim awanturniczym życiu znosił gorsze rzeczy. Jego stalowe mięśnie były odporne na zmęczenie, które mogłoby zabić cywilizowanego człowieka. Był pewien, że dopędzi staruchę bez problemów.

Okazało się, że nie miał racji. Gdy od bramy warowni dzieliło go jeszcze dwadzieścia susów, starucha zniknęła za murami. Cymmerianin skoczył do środka i wzniosł włócznię do ciosu, lecz nie zobaczył nikogo. Chaty były wyludnione, stara jędza zniknęła z zasięgu wzroku.

Parę minut później przybyli wojownicy z tłumaczem. Czterej młodzi ludzie wyglądali normalnie, ale Khefi, przywykły do wygodnego, chociaż

ryzykownego życia na dworze, sapał jak kowalskie miechy.

- Zabita? - wydyszał.

- Nie, niech ją Crom przeklnie, uciekła. Musimy ją znaleźć, nim przygotuje nam następną magiczną niespodziankę. Podejrzewam, że uciekła do wieży. Tam powinniśmy znaleźć też innych.

Wojownicy powiedzieli coś do Khefiego.

- Chcą wiedzieć, czy tym razem będą walczyć z ludźmi.

- Tak, będą zabijać ludzi - zapewnił ich Conan. Wojownicy powitali te słowa uśmiechem. Z dala od przekłętego jeziora, wróciła im odwaga. Nie bali się niczego, co chodziło po suchym lądzie.

Cymmerianin poprowadził ich w kierunku wieży, którą spowijała złowróżbna cisza. Wejście było otwarte, niestrzeżone. Conan zbliżył się ostrożnie, z mieczem w dłoni. Komora była ciemna i groźna. Nie dochodził go żaden dźwięk, ale to nie musiało nic oznaczać. Parę ostatnich stóp pokonał biegiem, skoczył do komory, przekoziółkował i poderwał się z bronią w pogotowiu. Wnętrze było puste.

- Tu jest bezpiecznie - zawołał. - Chodźcie.

Jego towarzysze weszli do środka i rozejrzeli się z zaciekawieniem.

Komora wyglądała dokładnie tak samo, jak wtedy, gdy Conan widział ją po raz ostatni, z dwoma wyjątkami: brakowało Marandosa, a wielka płyta, którą szaleniec gładził z taką miłością, teraz była podniesiona i stała wsparta na jednym końcu. Pod nią widniał otwór ze schodami, które wiodły do podziemi pod warownią. Co poruszyło wielką płytę, siła ludzi czy magia Sethmesa?

- Musimy tam zejść - oznajmił Conan. Wojownicy z powątpiewaniem popatrywali na mroczne schody. Jeszcze raz mieli się znaleźć na nieznanym terytorium. - Przyniesź pochodnie - rozkazał Khefiemu.

Niewolnik, zadowolony, że ma coś do zrobienia, wybiegł na zewnątrz, gdzie przed opuszczonymi chatami nadal dymiły ogniska. Niedługo później wrócił z naręczem głowni i zapaloną pochodnią w dłoni.

Conan schował miecz do pochwy i wziął pochodnię. Wojownicy poszli za jego przykładem. Oświetlając sobie drogę, Cymmerianin zaczął schodzić po schodach.

Natychmiast zauważył, że to przejście różni się od reszty twierdzy. Zostało wycięte w litej skale, starannie wygładzonej i przyozdobionej egzotycznymi motywami. Malowidła przypominały prace stygijskie, a jednak znacznie się od nich różniły. Conan domyślił się, że to sztuka pythońska, poprzedniczka stygijskiej. Wojownicy, pokrzykując ze zdumienia, wskazywali sobie dziwne, kolorowe postacie, które zapełniały każdą dostępną powierzchnię. Bogowie, królowie, mitologiczne stwory, nieznanne legendy i rytuały zapomnianej religii. Niektóre stworzenia miały ludzkie ciała i zwierzęce głowy, inne odwrotnie. Widniały tam sceny z uczt i bitew, ale w większości były całkowicie niezrozumiałe, a niekiedy - odrażające.

Schody okazały się dłuższe, niż Conan przypuszczał, i nie obniżały się prosto, ale skręcały w niespodziewanych miejscach, urywały się na pozornie bezcelowych podestach, by parę kroków dalej znów opadać w dół. Natłok malowideł przytłaczał i męczył oczy.

Jeden z wojowników zawołał coś nagląco.

- Popatrzcie na pochodnie! - przetłumaczył Khefi. Płomienie chwiały się w podmuchu, który mógł pochodzić tylko z dołu. - Ktoś będzie bardzo rozczarowany, jeśli to tylko droga ucieczki - powiedział ze śmiechem. - Ale dobrze służy tej zgrai.

Dobiegły ich dziwne odgłosy. Były to skrzeczenia i piski, zniekształcone przez odległość i echo. Ponad nie wybijało się rytmiczne dudnienie, tak niskie, że można je było nie tyle usłyszeć, ile wyczuć - głęboki dźwięk, jakby słuchali bicia serca świata.

Przed sobą zobaczyli dziwną poświatę, która jarzyła się jednostajnym, żółtym blaskiem o delikatnym, zielonkawym odcieniu. Blask emanował chłodem obcym znanemu światu. Wydobywał się z portalu, kończącym schody. Conan rzucił pochodnię i wyciągnął miecz.

Komnata, do której weszli, była tak wielka, że Cymmerianin nie był w stanie stwierdzić, czy jest dziełem człowieka, czy przyrody. Gładki mur za ich plecami zdobiły kolosalne pythońskie malowidła. Ściany tonęły w mroku. W miejscu, które wyglądało na środek komnaty, połyskiwał wielki, nieregularny kopiec. Wokół niego uwijały się liczne postacie.

- Przygotujcie się do walki - rzekł Conan - ale nie atakujcie kobiety, małego człowieczka, dwóch wielkich mężczyzn o żółtej brodzie i o rudej brodzie. - Khefi przełożył rozkazy, ale Conan miał wątpliwości. Wiedział, że ci ludzie tracą nad sobą panowanie, gdy zaczyna lać się krew. Jeżeli wojownicy zbyt się rozochocą, jego towarzysze sami będą musieli o siebie zadbać.

Zaczęli skradać się w kierunku stosu. Conan zobaczył, że źródłem dziwnego światła są spiętrzone bezładnie klejnoty i złoto. Szlachetne kruszce i drogocenne kamienie posłużyły do wykonania nie ozdób, lecz dziwnych instrumentów niewiadomego przeznaczenia.

Gdy się zbliżyli, odwróciła się najwyższa z postaci.

- Witaj, Cymmerianinie. Moja dobra znajoma, Aghla, uprzedziła mnie o waszym rychłym przybyciu.

- Na twoje nieszczęście. - Conan zobaczył, że tuż za skarbem podłóże komnaty opada i znika pod wodą. Chlupot leniwych fal nie był w stanie zagłuszyć głębokiego dudnienia, które wydobywało się właśnie z tego tajemniczego podziemnego jeziora.

- Conan! Naprawdę żyjesz? - Był to Springald, który wyglądał na wyczerpanego, ale zarazem podnieconego. Przy nim stał Ulfilo, z wiecznym wyrazem urażonej godności. Niedaleko kręcił się Wulfrede, pełen chytrego rozbawienia. Wszyscy trzej mieli broń.

- Jak to się stało, że jesteście tu z tym kłamcą? - zapytał Conan, wskazując na kapłana.

- Kiedy wypuścił nas z lochu i dał nam wybór, że albo pójdziemy za nim, albo zostaniemy rzućeni na pożarcie potworowi z jeziora - odpowiedział Aquilończyk - postanowiliśmy na razie odłożyć na bok nasze urazy.

- Gdzie jest Malia?

- Mówisz o Białej Królowej - poprawił Sethmes. Conan teraz zobaczył, że za kapłanem stoją dwaj stygijscy oficerowie. - Nie wolno ci mówić o niej jak o zwyczajnej kobiecie. Jest teraz poza twoim zasięgiem.

- Gdzie ona jest, przeklęty? - Cymmerianin podszedł do niego ze wzniesionym mieczem. Gęb i Kopshef wysunęli się zza pleców swego pana i dobyli broń.

- Jeśli chcesz ją zobaczyć - rzekł Sethmes - wystarczy, że podniesiesz głowę.

Conan spojrział na szczyt połyskującego stosu złożonego z klejnotów, dziwnych prętów i kryształów, ksiąg i wielu skomplikowanych przedmiotów służących nieznanym celom. Stał tam wielki tron ze złota i srebra. Na nim siedziała Malia. Kobieta ani na niego nie spojrzała, ani nie była świadoma jego obecności. Na jej smukłej szyi wisiały długie sznury pereł i klejnotów, a obręcze ze szlachetnych metali zdobiły kończyny. Bogata biżuteria stanowiła jedyne odzienie. Kobieta wpatrywała się w wodę. Obok kucała Aghla, która śpiewała niesamowitą pieśń i biła do wtóru w bębenek zrobiony z ludzkiej czaszki.

- Co to jest? - zapytał Conan. - Co jej zrobiliście?

- Zapytaj jego, czarnowłosey. - Wulfrede wskazał półnagie stworzenie, które przycupnęło w połowie wysokości stosu, wbijając ręce i nogi w kosztowności.

- Widzę, Marandosie, że masz wreszcie to, czego pragnąłeś od tak dawna - powiedział Conan. - Ale nie wydajesz się zbyt szczęśliwy ze spotkania z ukochaną żoną.

- Z żoną? - Mężczyzna zamrugnął powiekami jak człowiek wyrwany ze snu. - Aha, z nią. Ona jest częścią targu.

- Jakiego targu, przeklęty? - Stojący obok Conana wojownicy wytrzeszczali oczy na widok tak niesamowity, że zapomnieli, iż przybyli tutaj zabijać.

- Ze Stygijczykiem. Obiecał, że doprowadzi mnie do skarbu, jeżeli zwabię tu Malię. Była mu do czegoś potrzebna. Wyraziłem zgodę.

- A inni?

- Cóż, przecież nie zdołałaby dotrzeć tu samotnie, prawda? - Szaleniec zdawał się urażony takim głupim pytaniem.

Conan odwrócił się do Ulfila.

- Więc to jest ów brat, w którego poszukiwaniu pokonałeś pół świata?

Szlachcic splunął.

- Myślisz, że narażalem się na śmiertelne ryzyko dla dobra tego nicponia? Pragnąłem skarbu, aby odbudować fortunę rodu. A co do jego kobiety, to kimże ona jest dla mnie? To tylko jakaś dziewczka, którą znalazł w czasie swojej włóczędzy, nie lepsza od konia czy myśliwskiego psa. Jeżeli kapłan potrzebuje jej do swoich celów, czymże jest taka ofiara w porównaniu z wyniesieniem mojej rodziny nad inne rody Aquilonii?

- Twój honor schodzi na psy, szlachetko.

- Jak śmiesz mówić mi o honorze, barbarzyńco! - Ulfilo wyszarpnął długi miecz z pochwy.

- Nie przyszedłem tutaj, aby cię zabić - warknął Conan. - Nie walczmy, gdy w pobliżu stoją wrogowie.

- Oni nie są moimi wrogami.

- Przez ciebie żałuję, że tu przyszedłem. Chcąc cię uwolnić od Naba i Sethmesa, pomogłem Górnice zdobyć miasto.

- To wielce szlachetne z twojej strony, mój przyjacielu - włączył się do rozmowy Springald. - I dziękujemy ci z całego serca. Nie ma potrzeby się kłócić. Przyłącz się do nas. To nie jest zwyczajna wyprawa po skarb. W tej jaskini kryją się moce tak potężne i tak starożytne, że wypadki, jakie niedługo rozegrają się w dolinie, odmienia bieg całego świata. W porównaniu z historycznymi wydarzeniami czym jest złożenie w ofierze jednej kobiety?

- Miałbym przyłączyć się do tego kłamliwego, podstępnego kapłana? - powiedział z niedowierzaniem Conan. - Wszyscyście oszaleli jak Marandos!

Stygijczyk niczym się z wami nie podzieli!

- Pythończyk, barbarzyńco. Nie jestem Stygijczykiem, w moich żyłach płynie królewska krew władców Pythonu. Dzisiaj połączę starożytną koronę i skarb tego narodu z niezmierzoną mocą potwora z gwiazd. Mając taką moc na swoje rozkazy, wzniosę z prochu starożytny Python, wielki jak niegdyś i rządzony w sposób, o jakim nigdy nawet nie śnili jego dawni królowie! - W czarnych oczach arcykapłana płonął fanatyczny blask.

- O jakiej mocy mówisz? - zapytał w osłupieniu Conan. - Ten potwór jest zbyt słaby, aby samodzielnie wypełznąć z dziury, która powstała, gdy jego cielsko runęło na ziemię. Jest tak bezradny, że nawet sam nie może się nażreć! Muszą go karmić zastraszeni krajowcy!

- Widzisz ten stos złota i klejnotów, barbarzyńco? Wiesz, co to jest?

- To skarb Pythonu, dla którego pewni głupcy przebyli połowę świata.

- Zauważyłeś, jak niewiele jest tu ozdób, a jak dużo instrumentów i ksiąg?

- To nietrudne.

- Te przedmioty to pozostałości magicznej wiedzy pythońskiego cesarstwa! Gdy hyboreańskie hordy odnosiły zwycięstwo za zwycięstwem, cesarz wezwał wszystkich mędrców i czarnoksiężników. Zgromadził ich najcenniejsze, najpotężniejsze przyrzędy w jednym miejscu, tworząc największe w historii skupisko czarnoksiężskiej mocy!

- I dużo mu to dało - stwierdził pogardliwie Conan. - Hyborianie pławili konie w kanałach Pythonu. Ogrzewali się w ogniu płonących pałaców.

- To gwiazdy były największymi wrogami imperium - kontynuował Sethmes. - W roku Upadku Pythonu utworzyły tak niekorzystną koniunkcję, jakiej nie widziano od dziesięciu tysięcy lat. Ale stwór z jeziora wyczuł moc zebraną w skarbie Pythonu i zaczął ściągać ją do siebie. Nie przypadkowo dowódca ekspedycji skierował się do tej doliny i wznosił skarbiec na brzegu tego jeziora! To nie względy bezpieczeństwa kazały robotnikom ryć przejście tak głęboko w głąb ziemi. Za każdym razem, gdy nadzorca budowy

decydował, że czas wyciąć komorę dla skarbu, jakiś impuls przymuszał go do podjęcia prac, dopóki wreszcie nie natrafiono na tę jaskinię.

Conan odwrócił się do Aquilończyków i Vana.

- Ten skarb tworzy jego moc czarnoksiężką. Myślicie, że się z wami podzieli? Chyba nie jesteście tacy naiwni?

- Gdyby chciał nas oszukać - zaczął Ulfilo - czy uwolniłby nas z lochu i oddał nam broń? Czy by nas tutaj przyprowadził?

Conan roześmiał się pełną piersią.

- Głupcy! Uwolnił was, bo potrzebował wioślarzy, aby uciec przez jezioro, zanim ludzie Gomy wedrą się do miasta. Przyprowadził was do skarbu, bo nie wiedział, co zastanie po drodze. Być może na miejscu czekaliby strażnicy, z którymi trzeba by walczyć. Jeszcze żyjecie, bo ma tylko tych dwóch stygijskich siepaczy do obrony. Ale nie przeżyjecie jego pierwszego doświadczenia z mocą, którą spodziewa się wydobyć z potwora.

- Musimy słuchać tego dzikusa, panie? - zapytał rudobrody Khopshef. - Pozwól mi go zabić.

- Nie, mój przyjacielu - odparł Sethmes z lekkim zakłopotaniem w oczach. - Prawdę mówiąc, może nadeszła odpowiednia chwila, aby nasz potężny Ulfilo udowodnił swoją lojalność. Aquilończyku, jeśli chcesz zostać największym spośród moich wielmożów, zabij dla mnie tego czarnowłosego przybłędę z Północy.

Ulfilo stracił arogancką pewność siebie.

- Jesteś pewien? Ten człowiek obecnie nie stanowi najmniejszego zagrożenia. Nas jest wielu, a on ma tylko jeden miecz. Jest cudzoziemskim plebejuszem, ale przez całą długą drogę był naszym dzielnym i wiernym sprzymierzeńcem.

- Obawiam się, że brak ci silnej woli pythońskiego księcia - stwierdził z udawanym smutkiem arcykapłan.

- Potrafię być twardszy od każdego! - ryknął Ulfilo. Obnażył długi miecz. - Żaden dzikus nie stanie między mną a chwałą mojego rodu!

- Uspokój się! - syknął Springald. - To dziecinada.

Ale jego przyjaciel był ślepy i głuchy na rozsądne rady. Przed sobą widział tylko osuwającą się w otchłań wielkość swego rodu i wroga, który chciał uniemożliwić jego odbudowanie.

Dwa długie miecze zderzyły się ze szczękiem. Cymmerianin walczył desperacko o życie. Myśl, że on i ten człowiek byli kiedyś towarzyszami, odeszła w zapomnienie. Ulfilo był najsilniejszym i najbardziej doświadczonym szermierzem, z jakim kiedykolwiek się mierzył. Ostrza tkwały wokół walczących stalową sieć, gdy atakowali zażarcie i błyskawicznie parowali ciosy.

Pozostali obserwowali ich w napięciu. Springald był zasmucony widokiem dwóch przyjaciół walczących na śmierć i życie. Wulfrede przypatrywał się im ze swoim zwyczajnym, chłodnym i sardonicznym rozbawieniem. Młodzi wojownicy z podnieceniem komentowali ten nowy dla nich sposób walki. Marandos nie zwracał uwagi na nic poza skarbem. Gęb i Khopshef gładzili broń, gotowi wbić miecze w odsłonięte plecy Conana. Malia była nieświadoma niczego. Aghla i Sethmes obserwowali wodę.

Ulfilo wyprowadził potężny cios, który rozłupałby czaszkę Cymmerianina, gdyby ten nie nadstawił miecza i nie zatrzymał rozpędzonego ostrza tuż przy swojej głowie. Barbarzyńca zaklinował miecz Aquilończyka między głownią a jelcem własnej broni. Dwaj mężczyźni siłowali się przez kilka sekund, potem Conan gwałtownie odepchnął miecz przeciwnika i uwolnił swój. Zamachnął się i uderzył na odlew. Krótki, straszliwy cios rozplątał klatkę piersiową wielmoży od pachy po mostek.

Sethmes powiedział coś po stygijsku i jego dwaj kapitanowie dobyli mieczy. Skoczyli ku odwróconemu plecami Conanowi, mierząc między łopatki. Khefi wrzasnął ostrzegawczo. Cymmerianin wyszarpnął broń z ciała Ulfila i w ostatniej chwili odbił oręż Khopshefa. Czterej młodzi wojownicy z wyciem ruszyli do ataku.

W powstałym zamieszaniu Conan przez chwilę nie wiedział, kto z kim

walczy. Włócznie i miecze błyskały w dzikim tańcu, woń krwi przesyciła cuchnące powietrze. Cymmerianin ciął Khopshefa w brzuch i odwróciwszy się zobaczył, że Gęb pada przeszyty włócznią. Naprzeciw kapitana zataczał się wojownik z rozplątany torse. U jego stóp leżał drugi, który zapomniał, że stygijski przeciwnik nosi zbroję. Conan zrobił unik, gdy usłyszał dwa pełne zaskoczenia wrzaski. Młodzi wojownicy runęli na ziemię. Nad nimi stał Wulfrede z mieczem skrwawionym po rękojeść.

- Czemuś to zrobił? - ryknął Cymmerianin.

- Po prostu usunąłem z drogi prawdopodobne przeszkody, Conanie - zarechotał Wulfrede. Za jego plecami leżał rozpostarty nieruchomo Springald. Jeszcze jedna wyeliminowana przeszkoda.

- Powiniennem wziąć twoje słowa bardziej do serca, rudobrody.

- Tak, czarnowłoso. „Nikommu nie wolno ufać, gdy w grę wchodzi wielki skarb!” *To z Poematu o dobrej radzie. Zawsze przestrzegam tych nauk.*

- To ty podburzałeś marynarzy przeciwko mnie w czasie drogi, na lądzie i morzu!

- Wreszcie przejrzałeś na oczy, chociaż o wiele za późno.

- Jesteś równie głupi, jak cała reszta! Jak zdołasz zabrać stąd więcej niż naręcze tego bogactwa? Nawet jeśli kapłan ci na to pozwoli. - Te słowa przypomniały Conanowi o Sethmesie. Zastanowił się, gdzie on się podział. Po chwili zobaczył go na szczycie stosu skarbów, stojącego za Malią, z rękoma na jej ramionach. W wodzie, ku której byli zwróceni, coś się poruszało.

- To wystarczyłoby na wyekwipowanie wyprawy, żeby tu wrócić i zabrać resztę - rzekł Wulfrede. - Ale to nie jest konieczne. W tej chwili idą tu małpoludy kapłana. Król Nabo nie wpuścił ich do miasta ani nie pozwolił im rozbić obozu w pobliżu, więc Sethmes odesłał je na pobliskie wzgórza. Idą, aby się do niego przyłączyć, i to one poniosą skarb.

- Zatem będzie to jego skarb, nie twój. Każe swoim bumbana cię zabić.

- Nie sądzę. Widzisz, będzie potrzebował statku, by zabrać skarb, a któż dowodzi „Tygrysem Morskim”, jeśli nie ja? Obecnie okręt obsadza tylko

paru marynarzy. Sethmes potrzebuje doświadczonego żeglarza, który poprowadziłby go na północ. Niezależnie, jakie ma względem mnie plany... - Wzruszył ramionami. - Na morzu dzieją się różne rzeczy. - Z tymi słowami Van skoczył niczym tygrys. Gdy ostrza zwały się ze szczękiem, roześmiał się Conanowi prosto w twarz. - Myślę, żeś strudzony niedawnym wysiłkiem!

Rzeczywiście, Cymmerianin był straszliwie zmęczony. Nieustanna walka nadszarpnęła nawet jego nadludzką siłę. Van był ogromnym człowiekiem i zdołał odepchnąć przeciwnika. Conan mógł jedynie parować szybkie ciosy rudobrodego i ustępować pola. Jego pierś wznosiła się w ciężkim oddechu, a pot zalewał oczy. Po chwili zdał sobie sprawę, że stoi w wodzie. Van systematycznie spychał go do jeziora. Woda jarzyła się i bulgotała wokół kolan. Conana ogarnęło przerażenie.

- Wy, czarnowłosi, zawsze byliście żywotnym ludem - krzyknął Wulfrede, już zasapany od ciągłego wymachiwania mieczem. Był to jedyny sposób na utrzymanie z dala śmiertelnej broni przeciwnika.

- A wy, Vanirowie, zawsze byliście rasą zdrajców! - wysapał Cymmerianin. - Nigdy nie powinienem wierzyć, że jesteś moim przyjacielem! - Następny cios Vana nieomal rozłupał mu czaszkę. Conan zablokował go w ostatniej chwili.

- A jakże, to prawda. Żegnaj, Cymmerianinie! - Vanirskie ostrze odbiło broń Conana i cofnęło się, aby nabrać rozpędu do bezlitosnego cięcia. W tej samej chwili oczy kapitana rozszerzyły się z bezgranicznej grozy. Jego pas oplotło coś grubego i giętkiego.

Równie przerażony Conan zobaczył ogromne cielsko potwora z jeziora. Piętrzyło się ono nad Vanem, zajmując cały zalany wodą kraniec podziemnej jaskini. Bijący od niego smród przechodził ludzkie pojęcie. Oślizgłe macki wysoko uniosły rudobrodego mężczyznę i zaczęły się zaciskać. Nieludzki wrzask odbił się echem od niewidocznych ścian. Conan biegiem wy dostał się z wody. Ruszył do schodów, gdy zobaczył Springalda jęczącego na ziemi. Wulfrede tylko ogłuszył go głowicą miecza. Cymmerianin pochylił się i zaczął

wlec uczonego za sobą.

Springald otworzył oczy i się rozejrzył. Zobaczył okropnego stwora.

- Ratuj Malię! - wysapał. - Ona na to nie zasłużyła!

Conan popatrzył na roziskrzony stos i zobaczył, że kapłan nadal stoi za tronem. Siedząca na nim kobieta miała oczy szeroko rozwarte ze strachu. Aghla tańczyła w ekstazie, gdy potwór zbliżał się, wyciągając niezliczone ramiona.

- Crom przeklnie mnie za głupotę! - Conan puścił Springalda i zaczął się wspinać na kopiec. Tajemnicze kryształy i instrumenty usuwały się spod jego nóg, gdy niestrudzenie piął się w górę. Od czasu do czasu zerkał na zbliżające się monstrum. Spowijała je ruchliwa sieć czerwonych błysków.

- Teraz! - krzyknął triumfalnie Sethmes. - Teraz zakończę czar i wypełnię proroctwo! Moc wodnego potwora i moc starożytnego Pyth on u są zjednoczone!

Cienka macka przecięła ze świstem powietrze i chwyciła Aghlę. Stara wiedźma zaskrzeczała z przerażenia. Macka wzniosła się i cisnęła staruchą o ścianę.

Conan odepchnął kapłana i ściągnął kobietę z tronu.

- Nie! - wrzasnął Sethmes. - Biała Królowa musi się połączyć z przybyszem z gwiazd! Tak mówi proroctwo!

- Znajdź sobie inną - warknął Conan. - Tę zabieram.

Sethmes schylił się i podniósł zwieńczoną kryształem różdżkę. Gdy wycelował ją w pierś Cymmerianina, zaczęły pełgać po niej płomienie.

- Skarb jest mój! - wyskrzeczwał Marandos, rzucając się na kapłana. Błyskawica objęła ciało szaleńca, gdy mocował się z Sethmesem na szczycie sterty.

Cymmerianin zarzucił Malię na ramię i ostrożnie zsuwał się po połyskliwym zboczu. Pragnął jak najszybciej wydostać się z jaskini, ale bał się potknąć. Kiedy znalazł się na dole, zobaczył, że Springald wstaje chwiejnie. Złapał go pod pachę i zaczął prowadzić w stronę schodów.

Gdy dotarli do portalu, przyłączył się do nich Khefi. Niewolnik wypadł z jakiegoś mrocznego zakątka jaskini, niosąc coś w jednej ręce. Ze znanych tylko sobie powodów szczyrzył zęby i zataczał się ze śmiechu.

- Pomóż mi! - rozkazał Conan. Khefi złapał Springalda i zaczął ciągnąć go po schodach.

Piekielny hałas sprawił, że Conan obejrzał się, aby omieść jaskinię ostatnim spojrzeniem. Potwór cały wyłonił się z wody i obejmował mackami spiętrzone skarby. Na ich szczycie nadal szamotały się dwie postacie, nieświadome górującego nad nimi potwora. Nagle cielsko opadło, miażdżąc walczących i okrywając cały złoty stos. Czerwone błyskawice wygasły i stwór zaczął jarzyć się od środka. Potem, w sposób niemożliwy do opisanie w żadnym ludzkim języku, zaczął się przemieniać.

Conan odwrócił się i wbiegł na stopnie. Był ogromnie zmęczony, ale to, co zobaczył w jaskini, dodało mu sił. Gdy znaleźli się przy końcu schodów, miał wrażenie, że jego nogi są zrobione z żelaza, jednak się nie poddawał. Raptem usłyszał hałas. Był to ogłuszający szum wzbierającej wody.

- Szybciej, niech was demony! - ryknął.

Khefi i Springald zataczali się od ściany do ściany, prawie u kresu sił.

Nagle, kiedy widział już wyjście, woda omyła mu kostki. Potem wzniosła się do kolan, przybierając szybciej, niż on się wspinał. Sięgała mu do pasa, gdy dotarł wreszcie do górnego podestu. W komorze wieży musiał już płynąć w bulgocącej, jarzącej się cieczy.

Silny prąd wyniósł go na dziedziniec. Leżał tam, oddychając chrapliwie. W pobliżu usłyszał czyjś śmiech. Zebrał resztki sił i usiadł. Niedaleko leżał Springald, krztusząc się i wymiotując na kamienne płyty. Przy nim stał Khefi. To on się śmiał, podziwiając coś.

- W imię wszystkich demonów, czego ryczysz? - zapytał Conan. - I co wyniosłeś z komnaty? Uszczknąłeś kawałek skarbu?

- Lepiej - odparł Khefi. - Król Goma nagrodzi mnie szczerze, gdy mu to przyniosę! - Pokazał niewielki, okrągły przedmiot. Była to ohydna głowa

Aghli. Jej rysy zastygły w wyrazie nieludzkiego przerażenia, jakie ogarnęło ją w chwili schwytania przez „boga”.

- Chociaż jedna osoba tam na dole zachowała rozsądek.

Mieli tylko parę minut na odzyskanie sił, nim czujne uszy barbarzyńcy wychwyciły dwa dźwięki dochodzące z dołu zbocza..

- Bumbana! - jęknął Canan. - Zapomniałem o nich na śmierć! - Rażeni z Khefim dobrnęli do forttecznego muru. Daleko w dole jezioro falowało i jarzyło się nieziemsko. Springald też zdołał się podnieść i doczłapać do nich. Malia nadal leżała bez zmysłów. Na dole, blisko brzegu, widać było niezgrabne postacie bumbana.

- Musimy uciekać! - wychrypiał Springald.

- Dokąd? - zapytał Conan - Na tych zboczach będziemy widoczni z daleka, a z Mailią nie możemy się szybko przemieszczać.

- Może zabarykadujemy się, w wieży...

- Patrzcie! - zawołał Khefi.

Środek jeziora zaczął się wybrzuszać jak wtedy, gdy wynurzał się potwór, ale tym razem wyglądało to inaczej. Było późne popołudnie i woda nie płonęła ponurą, krwistą czerwienią, ale raczej świeciła prawie białym blaskiem. Tępe małpoludy odwróciły się, żeby zobaczyć, co się dzieje za ich plecami.

Nagle powierzchnia jeziora pękła z grzmiącym rykiem i z wody wystrzeliło coś tak oślepiającego jak samo słońce. Jaskrawy obiekt z rykiem poszybował w niebo i skrył się w chmurach, na chwilę je rozświetlając. A potem zniknął.

Jezioro wystąpiło z brzegów wdarło się na zbocza, wywracając bumbana jak źdźbła trawy. Potem woda straciła impet i niechętnie spłynęła w dół. Po małpoludach nie został ślad.

- Wróciło tam, skąd przyszło - powiedział Springald. - Albo może podjęło tak dawno temu przerwana podróż. Kto wie? Może pobyt tutaj był dla tego stwora krótkim postojem. I kto wie, jak wielki wpływ wywarł on na

ludzką historię? Czy Hyborianie zniszczyli Python dlatego, że potwór potrzebował jego mocy? Czy królewski ród Pythonu osiadł w Stygii po to, żeby Sethmes obmyślił czary umożliwiające wykorzystanie tej mocy? Z pewnością kapłan myślał, że nagnie stwora do własnej woli, podczas gdy w rzeczywistości przez cały czas był jego niewolnikiem.

- Springaldzie - mruknął Conan, przeciągając dłonią po zmęczonym czole - dotychczas, w imię naszej przyjaźni, nie mówiłem ci tego. Ale za dużo gadasz.

Razem zanieśli Malię do opuszczonej chaty, gdzie Conan kazał uczonemu odpoczywać i mieć oko na kobietę. Sam wrócił do Khefiego.

- Dzisiaj ty miałeś najłżejszy dzień, więc chcę, żebyś poszedł do króla Gomy. Powiedz mu, że jestem gotów upomnieć się o nagrodę. I niech przyśle ludzi, którzy poniosą moich przyjaciół.

- Jestem pólżywy ze zmęczenia - westchnął Khefi - ale zrobię, co każesz. Może wrócę wolnym człowiekiem, co będzie częścią mojej nagrody.

Po odejściu Khefiego Conan wczołgał się do drugiej opuszczonej chaty. Położył broń w zasięgu ręki, wyciągnął się na plecach i w jednej chwili zapadł w głęboki sen.

- Naprawdę tylko tego chcesz? - zapytał Goma. - Żebym przydzielił twoim przyjaciołom silną eskortę do wybrzeża? Po zniknięciu potwora, dolina jest już bezpieczna. - Zamaszystym ruchem ręki wskazał jezioro. Jego wody skrzyły się w słońcu, czyste jak górski źródło. - Zostań tutaj. Dam ci wiele żon i stada tłustego bydła.

- Dziękuję, ale byłoby to zbyt nudne jak na mój gust. Wybiliśmy wszystkich interesujących ludzi.

Górna odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

- Moja wędrówka dobiegła końca, ale myślę, że ciebie czeka długa droga, nim twoje serce znajdzie ukojenie. Nie jestem biedny. Pozwól, że napełnię ci sakwę złotem.

Conan pokręcił głową.

- To tylko opóźniłoby moją podróż. Kiedy znów dotrę w pobliże cywilizacji, znajdę złoto. Nigdy nie mam wielkich kłopotów z napełnieniem trzosa.

- Zatem żegnaj. Jesteś najdziwniejszym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałem.

Cymmerianin odszedł, aby pożegnać się ze swoimi towarzyszami. Malia wróciła do zdrowia, ale jej oczy były nawiedzone i nie odzywała się od czasu przejść w jaskini.

- Żałuję, że nie idziesz z nami, przyjacielu - rzekł Springald.

- Nie będę wam potrzebny. Obiecałem doprowadzić was do Marandosa i tak uczyniłem. Nic nie ciągnie mnie na wybrzeże. Goma da wam silny oddział wojowników i tragarzy, więc nie musicie się niczego obawiać. Ludzie zostawieni przez Wulfrede na pokładzie „Tygrysa Morskiego” zdołają poprowadzić okręt.

Uścisnęli sobie dłonie.

- W takim razie pozostaje mi biblioteka. Niech Set weźmie moje kości, jeżeli kiedykolwiek jeszcze wyprawię się w podróż! - I tak się rozstali.

Dwa dni spokojnego marszu doprowadziły Cymmerianina do wąskiej przełęczy w górach leżących na wschód od doliny Gomy. Zbocza po drugiej stronie porastał gęsty las, który ciągnął się po sam horyzont. Był to budzący grozę widok dzikiej przyrody Czarnych Krain. Wśród drzew poruszały się dziwne, olbrzymie zwierzęta. Ta kraina wzywała Conana, jak wszystkie inne podobne miejsca.

Na razie skarby i cywilizacja nie miały znaczenia. Prawie nagi, wyposażony tylko w broń, rozum, wiód małpoludów. Następny marynarz wrzasnął, gdy małpie łapska wyrwały go z szeregu, a potężne kły zatopiły w jego twarzy. Inny umarł w milczeniu - bestia skręciła mu kark tak szybko, że nie zdążył nawet pisnąć.

Mimo odnoszonych zwycięstw, w pewnej chwili wszystkie włochate

stwory zawróciły jak jeden mąż i rzuciły się do ucieczki. Uniosły z sobą wszystkich poległych, swoich i ludzi. Za przykładem Conana podróżnicy skoczyli za nimi w pogoń, rozwścieczeni walką i świadomością, co bumbana zrobią z ciałami poległych towarzyszy. W ciągu paru minut przebyli przełęcz i zobaczyli, że stwory znikają w gąszczu porastającym zbocze poniżej wylotu. Zatrzymali się na skalnej półce, długiej i szerokiej może na dziesięć kroków, która kończyła górską gardziel. Zmordowani potyczką i pościgiem, rzucili się na skaliste podłoże.

Malia sapała ciężko, urywanie. Nie brała udziału w walce, jednakże sama groza położenia nadwątlila jej siły. Kiedy odzyskała oddech, spojrzała wściekle na kapitana.

- Aleś mnie nastraszył! Myślałam, że jesteśmy w pułapce! Nie widziałam za nami żadnych bestii.

Wulfrede wzruszył ramionami.

- Gdyby moi ludzie to wiedzieli, zawróciliby i uciekli. Musiałem zrobić coś, co zmusiłoby ich do podjęcia walki.

- Dobrze, że tym cuchnącym małpom nie przyszło do głowy, aby zaatakować z obu stron przełęczy - powiedział Conan.

- Zgadza się - przyznał Ulfilo, który metodycznie czyścił miecz zbroczony posoką. - Byłoby po nas, gdyby tak zrobiły.

- Patrzcie! - zawołał Springald, wskazując na wschód. Po raz pierwszy obejrzelili otoczenie.

Od półki, na której odpoczywali, stok opadał tak stromo, że mogli patrzeć ponad czubkami rosnących najbliżej drzew. Od podnóża gór aż po horyzont ciągnęło się morze brązowego piasku.

- Pustynia - westchnęła zmęczona Malia.

- Nie! - krzyknął Springald. - Za nią! - Podążając wzrokiem za jego wyciągniętym palcem, dostrzegli w dali dwa niewyraźne, podobne kształtem szczyty. Ten po lewej stronie był śnieżnobiały, a drugi czarny. - Rogi Shushtu!

- Zatem to prawda! - rzekł Ulfilo.

- Czy kiedykolwiek miałeś wątpliwość? - zapał triumfalnie Springald. - Na starożytnych księgach zawsze można polegać.

- Tak, tak - mruknął Wulfrede. Poklepał uczonego po ramieniu, co nieomal zważyło go z nóg. - Nigdy w ciebie nie wątpiłem.

- Chyba nie leżą daleko - powiedziała z nadzieją Malia. - Przecież je widać.

- Nie daj się zwieść - upomniał Conan. - Z tej wysokości widzimy teren, którego przebycie zajmie wiele dni. Goma, są tam wodopoje?

Przewodnik pokiwał głową.

- Tak, kilka. Wszystkie niebezpieczne.

- Co to znaczy? - zapytał Ulfilo.

- Niektóre to tylko obniżenia, w których gromadzi się woda z jakże rzadkich deszczów, i na te nie ma co liczyć. Inne są zasilane źródłkami, lecz mogą być suche, gdy do nich dotrzemy. Jest jedno wielkie źródło, przez cały czas zasobne w dobrą wodę, i zarazem najbardziej niebezpieczne. Ściągają do niego wszystkie zwierzęta z okolicy, tym samym więc w pobliżu zawsze krąży pełno drapieżników.

- Lwy? - zaciekawiała się Malia.

- Tak, i bezczelne hieny, i mnóstwo wielkich kotów oraz stworzeń, które nie występują nigdzie indziej. Mięsożerni mieszkańcy pustyni są groźniejsi od swoich pobratymców z sawanny. Często bywają rozpaczliwie głodni, dlatego nie wzdragają się przed polowaniem na ludzi. Jeden zwierz, aby utrzymać się przy życiu, potrzebuje rozległych terenów łowieckich, więc lwy i inni drapieżcy często walczą między sobą. Przegrani są poranieni, niezdolni do polowania na antylopy czy śmigłe gazy. Szukają ofiary wolniejszej, słabszej i łatwiejszej.

- Czyli nas - odpowiedział Springald.

- Nawet brzydko pachnący człowiek jest mięsem dla lwa o pustym żołądku.

- Nic tu po nas. - Ulfilo uciął rozmowę w swój zwykły, rzeczowy sposób.

- Wszyscy odsapnęli? Czy są jakieś poważne rany do opatrzenia?

Okazało się, że uczestnicy wyprawy odzyskali siły i nikt nie poniósł uszczerbku, który uniemożliwiłby dalszy marsz.

Ulfilo schował miecz do pochwy.

- Zatem prowadź, Goma.

Zarzuciwszy pakunki na plecy, ruszyli w dół stoku.

X

PUSTYNIA

Wschodnie zbocze góry okazało się jeszcze bardziej strome od zachodniego. Drzewa były tu dużo większe, a między nimi wyrastały olbrzymie bambusy, wysoka ostra trawa i podobne do kaktusów cierniste krzaki o płaskich, mięsistych liściach. Poszycie było tak gęste, że musieli wycinać w nim drogę mieczami. Prowadzący kolumnę stale się zmieniali, ich ramiona unosiły się i opadały jak cepy, ostrza błyskały w promieniach słońca, przenikającego przez zielony baldachim. Wędrowce towarzyszył nieustanny trzepot skrzydeł ptaków, które przestraszone zrywały się do lotu, i wrzask rozsierdzonych małp.

Żeglarz, któremu skończyła się zmiana na czele kolumny, kawałkiem szmaty przetarł twarz zlaną potem.

- Co to za miejsce - jęknął - gdzie ciężiej jest schodzić, niż się wspinać?

- Wolisz walkę z roślinami czy małpoludami? - zapytał Wulfrede. - Ciesz się, że dzień, który zaczął się tak krwawo, zamienił się w przyjemną przechadzkę.

Jego ludzie powarkiwali, ale posłusznie wykonywali rozkazy. Dzień był tak ciężki, że nawet perspektywa zdobycia wielkiego skarbu nie zdołała podnieść ich na duchu. Harówka na ładzie wykańczała marynarzy bardziej niż najgorsze niebezpieczeństwa podczas żeglugi.

Conan znowu zamienił się w zwiadowcę i krążył z przodu i z boków

kolumny, tym razem mając konkretne zadanie: wypatrywał pułapek zastawionych przez bumbana. Małpoludy zniknęły, Cymmerianin wiedział jednak, że muszą być gdzieś w pobliżu. Przedzierał się przez gęste krzaki, nie czyniąc żadnego hałasu i nie zostawiając po sobie śladów. Jako młodzieniec wyuczył się od Piktów sztuki maskowania w lesie, i nabyte umiejętności służyły mu w tej egzotycznej dżungli równie dobrze, jak w piktyjskiej dzicy.

Wschodni stok góry rozcinały głębokie i strome wąwozy. Mimo że podłoże sprawiało wrażenie twardego, skała była luźno związana i zwietrzała, przez co każdy krok stanowił ryzyko. Dnami wąwozów płynęły strumienie, które po dotarciu do wylotów spadały wygiętymi w łuk kaskadami. Conan pomyślał, że w górach przynajmniej nie grozi im brak czystej wody.

Od czasu do czasu natykał się na coś, co było dużo bardziej alarmujące niż możliwość pułapki zastawionej przez bumbana - tropy zwierząt niepodobne do żadnych mu znanych. Odcisnięte w miękkiej ziemi olbrzymie ślady, podobne do rozcapierzonej dłoni, mogły zostawić tylko małpy - lecz dużo większe od największego goryla. W innym miejscu ujrzał liczne odciski ogromnych szponów oraz skorupy jaja, z którego mogło się wykluć pisklę wielkości słoniątka. Nie wiedział, czy te ślady zostawiły gady czy ptaki, jednak pazury wskazywały na drapieżników.

Sępy o rozpiętości skrzydeł do dziesięciu kroków krążyły leniwie, unoszone prądami powietrza. Ścierwojady wypatrywały padliny, a wyglądało na to, że rzadko musiały długo czekać. Gdy Conan je obserwował, dziesięć ptaków wylądowało ostrożnie za pobliskimi skałami i zaczęło wrzaskliwie wyklócać się o ochłapy. W oddali dostrzegł cienkie smużki dymu - być może bumbana przygotowywali posiłek z porwanych ciał. Cymmerianinowi nie spodobał się ten pomysł, ale nie miał zamiaru sprawdzać, czy jest prawdziwy. Martwym nic już nie pomoże, ważniejsze było zachowanie przy życiu pozostałych. Liczebność grupy znacznie zmalała od czasu, gdy wyruszyli, a przecież znajdowali się jeszcze daleko od celu.

Nagły, ostry krzyk zmusił go do powrotu. Pomimo szybkości, z jaką

schylał się pod splątanymi pnączami, omijał pnie i przeskakiwał krzaki, nie czynił żadnego hałasu. Znalazł członków wyprawy na krawędzi wąskiego i głębokiego wąwozu.

- Co się stało?

Wulfrede wskazał na skały, na których leżało strzaskane ciało.

- Bugnar potknął się o gałęzie i spadł. Nie mogliśmy nic zrobić.

Conan przyjrzał się załodze. Marynarze byli bardziej ponurzy niż zwykle. Pozostało ich nie więcej niż tuzin z dwudziestu, którzy zaczęli podróż. Ilu jeszcze miało paść ofiarą gór i pustyni, i co czekało ich przy Rogach Shushtu?

- Od tej chwili - zarządził Conan - Goma i ja będziemy wyprzedzać was nie więcej niż o dwadzieścia kroków, żebyście nas widzieli. W ten sposób będziemy mogli uprzedzić was o wszystkich niebezpieczeństwach, a wam nie wolno się zagapić. Jeśli chcecie jeszcze zobaczyć morze, musicie uważać. Ta góra jest śmiertelną pułapką dla głupców, pamiętajcie.

Z tymi słowami odwrócił się i odszedł z Gomą u boku. Marynarze spojrzeli za nim wilkiem, ale żaden nie próbował dyskutować.

Zejście z góry zabrało im trzy dni. Czasami musieli opuszczać się na linach, po kolei, z jednego występu na drugi. W pewnym miejscu z niewiadomego powodu zostali zalakowani przez ptaki wielkości człowieka. Goma przypuszczał, że być może przechodzili zbyt blisko gniazda tych stworzeń. Raz, na wydeptanej ścieżce, drogę zatarasowała im ciemna postać. Była to małpa, mniej potężna od goryla, ale wysoka jak dom. Spojrzała na nich maleńkimi czerwonymi oczkami, wyszczerzyła zębiska i ryknęła przerażająco. Gorączkowo przygotowali się do odparcia ataku, ale zwierzę, jakby zadowolony z wywołanego wrażenia, wolnym krokiem przeciął ścieżkę i zniknął w dżungli. Ludzie odetchnęli z ulgą i ruszyli dalej, nerwowo zerkając w mroczny gąszcz.

Wszyscy się ucieszyli, kiedy wreszcie znaleźli się na równinie. Wokół strumieni spływających z gór krzewiła się bujna zieleń, jednak woda szybko i

bezpowrotnie wsiąkała w podłoże. Po dniu marszu znaleźli się na skraju jałowych ziem.

- Tutaj zaczyna się pustynia - powiedział Goma. Zatrzymał się nad małym strumykiem, który wpadał do równie niewielkiej sadzawki, owalnego dołka długiego na dwadzieścia kroków. - Musimy napełnić nasze worki wodą i zabrać jej tyle, ile tylko zdołamy udźwignąć. Minie trochę czasu, zanim znowu napotkamy źródło.

- Ile dni? - zapytał Ulfilo.

Goma wzruszył ramionami.

- Może trzy. Może pięć czy dziesięć albo i więcej. To zależy od tego, jak szybko będzie maszerował najwolniejszy z nas, oraz czy napotkane wodopoje nie wyschły. Ten, który zawsze jest pełen, znajduje się dziesięć dni drogi stąd. Jednak mogą opóźnić nas jacyś ranni albo inne nieszczęście.

Ulfilo spojrział na słońce.

- Odpocznijmy tutaj do rana. Wykorzystamy resztę dnia na przejrzenie ekwipunku. Wypijcie tyle wody, ile dacie radę. Ruszamy o brzasku, z jak największym zapasem wody.

Rozbili obóz, co z uwagi na brak namiotów nie było procesem skomplikowanym. Jedni ruszyli po drzewo na opał, inni naprawiali ubrania i zbroje, czyścili i ostrzyli broń oraz reperowali podniszczone buty. Conan i Goma poszli na polowanie i przed zmierzchem przynieśli dwie gazele. Zgłodniali marynarze szybko je opracili i chwilę później mięso piekło się nad ogniem. Na polecenie Ulfila wszyscy podeszli do stawu i zaczęli pić. Po kolacji, z brzuchami pełnymi jedzenia i wody, legli na ziemi i zapadli w kamienny sen.

Conan podszedł do ognia, gdzie Aquilończycy i Van rozmawiali o czekającej ich wyczerpującej podróży przez pustynię. Goma stał z boku, wsparty na toporze, pogrążony w myślach. Patrzył na wschód, jak gdyby mógł sięgnąć wzrokiem za horyzont.

Cymmerianin usiadł i odciął kawał mięsa z rożna. W trakcie jedzenia

przyglądał się towarzyszom. Trudy wycisnęły na nich piętno, wszyscy byli wychudzeni i zmordowani. Malia wyglądała jak duch, zdawało się, że w jej wymizerowanej twarzy zostały tylko ogromne oczy. Jednak to nie zmniejszyło jej urody. Krzepki Wulfrede miał mniejszy brzuch niż na początku, na jego szerokim pasie widać było rząd nowych dziurek. Springald jakby zmalął. Najmniej zmienił się Ulfilo, z natury chudy i kościsty.

- Na przełęczy - zaczął Conan - tuż przed atakiem małpoludów, znalazłem znak wyrzeźbiony na skalnej ścianie.

- Znak? - niewinnie zapytał Springald.

- Tak. Nie spodziewaliście się czegoś takiego? Marandos nie widział go podczas pierwszej ekspedycji?

- Skąd takie pytania, łotrze? - warknął z oburzeniem Ulfilo. Sięgnął do miecza, ale Springald złapał go za nadgarstek.

- Co to za znak, Conanie? - zapytał uczony.

- Wyglądał tak. - Cymmerianin narysował na piasku sierp księżyca i trójząb.

- Hmm, interesujące - mruknął Springald.

- Oczywiście - odrzekł Conan. - Naczelnik z wioski na wybrzeżu powiedział mi, że statek, którym Marandos przyплыł drugim razem, miał podobne godło na szczycie masztu. A ja taki sam znak widziałem nad pewnymi drzwiami w Khemi!

- Ty zdradliwy psie, szpiegowałeś nas! - Ulfilo skoczył na nogi i tym razem wyciągnął miecz.

Cymmerianin spojrzał nań lodowato.

- Tak, a czemu nie? Nigdy nie wyruszyłem na tę wyprawę, gdybym wiedział, jaka z was skryta i obłudna zgraja. Do tej pory nie wyjawiliście prawdy. Wszystkie informacje zdobyłem bez waszego udziału. Jeśli na tym polega twój „szlachecki honor”, to cieszę się, że jestem barbarzyńcą i bandytą, jak mnie nazwałeś!

- Nie ścierpię takich słów prostackiego dzikusia! Stawaj!

- Och, odłóż miecz - rzekła Malia z odrazą. - Ten człowiek mówi prawdę. Czy my postępowaliśmy z nim uczciwie? Nie ganię go, że śledził nas w Khemi. Chciałabym tylko wiedzieć, jak to zrobił.

- Nasz Conan jest zmyślnym człowiekiem - skomentował Springald. Oczy mu lśniły pomimo zmęczenia.

Szlachcic powoli, z niechęcią, schował broń.

- Nadal nie jestem usatysfakcjonowany.

- Ja też nie - rzekł Conan. - I nie będę, dopóki nie dowiem się tego, co trzeba o wyprawie, i o tym, kogo jeszcze w nią wciągnąłeś.

- Tak, mnie też to interesuje - powiedział Wulfrede. - Jestem zadowolony, gdy wiem, że u kresu podróży czeka wielki skarb, ale nie chciałbym błędzić po omacku, gdy inni wiedzą coś, co jest dla mnie ważne. - Z jego głosu i twarzy zniknął dotychczasowy cień rozbawienia. W oczach błysnął chłód mroźnej Północy, dłoń spoczęła na rękojeści miecza. Żeglarze pochrapywali w błogiej nieświadomości.

Ulfilo milczał z uporem, ale Malia okazała się rozsądniejsza i zbeształa go ostro.

- To głupota! Szwagrze, równie dobrze możemy powiedzieć im wszystko, co wiemy. Jesteśmy na skraju pustyni, tysiące mil od domu, a to jedyni ludzie, którzy towarzyszą nam w tej wrogiej krainie. Myślisz, że nas teraz opuszczą? Połóżmy temu kres!

Ulfilo niechętnie pokiwał głową.

- Zgoda. Springaldzie, radzisz sobie ze słowami lepiej ode mnie.

- A przynajmniej mniej ich szcędzisz - dodał drwiąco Wulfrede.

- Od czego zacząć?

- Zacznij od wizyty Marandosa w Khemi po niepowodzeniu pierwszej wyprawy - podsunął Conan. - Powiedz nam, na czym naprawdę polegał interes ubity z kapłanem Ma'ata.

- No dobrze. Mimo zmniejszonej załogi, Marandosowi udało się dopłynąć do Khemi. Niestety, po drodze wpadli w sztorm, a statek był stary.

Nim rzucili kotwicę na Żółwiu, Marandos wiedział, że będzie potrzebować nowego żaglowca. Sprzedał stary za cenę drewna i poszedł szukać kogoś, kto by wyłożył pieniądze na drugą wyprawę. Po paru dniach skontaktował się z nim człowiek, który oznajmił, że reprezentuje bogatego kupca z Khemi. Powiedział, iż jego pan jest zainteresowany zyskowną wyprawą na dalekie południe i pragnie usłyszeć propozycję Marandosa. Zagwarantował bezpieczne przejście do właściwego miasta i umówiono spotkanie.

Kiedy przewodnik doprowadził Marandosa do celu, ten dostrzegł znak nad drzwiami. Taki sam widział na przełęczy i w wielu innych miejscach podczas podróży. Wiedział, że coś się święci, ale był sam w obcym mieście i nie miał wielkiego wyboru. Tak więc spotkał się z arcykapłanem Ma'ata. Ten okazał wielką serdeczność i przyjął go nad wyraz gościnnie. Z zachwytem wysłuchał relacji z podróży. Marandos był zdumiony, gdyż odniósł wrażenie, że kapłan zna kolejne etapy wędrówki, jakby też czytał dokumenty kapitana Belphormisa.

Kiedy dotarł w opowieści do Rogów Shushtu, Sethmes wcale nie okazał zdziwienia na wieść, że nie mogli przejść między tymi górami do leżącej dalej doliny.

- Nie mogli? - zapytał Conan.

- Dokładnie. Widzisz, Pythończycy pozostawili w tym miejscu zabezpieczenia. Wydaje się, że są one w dalszym ciągu potężne i aby minąć je bez szwanku, trzeba znać właściwe czary.

- Czary? - warknął Wulfrede. - To znaczy, że z naszą wyprawą związana jest magia?

- A ty nie wiedziałeś o tych zabezpieczeniach, Springaldzie? - zdziwił się Conan. - Przeciejką siłę i wieczną żądzą przygód, posiadał wszystko, czego kiedykolwiek pragnął. Sam był ucieleśnieniem dzikiej przyrody.

Zatrzymał się na chwilę na skraju bezkresnej puszczy. Potem, bezgłośnie niczym duch lasu, roztopił się w cieniach zalegających pod drzewami.